

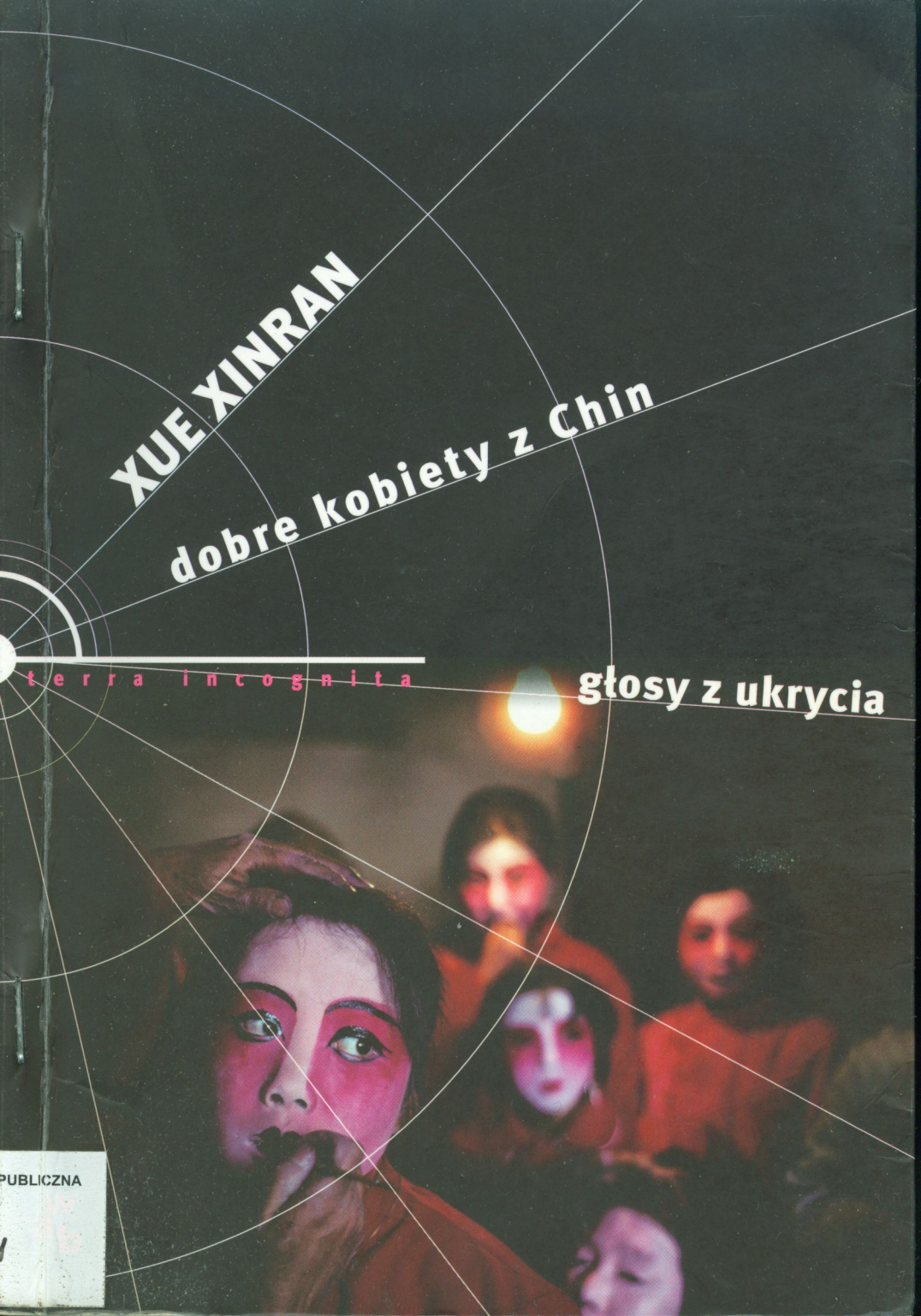
XUE XINRAN

dobre kobiety z Chin

terra incognita

głosy z ukrycia

PUBLICZNA





XUE XINRAN

(ur. 1958) – dziennikarka.

Od późnych lat 80. prowadziła w Nankinie własną audycję radiową o chińskich kobietach, która przyniosła jej ogromną popularność. Ograniczenia cenzury skłoniły ją w 1997 roku do emigracji.

Obecnie mieszka w Londynie i pisuje do angielskich gazet, m.in. „The Guardian”. Autorka powieści *Sky Burial* (2004) i *Miss Chopsticks* (2007) oraz zbioru felietonów *What the Chinese Don't Eat* (2006).

W 2008 roku wyda kolejną książkę, zbiór rozmów z mieszkańcami Chin – od Żółtej Rzeki aż po Jangcy. Angażuje się także w działalność charytatywną – wspiera adopcję chińskich dzieci przez zagraniczne rodziny. *Dobre kobiety z Chin* ukazały się w 2002 roku.

XUE XINRAN

dobre kobiety z Chin

XUE XINRAN

dobrze kobiety z Chin

głosy z ukrycia

z angielskiego przełożyła Katarzyna Kulpa

ydawnic
ab
two

Tytuł oryginału: *The Good Women of China*

Copyright © 2002 by The Good Women of China Ltd.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2008

Wydanie I

Warszawa 2008

*Dla wszystkich chińskich kobiet
i mojego syna, Pan Pana*

作者的话

od autorki

Opowiedziane tu historie są prawdziwe, lecz dla bezpieczeństwa ich bohaterów nazwiska zostały zmienione.

W języku chińskim słowo „Xiao” przed nazwiskiem oznacza „młody”. Poprzedzając imię, nadaje mu znaczenie zdrobniałe, co oznacza, że mówiącego łączą z daną osobą zażyłe stosunki.*

* W języku chińskim nazwisko zawsze poprzedza imię (przyp. tłum.).

序言

prolog

Trzeciego listopada 1999 roku o dziewiętej wieczorem wracałam do domu z wieczorowych wykładów, które prowadziłam w Studium Orientalistycznym i Afrykanistycznym Uniwersytetu Londyńskiego. Wychodząc ze stacji metra Stamford Brook w ciemną jesienną noc, usłyszałam za sobą jakieś zamieszanie. Zanim zdążyłam zareagować, ktoś uderzył mnie mocno w głowę i popchnął na ziemię. Instynktownie przycisnęłam do siebie torbę z jedynym egzemplarzem rękopisu, który właśnie skończyłam. Nie powstrzymało to jednak napastnika.

– Dawaj torebkę! – pokrzykiwał raz po raz.

Siła, z którą się broniłam, zaskoczyła mnie samą. W ciemności nie mogłam dostrzec żadnej twarzy. Wiedziałam tylko, że walczę z parą silnych, niewidzialnych rąk. Staralam się unikać ataku i jednocześnie kopałam w tym kierunku, gdzie spodziewałam się krocza agresora. Oddał mi – poczułam mocne uderzenia bólu w plecach i nogach, w ustach miałam słony posmak krwi.

Z krzykiem zaczęli nadbiegać przechodnie. Wkrótce mężczyznę otoczył gniewny tłum. Kiedy udało mi się podnieść, okazało się, że napastnik ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Później policjanci pytali, dlaczego ryzykowałam życie, walcząc o jakąś torbę.

– Miałam w niej książkę – wyjaśniłam, zboląta i drżąca.

– Książkę? – wykrzyknął policjant. – Jaka książka może być ważniejsza od życia?

To oczywiście, że życie jest ważniejsze od książek. Jednak ta właśnie książka była moim życiem – na wiele różnych sposobów. Zawierała świadectwo życia chińskich kobiet, wynik wielu lat mojej dziennikarskiej pracy. Wiem, że zachowałam się głupio – nawet gdybym utraciła rękopis, mogłabym przecież postarać się go odtworzyć. Nie miałam jednak pewności, czy byłabym w stanie po raz kolejny znośić te wszystkie skrajne emocje. Powracanie we wspomnieniach do historii tych wszystkich kobiet, które spotkałam, sprawiało mi ból; jeszcze trudniejsze było porządkowanie tych wspomnień i szukanie dla nich odpowiedniego języka. Moja książka stanowiła wynik wielu okoliczności, których, raz utraconych, nie zdołałabym powtórnie odnaleźć. Wkraczając do krainy wspomnień, otwieramy wrota przeszłości – droga przed nami ma wiele rozstajów, a nasz szlak za każdym razem wiedzie inaczej.

第一章 ¹

moja podróż w stronę losów chińskich kobiet

Pewnego wiosennego poranka w 1989 roku jechałam ulicami Nankinu rowerem marki Lecący Gołąb, rozmyślając o moim synku Pan Panie. Zielone pąki na drzewach, chmurki zamarzającego oddechu otaczające innych rowerystów, jedwabne szaliki kobiet trzepocące na wietrze – wszystko to mieszało się z obrazami mojego synka. Wychowywałam go sama, bez pomocy mężczyzny, i jako pracującej matce nie było mi łatwo się nim zajmować. Gdy jednak udawałam się w jakąkolwiek podróż, długą czy krótką, nawet jeśli był to tylko dojazd do pracy, mój synek wspierał mnie duchowo i dodawał mi odwagi.

– Hej, pani sławna prezenterko, uważaj, jak jedziesz! – zawołał mój kolega, kiedy chwiejnie wjeżdżałam na teren rozgłośni radiowo-telewizyjnej, gdzie pracowaliśmy.

W bramie stało dwóch uzbrojonych policjantów. Pokazałam im przepustkę. Musiałam minąć jeszcze kolejnych uzbrojonych strażników, pilnujących wejść do biur i studia. W rozgłośni panowały zaostrzone środki bezpieczeństwa, a pracownicy mieli się na baczności przed strażnikami.

Chodziły słuchy, że pewien młody żołnierz, który zasnął na nocnej warcie, był tak spięty, że zabił towarzysza, który go obudził.

Moje biuro mieściło się na szesnastym piętrze nieprzyjaznego nowoczesnego budynku o dwudziestu jeden kondygnacjach. Wolałam piąć się po schodach niż ryzykować jazdę zawodną windą, która często się psuła. Dopiero przy biurku zdałam sobie sprawę, że zostawiłam kluczyk w zamku rowerowym. Mój kolega ulitował się i zaproponował, że zadzwoni do portiera. Nie było to wcale łatwe, ponieważ w tamtych czasach pracownicy niższego szczebla nie mieli telefonów, więc mój kolega musiał udać się w tym celu do biura kierownika działu. W końcu ktoś przyniósł mi kluczyk razem z pocztą. W sporej stercie listów jeden natychmiast przykuł moją uwagę: koperta była zrobiona z okładki jakiejś książki, a na niej przyklejono kurze piórko. Zgodnie z chińską tradycją kurze piórko oznacza głośne wołanie o pomoc.

Był to list od chłopca ze wsi odległej o około dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Nankinu.

Wielce szanowna pani Xinran!

Słucham wszystkich Pani programów. Wszyscy w naszej wsi lubią Pani słuchać. Ale nie piszę wcale po to, żeby Pani o tym powiedzieć. Chcę Pani powierzyć pewną tajemnicę.

Tak naprawdę to żadna tajemnica, bo wszyscy we wsi o tym wiedzą. Jest tu stary, kaleki mężczyzna koło sześćdziesiątki, który ostatnio kupił sobie młodą żonę. Dziewczyna wygląda na naprawdę bardzo młodą – przypuszczam, że ktoś ją porwał. Zdarza się to często w naszych stronach, ale wiele dziewcząt ucieka. Staruch boi się, że żona mu ucieknie, więc związał ją mocno żelaznym łańcuchem. Skóra dziewczyny w pasie jest już obtarta do żywego przez ten ciężki łańcuch, krew przesiąka jej przez ubranie. Myślę, że to może ją zabić. Proszę, niech ją Pani uratuje.

*Cokolwiek Pani zrobi, niech Pani nie mówi o tym na antenie.
Jeśli inni wieśniacy się dowiedzą, wypędzą moją rodzinę.*

Życzę, żeby Pani program stawał się coraz lepszy.

Wierny słuchacz

Zhang Xiaoshuan

Był to najbardziej rozpaczliwy z listów, jakie dostałam, odkąd cztery miesiące wcześniej zaczęłam prowadzić własny wieczorny program radiowy, „Słowa na wieczornym wietrze”. Mówiłam w nim o różnych aspektach życia codziennego. Odwołując się do własnych doświadczeń, starałam się zdobyć zaufanie słuchaczy i zasugerować im, jak sobie radzić z różnymi życiowymi kłopotami. „Nazywam się Xinran” – oznajmiłam na początku swojej pierwszej audycji. „Xinran” oznacza „z przyjemnością”. *Xin xin ran zhang kai le yan* – napisał Zhu Ziqing w swoim wierszu o wiosnie. „Natura z przyjemnością otwiera oczy na wszystko, co nowe”. Mój program był czymś nowym dla wszystkich, w tym także dla mnie. Właśnie zostałam prezenterką i starałam się stworzyć coś, czego nikt nigdy przedtem w radiu nie robił.

Od 1949 roku media były rzecznikiem partii. Państwowe radio, państwowe gazety, a później państwowa telewizja stanowiły dla Chińczyków jedyne źródła informacji i wszystkie mówiły jednym głosem. Jakiegokolwiek kontakty z zagranicą były dla nas jak bajka o żelaznym wilku. Kiedy w 1983 roku Deng Xiaoping zapoczątkował powolny proces otwierania Chin na świat, odważni dziennikarze stanęli przed możliwością wprowadzenia niewielkich modyfikacji w sposobie prezentowania wiadomości. Stało się również dozwolone, choć wymagało jeszcze większej odwagi, poruszanie w mediach tematyki życia osobistego. W swoich „Słowach na wieczornym wietrze” chciałam otworzyć mi-

niaturowe okienko, maleńką szczelinę, by po czterdziestu latach dusznej atmosfery, ciężkiej od prochu, dusze ludzi mogły wreszcie zawołać własnym głosem i złapać głęboki oddech. Chiński pisarz i filozof Lu Xun powiedział kiedyś: „Pierwszy człowiek, który posmakował kraba, zapewne próbował także pająka, ale zorientował się, że jest niejadalny”. Czekając na reakcje słuchaczy, zastanawiałam się, co myślą o moim programie – uważają go za kraba czy za pająka? Liczba entuzjastycznych listów piętrzących się na moim biurku przekonała mnie, że prawdziwa jest ta pierwsza możliwość.

List, który otrzymałam od Zhanga Xiaoshuana był pierwszym, w którym domagano się ode mnie realnej pomocy, i wprowadził mnie w wielkie zakłopotanie. Powiedziałam o nim kierownikowi działu i spytałam, co mam robić. Zasugerował obojętnie, żebym skontaktowała się z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego. Połączyłam się z nimi i zaserwowałam im historię Zhanga Xiaoshuana.

Policjant na drugim końcu kabla kazał mi się uspokoić.

– Takie rzeczy zdarzają się ciągle. Gdyby każdy reagował tak jak pani, zapracowalibyśmy się na śmierć. Tak czy owak przypadek jest beznadziejny. Mamy tu całe sterty doniesień, a nasze zasoby ludzkie i finansowe są ograniczone. Na pani miejscu trzymałbym się od tego z daleka. Tacy wieśniacy nie boją się nikogo ani niczego; nawet jeśli tam wkroczymy, spalą nam samochody i pobiją funkcjonariuszy. Ci ludzie posuną się do ostateczności, byle tylko zapewnić sobie kontynuację rodu, żeby nie zgrzeszyć przed przodkami, nie zapewniając im dziedzica.

– Wobec tego – powiedziałam – nie zamierza pan wziąć żadnej odpowiedzialności za tę dziewczynę?

– Tego nie powiedziałem, ale...

– Ale co?

– Ale nie ma pośpiechu, zabierzemy się do tego powoli.

– Pozwalając na jej powolną śmierć!

Policjant stłumił chichot.

– Słusznie mówią, że policjanci walczą z ogniem wzniesionym przez dziennikarzy. Proszę mi przypomnieć, jak się pani nazywa?

– Xin... ran – wydusiłam przez zaciśnięte zęby.

– Tak, jasne, Xinran, piękne nazwisko. W porządku, Xinran, niech pani tu przyjdzie. Pomogę pani – jego słowa brzmiały, jakby wyświadczał mi przysługę, a nie spełniał swój obowiązek.

Poszłam prosto do jego gabinetu. Był typowym chińskim policjantem: krzepkim i czujnym, o niebudzącym zaufania wyrazie twarzy.

– Tam, na wsi – rzekł – niebiosa są wysoko, a cesarz daleko.

Uważał, że na wsi prawo nie działa. Chłopi boją się tylko lokalnych władz, które kontrolują dostawy pestycydów, nawozów, nasion i narzędzi rolniczych.

Policjant miał rację. W końcu to właśnie tamtejszy kierownik zaopatrzenia rolniczego uratował tę dziewczynę. Zagroził, że odetnie dostawy nawozów, jeśli jej nie wypuszczą. Trzech policjantów zawiozło mnie do wsi radiowozem. Kiedy przyjechaliśmy, sołtys musiał torować nam drogę w tłumie wieśniaków, którzy wygrażali nam pięściami i lżyli nas. Dziewczynka miała zaledwie dwanaście lat. Kiedy ją zabieraliśmy, stary płakał i siarczyście przeklinał. Bałam się wypytywać o chłopca, który do mnie napisał. Chciałam mu podziękować, ale policjant powiedział, że gdyby wieśniacy dowiedzieli się, co zrobił, mogliby wymordować całą jego rodzinę.

Przekonawszy się osobiście o sile, jaką dysponują chłopi, zrozumiałam, jak to się stało, że Mao pokonał Chiang Kai-sheka z jego brytyjską i amerykańską bronią – właśnie dzięki ich pomocy.

Dziewczyna została wysłana z powrotem do domu w Xiningu – w dwudziestodwugodzinnej podróży pociągiem towarzyszył jej funkcjonariusz policji i ktoś z rozgłośni radiowej. Okazało się, że rodzice, szukając jej, zaciągnęli dług sięgający prawie dziesięciu tysięcy juanów.

Nikt mnie nie pochwalił za uratowanie tamtej dziewczynki – spotkała mnie tylko krytyka za niepotrzebne „przemieszczanie oddziałów i budzenie niepokoju ludu” tudzież marnowanie czasu i pieniędzy rozgłośni. Byłam zdruzgotana tymi zarzutami. Dziewczynce groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, a przyjście jej na ratunek zostało uznane za „eksploatowanie narodu i opróżnianie skarbu”. Ile jest warte życie kobiety w Chinach?

Zaczęło mnie prześladować to pytanie. Większość piszących do mnie słuchaczy stanowiły kobiety. Pisały często anonimowo albo pod przybranym nazwiskiem. Wiele z tego, czego się od nich dowiedziałam, głęboko mnie poruszyło. Przedtem wydawało mi się, że rozumiem Chinki, lecz czytając te listy, zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Moje rodaczki wiodły żywot w warunkach dla mnie niewyobrażalnych i musiały radzić sobie z problemami, o których nie miałam pojęcia.

Wiele pytań moich słuchaczek dotyczyło sfery seksualnej. Jedna z kobiet była ciekawa, dlaczego jej serce zaczyna szybciej bić, kiedy wpada na mężczyzn w autobusie. Inna pytała, czemu oblała się potem, kiedy jakiś mężczyzna dotknął jej ręki. Przez długi czas wszelkie rozmowy na tematy seksualne były zakazane, a jakiegokolwiek kontakty fizyczne

między mężczyzną a kobietą, którzy nie byli małżeństwem, prowadziły do publicznego potępienia – para taka stawała się przedmiotem „zwalczania”, groziło jej nawet więzienie. Nawet intymne, łóżkowe zwierzenia między mężem a żoną mogły zostać potraktowane jako występki, a w rodzinnych kłótniach ludzie grozili, że doniosą na siebie nawzajem na policję. W rezultacie dwa pokolenia Chińczyków dorastały w całkowitej niewiedzy na temat własnych naturalnych instynktów. Ja sama w wieku dwudziestu dwu lat byłam tak nieuświadomiona, że nie chciałam trzymać za rękę nauczyciela na zabawie przy ognisku, ze strachu, że zajdę w ciążę. Moja wizja zapłodnienia pochodziła z fragmentu wyczytanego w jakiejś książce: „Trzymali się za ręce w świetle księżycy... Na wiosnę urodził im się ruchliwy chłopczyk”. Zapragnęłam dowiedzieć się więcej na temat życia intymnego Chinek, więc zdecydowałam się rozpocząć badania różnych środowisk kulturowych, w których żyły.

Stary Chen był pierwszą osobą, której opowiedziałam o moim projekcie. Był dziennikarzem z długim stażem i cieszył się wielkim szacunkiem. Podobno nawet burmistrz Nankinu się go radził. Często zasięgałam jego opinii o mojej pracy, przez wzgląd na jego stanowisko, a także po to, by skorzystać z jego rozległego doświadczenia. Tym razem zaskoczyła mnie jego reakcja. Pokręcił głową, tak łysą, że nie wiadomo, gdzie niegdyś kończyły się włosy, a zaczynała twarz, i oświadczył:

– Naiwna!

Byłam kompletnie zbита z tropu. Według Chińczyków łysa głowa jest oznaką mądrości. Czyżbym się myliła? Co było naiwnego w moim dążeniu, by zrozumieć chińskie kobiety?

Opowiedziałam o ostrzeżeniu Chena mojemu przyjacielowi, pracownikowi uniwersytetu.

– Xinran, byłaś kiedyś w fabryce biszkoptów? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałam ze zdumieniem.

– Widzisz, a ja byłem. Dlatego nie jadam biszkoptów.
– Poradził mi, żebym poszła do piekarni i przekonała się, co ma na myśli.

Jestem osobą z natury niecierpliwą, toteż następnego ranka o piątej udałam się do piekarni, małej, ale z dobrą opinią. Nie zapowiedziałam swojej wizyty, nie spodziewałam się jednak żadnych przeszkód. Dziennikarze w Chinach nazywani są „królami bez koron”. Mają prawo swobodnego wejścia do niemal każdej instytucji w kraju.

Kierownik piekarni nie miał pojęcia, po co przyszłam, ale duże wrażenie zrobiło na nim moje poświęcenie dla pracy: powiedział, że nigdy nie widział dziennikarza, który tak wcześnie rano byłby już na nogach i zbierał materiały. Jeszcze się całkiem nie rozwidniło; w słabym świetle fabrycznych lamp robotnice wbijały jaja do wielkiej kadzi. Ziewały i odchrząkiwały z przeraźliwym charkotem. Powtarzające się odgłosy splunąć niepokoiły mnie. Jedna z kobiet miała całą twarz w żółtku, co było zapewne skutkiem wycierania nosa ręką, nie jakiegoś tajemniczego zabiegu upiększającego. Obserwowałam dwóch robotników, którzy dodawali aromatu i barwnika do rzadkiego ciasta przygotowanego poprzedniego dnia. Do mieszanki dodano jajka, a następnie rozlano ją do foremek poruszających się na taśmociągu. Kiedy foremki wyjechały z pieca, kilkanaście robotnic zapakowało ciastka do pudełek. Kobiety miały okruchy w kącikach ust.

Kiedy opuściłam zakład, przypomniałam sobie słowa pewnego kolegi dziennikarza: to nie toalety i ścieki są naj-

brudniejsze na świecie, lecz fabryki żywności i restauracyjne kuchnie. Postanowiłam nie jeść już więcej biszkoptów, ale nie mogłam pojąć, jaki związek miało to, co zobaczyłam, z kwestią zrozumienia kobiet.

Zadzwoiłam do tamtego przyjaciela, który wydawał się zawiedziony moją niedomyślnością.

– Widziałaś, przez co przeszły te piękne, puszyste ciasteczka, zanim stały się tym, czym są. Gdybyś oglądała je tylko w sklepie, nigdy byś się tego nie dowiedziała. Nawet gdyby ci się udało napisać o tym, jak źle zarządzany jest ten zakład i jak łamie się w nim zasady higieny – myślisz, że ludzie straciliby ochotę na biszkopty? Tak samo jest z chińskimi kobietami. Powiedzmy, że uda ci się dostać do ich domów i zajrzeć do ich wspomnień – czy będziesz potrafiła osądzić zasady, wedle których żyją, czy będziesz w stanie je zmienić? Poza tym – jak wiele z tych kobiet odłoży na bok szacunek do samych siebie i zgodzi się porozmawiać z tobą? Mam wrażenie, że ten twój kolega z pracy to rzeczywiście mądry facet.

第二章²

dziewczynka, która hodowała muszkę

Stary Chen i mój uniwersytecki przyjaciel w jednym mie-
li całkowitą rację. Trudno będzie znaleźć kobiety, które
zechcą swobodnie ze mną rozmawiać. Dla Chinek nagie
ciało jest przedmiotem wstydu, nie zachwyty. Ukrywają je
przed światem. Moja prośba o udzielenie wywiadu będzie
tym samym, co prośba o zdjęcie ubrania. Zrozumiałam, że
by dowiedzieć się więcej o ich życiu, będę musiała spróbo-
wać innych, subtelniejszych metod.

Moim punktem wyjścia były listy, które dostawałam od
słuchaczek – pełne tęsknoty i nadziei. Spytałam dyrekto-
ra, czy mogłabym dodać na końcu swojego programu dział
korespondencji, w którym omawiałabym, a może i odczy-
tywała na antenie niektóre listy. Dyrektor nie sprzeciwił się
temu pomysłowi: on także chciał zrozumieć, co myślą chiń-
skie kobiety, sądząc, że to pomoże mu rozwiązać problem
napiętych stosunków z żoną. Nie mógł jednak sam udzielić
zezwolenia – musiał wysłać podanie do biura centralnego.
Doskonale znałam tę procedurę: kadra kierownicza w na-
szej rozgłośni składała się z chłopców na posyłki na stano-

wiskach, bez żadnej realnej władzy. Decyzje zapadały na wyższym szczeblu.

Po sześciu tygodniach moje podanie wróciło, zdobne w cztery czerwone pieczęcie oznaczające oficjalne zezwolenie. Czas trwania proponowanej przeze mnie nowej części programu został ograniczony do dziesięciu minut. Mimo to miałam uczucie, jakby manna spadła mi z nieba.

Reakcja na mój dziesięciominutowy dział korespondencyjny dalece przerosła moje oczekiwania: liczba listów od słuchaczy doszła do stu dziennie. W sortowaniu korespondencji musiało mi pomagać sześciu studentów. Tematyka listów stawała się coraz bardziej różnorodna. Wydarzenia, o których opowiadały słuchaczki, rozgrywały się w najróżniejszych częściach kraju, w różnym czasie, na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat, a one same pochodziły z najrozmaitszych środowisk społecznych, kulturalnych i zawodowych. Otwierały przede mną światy, które pozostawały dotąd ukryte przed większością ludzi, również przede mną. Byłam głęboko poruszona ich listami. Wiele z nich zawierało różne osobiste dodatki, jak suszone kwiaty, liście czy kawałki kory albo pamiątki wydziergane szydełkiem.

Pewnego popołudnia po powrocie do biura zastałam na biurku paczkę wraz z notką od portiera. Podobno pakunek przyniosła kobieta około czterdziestki i poprosiła o przekazanie go mnie, nie zostawiła jednak swojego nazwiska ani adresu. Kilku kolegów poradziło mi, żebym przed otwarciem zniosła paczkę do działu bezpieczeństwa, żeby ją sprawdzili, ale odmówiłam. Czułam, że i tak nie da się oszukać przeznaczenia, a silny impuls nakazywał mi otworzyć paczkę od razu. W środku było stare pudełko po butach, ozdobione ładnym rysunkiem muchy o ludzkich

cechach. Kolory niemal całkowicie wyblakły. Przy muszym otworze gębowym wypisano: „Bez nadejścia wiosny nie rozkwitną kwiaty, bez właściciela – otwierać nie wolno”. Do pokrywki sprytnie przytwierdzono małą kłódkę.

Zawahałam się: czy wolno mi to otworzyć? W tym momencie dostrzegłam notkę, najwyraźniej świeżo przyklejoną: „Xinran, proszę to otworzyć”.

Pudełko wypełniały pożółkłe, wyblakłe kartki pokryte pismem. Miały różne wymiary, kształty i kolory: w większości były to skrawki papieru w rodzaju tego, jakiego używa się w aktach szpitalnych. Wyglądało to na pamiętnik. Pudełko zawierało jeszcze gruby list polecony zaadresowany do Yan Yulong z Brygady Produkcyjnej X w prowincji Shandong, a nadawcą była osoba imieniem Hongxue, która jako adres podała szpital w prowincji Henan. Data stempla: 24 sierpnia 1975 roku. Koperta była otwarta, a na samym wierzchu widniały słowa: „Xinran, uprzejmie proszę Panią o przeczytanie wszystkiego co do słowa. Wierny słuchacz”.

Ponieważ przed wejściem na antenę nie miałam już czasu przejrzeć tych kartek, zaczęłam od listu:

Droga Yulong!

Czy wszystko dobrze u Ciebie? Przepraszam, że nie napisałam wcześniej, nie miałam żadnego powodu, by zwlekać – po prostu mam Ci tyle do powiedzenia, że nie wiedziałam, od czego zacząć. Wybacz.

Jest już za późno, by błagać Cię o wybaczenie mi tego straszliwego, nienaprawialnego błędu, ale mimo to wciąż pragnę powtórzyć: droga Yulong, tak mi przykro!

W swoim liście zadałaś mi dwa pytania: „Dlaczego nie chcesz widywać się z ojcem?” i „Dlaczego narysowałaś muchę i czemu zrobiłaś to tak pięknie?”

Droga Yulong, obydwa pytania są dla mnie bardzo, bardzo bolesne, ale postaram się na nie odpowiedzieć.

Która dziewczynka nie kocha własnego ojca? Ojciec to wielkie drzewo chroniące rodzinę, dźwigar podpierający dom, strażnik swojej żony i dzieci. Lecz ja nie kocham swojego ojca – nienawidzę go.

W roku, w którym ukończyłam jedenaście lat, w noworoczny poranek wstałam wcześniej i zauważyłam, że krwawię bez żadnego widocznego powodu. Byłam tak przerażona, że wybuchłam płaczem. Usłyszała mnie matka, przyszła i powiedziała: „Hongxue, jesteś już dorosła”. Nikt, nawet mama, nie mówił mi wcześniej o kobiecych sprawach. Tamtego dnia mama dała mi podstawowe rady, jak postępować z krwawieniem, ale poza tym niczego mi nie wyjaśniła. Byłam taka podekscytowana: stałam się kobietą! Trzy godziny biegałam, skakałam i tańczyłam po podwórku, zapomniałam nawet o obiedzie.

Pewnego lutowego dnia padał gęsty śnieg, a mama poszła w odwiedziny do sąsiadki. Mój ojciec wrócił do domu z bazy wojskowej, była to jedna z jego rzadkich wizyt. Powiedział: „Matka mówiła, że już dorostaś. Chodź, rozbierz się i pokaż tacie, czy to prawda”.

Nie miałam pojęcia, co właściwie chce zobaczyć, było tak zimno – nie miałam ochoty się rozbierać.

„Szybko! Tata ci pomoże” – powiedział, wprawnie zdejmując mi ubranie. Całkiem stracił swoją zwykłą flegmatyczność. Głaskał dłońmi całe moje ciało, pytając mnie: „Czy te małe sutki są powiększone? Czy to stąd leci krew? Czy te usteczka chcą całować tatusia? Przyjemnie ci, jak tata cię głaszcze?”

Wstydziłam się okropnie. Odkąd pamiętam, nigdy przed nikim się nie rozebrałam, z wyjątkiem publicznych łaźni, gdzie był podział na damską i męską. Ojciec zauważył, że się trzęsę. Powiedział, że bym się nie bała i ostrzegł, że bym nic nie mówiła mamie. „Twoja matka nigdy cię nie lubiła – rzekł. – Jeśli się dowie, że tak bardzo cię kocham, jeszcze mniej będzie chciała mieć z tobą do czynienia”.

To było moje pierwsze „kobiece doświadczenie”. Czułam się potem bardzo źle.

Od tamtej pory często, kiedy tylko matki nie było w pokoju, bo akurat zajęła się gotowaniem albo poszła do toalety, ojciec dopa-

dał mnie za drzwiami i macał po całym ciele. Coraz bardziej się bałam tej „miłości”.

Potem ojca przeniesiono do innej bazy wojskowej. Matka nie mogła mu towarzyszyć z powodu pracy. Powiedziała, że dość się już namęczyła wychowywaniem mnie i brata, i chciałyby, żeby teraz on przez jakiś czas powypelniał swój ojcowski obowiązek. W ten sposób zamieszkaliśmy z ojcem.

Trafiłam do jaskini lwa.

Każdego po południu, kiedy drzemałam, ojciec zakradał się do mojego łóżka. Mieliśmy pokój we wspólnym dormitorium i ojciec pod pretekstem, że brat nie lubi południowej drzemki, wcale go nie wpuszczął.

Przez pierwszych kilka dni tylko głaskał mnie rękoma. Później zaczął mi wpychać język do ust, w końcu zaczął dźgać mnie tym twardym czymś, co ma w dolnej części ciała. Wpełzał do mojego łóżka o każdej porze dnia i nocy. Otwierał mnie rękoma i zabawiał się mną. Wkładał mi nawet paluchy do środka.

Skończył już wtedy z udawaniem, że to „ojcowska miłość”. Groził mi, mówił, że jeśli komukolwiek o tym powiem, poddadzą mnie publicznej krytyce i będą pędzić ulicą z wiechciem słomy na głowie, ponieważ już stałam się tym, co nazywają „popsutym chodakiem”.

Moje błyskawicznie dojrzewające ciało z dnia na dzień podniecało go coraz bardziej, a ja byłam coraz bardziej przerażona. Zainstalowałam zamek w drzwiach sypialni, ale on, nie przejmując się, że pobudzi wszystkich sąsiadów, walił w drzwi tak długo, aż otworzyłam. Czasem namawiał innych lokatorów, żeby pomogli mu wyważyć drzwi, albo mówił, że musi wejść po coś przez okno, a ja tak mocno śpię. Czasami pomagał mu mój brat, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Bez względu na to, czy się zamknęłam, czy nie, ojciec wchodził do mojej sypialni całkowicie jawnie.

Często, gdy tylko usłyszałam pukanie, paraliżował mnie strach i z drżeniem kuliłam się pod kołdrą. Sąsiedzi mówili potem: „Spałaś jak zabita, więc twój biedny tata musiał wejść po swoje rzeczy przez okno!”

Bałam się spać we własnym pokoju, bałam się być w nim sama. Ojciec zauważył, że ciągle szukam pretekstu, by wyjść, więc wprowadził zasadę, że codziennie mam wracać punktualnie do domu na obiad. Często zapadałam w sen, zanim skończyłam jeść: ojciec dodawał mi środków nasennych do jedzenia. Nie miałam żadnej możliwości obrony.

Wielokrotnie myślałam o samobójstwie, ale nie miałam serca opuszczać mojego braciszka, który zostałby całkiem sam. Chudłam coraz bardziej, aż w końcu ciężko zachorowałam.

Kiedy po raz pierwszy przyjęli mnie do szpitala wojskowego, dyżurna pielęgniarka powiedziała lekarzowi, doktorowi Zhongowi, że mam zaburzenia snu. Trzęsałam się ze strachu na najcichszy nawet dźwięk. Doktor Zhong, który nie wiedział, jak jest naprawdę, powiedział, że to przez wysoką gorączkę.

Nawet gdy byłam w ciężkim stanie, mój ojciec przychodził do szpitala i wykorzystywał mnie, kiedy byłam podłączona do kropłówki i nie mogłam się ruszać. Pewnego razu, gdy zobaczyłam, że wchodzi do mojego pokoju, zaczęłam wrzeszczeć jak opętana, ale kiedy przybiegła dyżurna pielęgniarka, ojciec powiedział, że jestem z natury wybuchowa. Za pierwszym razem spędziłam w szpitalu tylko dwa tygodnie. Kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam siniaka na główce mojego braciszka i ślady krwi na jego płaszczyku. Powiedział, że kiedy byłam w szpitalu, ojciec był w paskudnym nastroju i bił go z najbliższych powodów. Wtedy ten zwyrodnialec, mój ojciec, przywarł do mojego wątłego, wciąż osłabionego ciała, i szepnął: „Ależ za tobą tęskniłem!”

Plakałam i nie mogłam przestać. Czy to naprawdę mój ojciec? Czy sprawił sobie dzieci tylko po to, żeby zaspokajały jego zwierzęce żądze? Po co dał mi życie?

Moje doświadczenia szpitalne wskazały mi sposób na dalsze życie. Wolałam zastrzyki, pigułki i pobieranie krwi od mieszkania z ojcem. Zaczęłam więc umyślnie robić sobie krzywdę, raz po raz. W zimie moczyłam się w zimnej wodzie, a potem wychodziłam i stałam wśród śniegu i lodu; jesienią jadłam zepsute jedzenie. Raz w rozpaczycy wyciągnęłam rękę po spadający kawał żelaza, żeby

odrąbał mi dłoń (gdyby nie kłoc miękkiego drewna pod spodem, z pewnością straciłabym ją). Udało mi się wtedy zdobyć całe sześćdziesiąt bezpiecznych nocy. Na zmianę okaleczałam się lub zażywałam lekarstwa, i chudłam.

Ponad dwa lata później matka dostała w pracy przeniesienie i zamieszkała z nami. Jej przyjazd nie wywarł najmniejszego wpływu na występną żądze mojego ojca. Mówił, że ciało matki jest stare i zwiędłe, a ja jestem jego konkubina. Matka najwyraźniej o niczym nie wiedziała, aż do tego dnia w lutym, kiedy ojciec bił mnie za to, że nie kupiłam mu czegoś, co chciał, a ja krzyknęłam na niego po raz pierwszy w życiu, powodowana rozpaczą i wściekłością: „Co z ciebie za człowiek? Bijesz kogo popadnie, zabawiasz się z kim chcesz i jak chcesz!”

Matka, która przyglądała się temu z boku, spytała mnie, co mam na myśli. Ledwie otworzyłam usta, ojciec powiedział, patrząc na mnie groźnie: „Nie gadaj bzdur!”

Doprowadzona do ostateczności, powiedziałam wszystko matce. Widziałam, że ogromnie ją to zmartwiło. Ale po paru godzinach moja „rozsądna” matka powiedziała: „Dla bezpieczeństwa całej naszej rodziny musisz to znosić. Bo inaczej – co pocniemy?”

Moje nadzieje legły w gruzach. Moja własna matka kazała mi znosić napastowanie przez ojca – gdzie tu jakakolwiek sprawiedliwość?

Tamtej nocy temperatura skoczyła mi do czterdziestu stopni. Znowu zabrano mnie do szpitala, gdzie jestem do dzisiaj. Tym razem nie musiałam nic robić, żeby wywołać chorobę – po prostu dostałam zapaści, ponieważ moje serce dostało zapaści. Nie mam już zamiaru wracać do tamtego „domu”.

Droga Yulong, to właśnie są powody, dla których nie chcę widywać się z ojcem. Zresztą co z niego za ojciec? Milczę przez wzgląd na moją braciszka i na matkę (mimo że i tak mnie nie kocha); beze mnie nadal są taką samą rodziną jak przedtem.

Dlaczego narysowałam muchę i dlaczego zrobiłam to tak pięknie?

Ponieważ tęsknię za prawdziwą matką i ojcem: prawdziwą rodziną, w której mogłabym być dzieckiem i wyplakiwać się w ramionach rodziców, w której mogłabym bezpiecznie spać w swoim łóżku, w której czyjeś czułe ręce pogłaskałyby mnie po głowie po przebudzeniu ze złego snu. Od najwcześniejszego dzieciństwa nigdy nie czułam takiej miłości. Tęskniłam za nią i miałam nadzieję, lecz nigdy jej nie otrzymałam i już nigdy nie otrzymam, ponieważ wszyscy mamy tylko jednego ojca i jedną matkę.

Dotyk kochających dłoni pokazała mi pewnego razu mała, kochana muszka.

Droga Yulong, nie wiem, co teraz pocznę po tym wszystkim. Może odszukam Cię i postaram się Ci jakoś pomóc. Mogę robić wiele rzeczy i nie boję się trudów, póki tylko mogę spać spokojnie. Czy mogłabym przyjechać do Ciebie? Proszę, odpisz i daj mi znać.

Naprawdę jestem ciekawa, jak się miewasz. Czy dalej ćwiczysz rosyjski? Zażywasz lekarstwa? Nadchodzi zima, musisz dbać o siebie.

Mam nadzieję, że dasz mi szansę wynagrodzić Ci to wszystko, pozwolisz mi zrobić coś dla Ciebie. Nie mam rodziny, ale mam nadzieję, że mogłabym być dla Ciebie jak młodsza siostra.

Życzę dużo zdrowia i szczęścia!

Tęsknię za Tobą.

Hongxue

23 sierpnia 1975

Ten list wstrząsnął mną do głębi i w czasie wieczornej audycji trudno mi było zachować spokój. Później słuchacze pisali do mnie z pytaniami, czy nie jestem chora.

Po zakończeniu programu zadzwoniłam do przyjaciół z prośbą, żeby sprawdzili, czy mój synek i niania mają się dobrze. Potem usiadłam w biurze i zabrałam się za porządkowanie tamtych kartek. Tak właśnie przeczytałam pamiętnik Hongxue.

27 lutego, śnieżycą

Ależ jestem dzisiaj szczęśliwa! Moje marzenia po raz kolejny się spełniły: znowu jestem w szpitalu. Tym razem nie było to trudne, ale i tak już tak bardzo cierpię!

Nie chcę już dłużej się zastanawiać: kim jestem? czym jestem? Te pytania są bezużyteczne, jak wszystko, co związane ze mną: mój rozum, moja młodość, mój dowcip i moje zręczne palce. Teraz pragnę tylko długiego, mocnego snu.

Mam nadzieję, że lekarze i pielęgniarki nie będą dziś specjalnie obowiązkowi i nie będą zbyt gorliwie sprawdzać sal w czasie obchodu.

Sala szpitalna jest taka przytulna i wygodna do pisania.

2 marca, słonecznie

Śnieg stopniał bardzo szybko. Wczorajszego ranka był jeszcze biały i czysty. Dziś, kiedy wybiegłam na dwór, resztki śniegu stały się pożółkłe, poplamione jak palce pacjentki z mojego oddziału, Babcy Wang, która pali jak smok.

Uwielbiam śnieżycę. Wszystko robi się białe i czyściutkie; wiatr wydmuchuje wzory na powierzchni śniegu, skaczące ptaszki zostawiają delikatne tropy, ludzie też mimo woli pozostawiają piękne ślady. Wczoraj kilka razy wykradłam się na zewnątrz. Doktor Liu i siostra przełożona zbesztali mnie: „Chyba oszalałaś, żeby wybiegać na dwór z wysoką gorączką! Chcesz się zabić?” Nie obchodzi mnie, co mówią. Mają ostre języki, ale wiem, że w środku są łagodni.

Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego. Fajnie byłoby sfotografować ten krajobraz przykryty śniegiem.

17 kwietnia, słonecznie (później wietrznie?)

Jest tutaj pacjentka o imieniu Yulong. Przez chroniczny reumatyzm trafia do szpitala kilka razy w roku. Siostra Gao zawsze cmoka współczująco, że taka ładna, mądra dziewczynka cierpi na taką dokuczliwą chorobę.

Yulong traktuje mnie jak swoją ukochaną młodszą siostrę. Kiedy tu jest, dotrzymuje mi towarzystwa na dziedzińcu, wtedy, kiedy wolno mi wyjść z sali (pacjentom nie wolno odwiedzać innych oddziałów. Lekarze się boją, że pozarazamy się wzajemnie albo że wpłynie to negatywnie na leczenie). Gramy w siatkówkę, badmintona albo w szachy i gawędzimy. Nie pozwala, bym była samotna. Kiedy ma coś dobrego do jedzenia albo do zabawy, zawsze dzieli się ze mną.

Lubię Yulong także dlatego, że jest bardzo ładna. Kiedyś, dawno temu, słyszałam, że po jakimś czasie przyjaciele upodabniają się do siebie. Gdybym mogła być choć w połowie taka piękna jak Yulong, wystarczyłoby mi to w zupełności. Nie tylko ja ją lubię, wszyscy za nią przepadają. Kiedy czegoś potrzebuje, każdy chętnie jej pomaga. Ma też różne przywileje, jakich nie mają inni. Na przykład zmieniają jej pościel dwa razy w tygodniu, zamiast raz, wolno jej przyjmować gości w pokoju i nigdy nie musi długo czekać na pielęgniarkę. Pielęgniarze mężczyźni szukają pretekstu, żeby kręcić się w pobliżu jej pokoju. Jestem pewna, że Yulong dostaje też lepsze jedzenie.

Naprawdę jej zazdrozczę – jak mówi Babcia Wang, ładna buzia to jej szczęście. Babcia Wang jednak nie lubi Yulong. Mówi, że jest jak lisica-demon z dawnych legend, która uwodzi mężczyzn i doprowadza do śmierci.

*

Wstałam po kryjomu, żeby pisać, ale doktor Yu złapała mnie na swoim nocnym obchodzie. Zapytała, czy jestem głodna, i zaprosiła na nocną przekąskę. Powiedziała, że pełny żołądek pomoże mi zasnąć.

W pokoju pielęgniarek siostra Gao zapaliła kuchenkę i zabrała się do gotowania klusek ze smażonymi na chrupko zielonymi cebulkami. Nagle wyłączyli prąd. Jedyne światło pochodziło z kuchenki. Doktor Yu popędziła z latarką sprawdzić, co się dzieje z pacjentami, a siostra Gao gotowała

dalej. Wyglądało na to, że jest przyzwyczajona do robienia różnych rzeczy w ciemności, i po krótkiej chwili w powietrzu rozszedł się aromat smażonych cebulek. Kochana siostra Gao wiedziała, że uwielbiam smażoną cebulkę, i nałożyła mi aż dwie łyżki. Wkrótce prąd został włączony, doktor Yu wróciła i wszystkie trzy usiadłyśmy do jedzenia. Kiedy pochłaniałam drugą łyżkę, powiedziałem doktor Yu, jak siostra Gao rozpieszcza mnie, nakładając mi specjalnie więcej cebulek.

Nagle doktor Yu odepchnęła moją łyżkę i spytała natarczywie:

– Zjadłaś już jakieś cebulki?

– Tak, to już druga łyżka. – Skinęłam głową, zdumiona.

Siostra Gao była speszona.

– Co się stało? Czemu nas pani tak straszy?

Doktor Yu z niepokojem wskazała na chrupiące cebulki rozsypane po podłodze. Wśród nich leżały niezliczone martwe muchy, spalone na wiór. Z kryjówek wywabило je gorąco i światło kuchenki. Osłabione z powodu zimy, powpadały do garnka. W ciemności nikt tego nie zauważył.

Doktor Yu i siostra Gao szybko znalazły jakieś lekarstwo. Obie łyknęły po dwie pigułki, a mnie dały cztery. Popiłam je roztworem glukozy. Kluski, które pachniały tak cudownie, zostały wyrzucone do klozetu. Siostra Gao i doktor Yu pocieszały mnie, że na pewno nie zachoruję.

Moje myśli były pełne much, które zjadłam. Czy połamałam im kosteczki i zmiażdżyłam ciała zębami? A może połknęłam w całości?

A niech to! Ależ zabawną historyjkę napisałam!

21 kwietnia, lekki deszcz

Postanowiłam zacząć hodować małą muszkę.

Zeszłej niedzieli nie dostałam żadnej kroplówki, więc spałam sobie smacznie, aż obudziło mnie delikatne mrowienie na skórze. Na wpol śpiąca, nie miałam ochoty się ruszać, więc leżałam dalej, zastanawiając się, skąd się wzięło to uczucie.

Cokolwiek je wywołało, robiło to nadal, poruszając się energicznie na mojej nodze, ale nie przeszkadzało mi to wcale ani nie niepokoiło. Miałam wrażenie, jakby głąskała mnie czule para maleńkich rączek. Byłam wdzięczna tym małym rączkom i chciałam się dowiedzieć, do kogo należą. Otworzyłam oczy i spojrzałam:

Mucha! To straszne! Na muchach jest pełno brudu i bakterii!

Nie miałam pojęcia, że musze nóżki mogą być takie łagodne i delikatne, chociaż są takie brudne.

Kilka kolejnych dni czekałam na te maleńkie rączki, ale nie pojawiły się więcej.

Kiedy dziś rano dali mi kontrast i robili prześwietlenie, przypomniało mi się nagle, jak byłam kiedyś w szpitalnym laboratorium. Pomyślałam o tych wszystkich zwierzątkach, które lekarze hodują do eksperymentów medycznych. Sama mogę wyhodować czystą muszkę! Tak, znajdę sobie małą muszkę i będę ją trzymać w swojej moskitierze.

25 kwietnia, zachmurzenie

Trudno znaleźć małą muszkę. Świat jest pełen wielkich much, brzęczących i siadających w najbrudniejszych i najbardziej śmierdzących miejscach; boję się ich dotykać. Chciałabym zapytać doktora Zhonga o radę, w końcu jest biologiem i na pewno będzie wiedział, skąd wziąć małą muszkę. Ale jeśli go spytam, pomyśli, że zwariowałam.

8 maja, słonecznie

Jestem zmęczona, bardzo zmęczona.

Dwa dni temu nareszcie złapałam małą muszkę. Jest naprawdę maleńka. Szamotała się w pajęczej sieci na małej jabłonce w zagajniku za stołówką. Nakryłam muchę razem z siecią torebką z gazy, którą zrobiłam z maseczki na twarz, i zabrałam ją do swojego pokoju. Kiedy mijałam zabiegowy,

pielęgniarz Zhang zapytał, co tam mam. Rzuciłam pierwsze, co przyszło mi do głowy – że złapałam motyla, po czym po-
pędziłam z powrotem do pokoju i wśliznęłam się pod swoją
moskitierę. Kiedy tylko znalazłam się w środku, powoli otwo-
rzyłam torebeczkę z gazy. Ku mojemu zaskoczeniu włókienka
gazy porozrywały pajęczą sieć i muszka mogła się swobodnie
poruszać. Pomyślałam, że na pewno jest bardzo zmęczona
i głodna po tym, jak siedziała w potrzasku nie wiadomo jak
długo, więc pobiegłam do pokoju pielęgniarek, ukradłam
trochę gazy i zwilżyłam ją roztworem glukozy. Potem po-
pędziłam do kuchni i zwinęłam kawałeczek mięsa z kotła
z resztkami. Kiedy wróciłam do swojej moskitiery, muszka
siedziała nadal w tym samym miejscu. Jej skrzydełka drgały
słabiotko; wyglądała na wygłodniałą i zmęczoną. Położyłam
mięso na słodkiej gazie i delikatnie podsunęłam je muszce.
W tym momencie usłyszałam odgłos toczącego się wóz-
ka z lekarstwami. Czas na popołudniową dawkę. Musiałam
przykryć czymś muszkę, nie mogłam pozwolić, by ktoś ją
zauważył. Lubię zbierać różne pojemniczki, więc z łatwo-
ścią znalazłam pudełeczko z przezroczystym plastikowym
wieczkiem, do którego włożyłam muszkę i jej „gniazdko”
z gazy. Akurat kiedy skończyłam, wszedł pielęgniarz Zhang
z wózkiem.

– Jak tam twój motylek? – spytał. – Pokażesz, czy jest ład-
ny?

– Ten motylek... pomyślałam, że jest całkiem nieładny,
więc go wypuściłam – skłamałam, jękając się.

– To nic, następnym razem złapię ci ładniejszego – pocie-
szył mnie.

Podziękowałam, ale chciałam, żeby czym prędzej sobie po-
szedł. Martwiłam się o swoją muszkę.

Hodować muszkę jest znacznie trudniej niż trzymać kocia-
ka. Wszyscy lubią kotki, więc jeśli masz kotka, zawsze ktoś
ci pomoże. Ale much nikt nie lubi. Martwię się, że ktoś ją

zabije albo że muszka ucieknie. Przez ostatnich kilka dni nie odważyłam się wyjść na dwór, żeby trochę się poruszać, bo bałam się, że coś jej się stanie. W nocy śpię niespokojnie, bo obawiam się, że lekarze i pielęgniarki przepędzą moją muszkę. Nasłuchuję ich kroków i wystawiam rękę poza moskitierę, zanim wejdą do sali, żeby mogli zbadać mi puls i zmierzyć temperaturę bez podnoszenia siatki. I tak ciągle, od paru dni. Jestem już naprawdę bardzo zmęczona.

Ale to i tak lepsze niż spanie w domu. Poza tym moja muszka wygląda już coraz lepiej. Rośnie bardzo powoli, trudno dostrzec, że w ogóle się powiększa. To nie szkodzi, wcale nie przepadam za tymi wielkimi muszyskami o zielonych głowach. Mała muszka ciągle siada na mnie: uwielbiam jej delikatny, czasem łaskoczący, dotyk na skórze. Lubię, kiedy spaceruje mi po policzkach, ale nie pozwalam się całować.

11 maja, słonecznie

Przez ostatnich kilka dni nie musiałam dostawać kroplówek. Doktor Zhong mówi, że potrzymają mnie jeszcze jakiś czas na obserwacji, a potem nowa terapia. Nie obchodzi mnie, co ze mną robią, póki mogę tu mieszkać i nie muszę wracać do domu.

Moja muszka jest cudowna.

Urządziłam jej domek, w którym jest bezpieczna i jednocześnie ma dużo miejsca: jest to przykrywka z gazy – używają takich w stołówce do przykrywania jedzenia. Dał mi ją szef kuchni, bo powiedziałam, że codziennie muszę dostawać kroplówki i nie mogę jeść o normalnych porach, i potrzebne mi coś, żeby muchy i inne owady nie pełzały po moich posiłkach. Szef kuchni jest bardzo dobry. Zgodził się od razu i nawet uszył mi z gazy woreczek, żebym mogła w nim trzymać czyste naczynia i sztućce. W ten sposób muszka ma własny domek, ale najważniejsze, że jest tam zupełnie bezpieczna. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że pod przykrywką przeciw muchom jest mucha. Do tego wcale nie muszę biegać do sto-

łówki po jedzenie dla niej, bo mogę się z nią podzielić swoim ryżem i warzywami.

Znowu mogę spać spokojnie.

Dziś świeci piękne słońce. Włożyłam muszkę do domku w nogach mojego łóżka i pożyczyłam od Babci Wang szkło powiększające, żeby móc obserwować, jak je cukier.

Pod lupą muszka wygląda jak maleńki staruszek – jest cała owłosiona! Tak mnie to zdumiało, że musiałam szybko odłożyć szkło. Nie chcę widzieć, że jest taka brzydka. Kiedy patrzę gołym okiem, wygląda ślicznie: ma maleńkie ciało, nie wiadomo nawet, czy jest szara, brązowa czy czarna (może jest łaciata). Jej skrzydełka połyskują w słońcu jak maleńkie diamenty, szczupłe nóżki przywodzą na myśl nogi tancerki, oczy przypominają szklane kulki. Nie udało mi się dostrzec źrenic – nie widać, by czemukolwiek się przyglądała.

Na posłodzonej gazie moja muszka zachowuje się naprawdę zabawnie: cały czas przebiera przednimi łapkami, trze jedną o drugą, jak człowiek, który myje ręce.

9 czerwca, pochmurno, później przejaśnienia

Od kilku dni czuję się bardzo słabo, ale kiedy przychodzi czas na codzienne badanie, nie mam ani gorączki, ani szczególnie niskiego ciśnienia. Dziś, kiedy grałam z Yulong w badminton, ledwie widziałam lotkę, a raz prawie zemdlałam, kiedy chciałam odbić jej podanie. Widzę jak przez mgłę, wszystko wygląda, jakby rzucało drżące cienie. Na szczęście doktor Zhong miał dzisiaj dyżur. Kiedy mu o wszystkim powiedziałam, stwierdził, że będę musiała wrócić do głównego szpitala na kolejne badania krwi.

Na dzisiaj koniec pisania, widzę wszystko podwójnie.

Nie widzę też dobrze mojej muszki, jest za mała. Dziś wygląda, jakby było ich dwie.

Pielęgniarz Zhang mówił, że da mi dzisiaj coś fajnego, ale ja zaraz zasnę, a on ciągle nie przychodzi. Pewnie żartował

sobie ze mnie. Dziś już nic więcej nie napiszę, za bardzo chce mi się spać. Dobranoc, pamiętniczku.

11 czerwca, ?

Zaledwie przed chwilą przestałam płakać. Nikt nie wie, dlaczego płakałam – lekarze, pielęgniarki i pacjenci myślą, że ze strachu przed śmiercią. Tak naprawdę wcale nie boję się umierania. Babcia Wang mówi: „Życie jest o włos od śmierci”. Myślę, że ma rację. Śmierć musi być czymś w rodzaju snu; lubię przebywać we śnie, z dala od tego świata. Poza tym jeśli umrę, nie będę musiała się martwić, że odeślą mnie do domu. Mam tylko siedemnaście lat, ale myślę, że to dobry wiek, żeby umrzeć. Pozostanę na zawsze młodą dziewczyną i nigdy nie zamienię się w staruszkę o pomarszczonej twarzy, jak Babcia Wang.

Płakałam dlatego, że moja muszka umarła.

Przedwczoraj wieczorem zapisałam w pamiętniku tylko kilka zdań, a potem poczułam się tak oszołomiona, że nie byłam w stanie pisać dalej. Wstałam, żeby pójść do toalety, a kiedy już miałam położyć się z powrotem, zobaczyłam parę demonicznych oczu patrzących na mnie z wezgłowia łóżka. Przeraziły mnie tak, że krzyknęłam i zemdlałam.

Doktor Liu mówił, że potem przez pół dnia majaczyłam, krzycząc coś o muchach, demonach i oczach. Babcia Wang powiedziała wszystkim pacjentom z naszego oddziału, że jestem opętana, ale siostra przełożona kazała jej nie opowiadać bzdur.

Doktor Zhong wiedział, czemu straciłam zmysły i okropnie nakrzyczał na pielęgniarza Zhanga. Zhang spędził kilka godzin, łapiąc dla mnie wielkiego, wzorzystego motyla, którego chciał mi dać w prezencie, a potem przypiął go żywego do wezgłowia mojego łóżka, żeby mi zrobić miłą niespodziankę, i nie przyszło mu do głowy, że tak śmiertelnie się go wystraszę.

Kiedy majaczyłam, nie byłam w stanie opiekować się muszką. W tym czasie ktoś nastawiał różnych rzeczy na stoliku obok mojego łóżka i zgniótł muszkę pod przykrywką z gazy. Odnalazłam ją z wielkim trudem, ale do tego czasu jej ciało całkiem wyschło.

Biedna mała muszka, umarła, zanim zdążyła dorosnąć.

Włożyłam ją delikatnie do pudełka po zapalniczkach, które przechowywałam od dawna. Wyciągnęłam trochę bawełnianej waty z kołdry i wyłożyłam nią pudełeczko. Chciałam, żeby muszce wygodniej się spało.

Jutro pogrzebię małą muszkę w zagajniku na wzgórzu, za szpitalem. Mało kto tamtędy przechodzi, panuje spokój.

12 czerwca, pochmurno, potem lekkie zachmurzenie

Dzisiejszego ranka niebo było ciemne i ponure. W salach szpitalnych też panowała szarość: wszystko wokół pasowało do moich uczuć. Cały czas byłam na granicy płaczu, rozmyślając o mojej muszce, która już nigdy nie będzie się ze mną bawić.

Doktor Zhong mówi, że mam za mało białych krwinek i że to dlatego czuję się taka słaba. Od dzisiaj będę musiała dostawać trzy butelki nowego lekarstwa dziennie w kroplówce; każda półlitrowa butelka zajmuje około dwóch godzin, więc trzy potrójają prawie sześć godzin. Będzie mi ciężko leżeć tu w samotności i liczyć każdą kroplę lekarstwa. Będę tęskniła za muszką.

W południe słońce wyjrzało niepewnie, ale co chwila kryło się za chmurami. Nie wiem, czy bawiło się z nami w chowanego, czy też było zbyt leniwe albo chore, żeby świecić. Może też bolało je serce z powodu muszki i płakało po kryjomu?

Kroplówki skończyły się dopiero po kolacji, ale nie miałam apetytu. Chciałam pogrzebać moją muszkę, póki było jasno.

Zawinęłam pudełeczko po zapalniczkach w swoją ulubioną chusteczkę i okrężną drogą, żeby ominąć pokój pielęgnia-

rek, wymknęłam się ze szpitala i powędrowałam do zagajnika na wzgórzu. Wybrałam miejsce obok głazu, który był widoczny z dołu, i tam zamierzałam pochować muszkę. Chciałam wykorzystać ten głaz jako nagrobek, dzięki któremu spoglądając od strony tylnego wejścia do szpitala, będę dobrze widziała, gdzie jest grób. Grunt był bardzo twardy – próbowałam kopać rękoma, ale nic z tego nie wyszło. Próbowałam posłużyć się gałązką, ale było ciężko, więc postanowiłam poszukać grubszej gałęzi. Położyłam pudełko na gładzie i wspierałam się dalej na wzgórzu, żeby jakiejś poszukać.

Nagle usłyszałam czyjś ciężki oddech i dziwne jęki. Po chwili zobaczyłam mężczyznę i kobietę turlających się po trawiastej polance. Nie widziałam wyraźnie, ale wyglądało, jakby się ze sobą mocowali. Ten oddech brzmiał, jakby umierający szamotał się w ostatniej walce.

Zaczęłam dygotać ze strachu. Nie wiedziałam, co robić: widywałam takie sceny na filmach, ale nigdy w prawdziwym życiu. Wiedziałam, że jestem bardzo słaba i nie mam dość siły, żeby pomóc tej kobiecie, ani tym bardziej powstrzymać tego mężczyznę. Pomyślałam, że lepiej sprowadzę pomoc. Pospiesznie chwyciłam pudełko – nie mogłam zostawić mojej muszki samej – i pobiegłam z powrotem do szpitala.

Pierwszą osobą, którą spotkałam u stóp wzgórza, była siostra przełożona, która szukała mnie w pobliżu wejścia do szpitala. Byłam tak wyczerpana i oddychałam tak ciężko, że nie mogłam mówić, ale pokazywałam uporczywie w stronę wzgórza. Doktor Zhong, który właśnie skończył dyżur i wychodził ze szpitala, podszedł i zapytał, co się stało.

Nie wiedziałam, jak mu to wytłumaczyć. „Myślę, że tam ktoś umiera!”

Doktor Zhong pobiegł w stronę wzgórza, a siostra przełożona podała mi tlen. Byłam tak wyczerpana, że zasnęłam w trakcie wdychania.

Kiedy się obudziłam, poszłam do pokoju pielęgniarek. Chciałam się dowiedzieć, czy uratowali kobietę z zagajnika i co się z nią dzieje.

O dziwo siostra Gao, która miała właśnie dyżur, nic mi nie powiedziała. Poklepała mnie tylko po głowie i rzekła:

– Ech, ty...

– Co ja? – Poczulałam się bardzo dotknięta. Wciąż jednak nie mam pojęcia, co się wydarzyło.

13 czerwca, słonecznie

Znalazłam bezpieczne miejsce dla muszki: jedna z pielęgniarek dała mi dzisiaj pudełko czekoladek z likierem. Uwielbiam czekoladki z likierem: lubię robić w nich igłą dwie dziurki i wysysać likier (nie da się tego zrobić, jeśli dziurka jest tylko jedna). Dziś, kiedy to robiłam, nagle wpadłam na doskonały pomysł. Mogę włożyć muszkę do pustej czekoladki, którą będę przechowywać w lodówce w dyżurce (siostra przełożona mówiła, że mogę tam trzymać jedzenie). Włożyłam więc muszkę do czekoladki, która na pewno by jej smakowała. W ten sposób będę też mogła często ją odwiedzać.

Zmyslna jestem, prawda? Jasne, że jestem. A przynajmniej tak uważam.

23 czerwca, upalnie i wietrznie

Yulong będzie dziś wypisana do domu. Nie chcę, żeby wychodziła. Oczywiście to dla niej dobrze, że wychodzi ze szpitala.

Co jej dam na pożegnanie?

24 czerwca, upalnie i wilgotno

Yulong wyjechała – nie mogłam jej odprowadzić, bo byłam pod kroplówką. Zanim wyszła, pozwolili jej wejść do mojego pokoju, żeby się pożegnać. Pogłaskała mnie po ręce, pokrytej śladami ukłuć, i przemawiała do mnie bardzo czule. Poradziła

mi, żebym nie myła rąk w zimnej wodzie, tylko w ciepłej, bo dzięki temu naczynia krwionośne będą się szybciej goić. Podarowała mi też parę rękawiczek, które zrobiła na drutach specjalnie dla mnie. Zamierzała dać mi je później, kiedy nastanie zima. Rozejrzała się dokładnie po pokoju, zastawionym sprzętem medycznym, i pochwaliła mnie za to, że utrzymuję tu taką czystość i porządek.

Spytałam, czy wie, co się stało z tamtą kobietą na wzgórzu. Nie rozumiała, o co mi chodzi, więc opowiedziałam o wszystkim, co widziałam. Zamilkła, jej oczy wypełniły się łzami.

Dałam Yulong obrazek przedstawiający małą muszkę, który oprawiłam za pomocą starej gumy, skrawków celofanu i kartonu. Powiedziała, że nigdy nie widziała tak pięknie narysowanej muchy i zachwyciła się oryginalną oprawą.

Pożegnałam się z nią, życząc jej jak najlepiej, ale w głębi duszy miałam nadzieję, że wkrótce wróci do szpitala i będzie mi dotrzymywała towarzystwa.

16 lipca, deszcz

Nigdy, przenigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłabym zrujnować Yulong życie.

Dziś otrzymałam list od Yulong, z wioski, w której mieszka:

Droga Hongxue!

Czy dobrze się czujesz? Czy dalej dostajesz kroplówki? Twoja rodzina nie może się Tobą opiekować, więc musisz się nauczyć samodzielnie dbać o siebie. Na szczęście wszyscy lekarze i pielęgniarki w szpitalu bardzo cię lubią, podobnie jak inni pacjenci. Wszyscy mamy nadzieję, że wkrótce wrócisz tam, gdzie jest Twoje miejsce, do rodziny i przyjaciół.

Zostałam wydalona z Akademii Wojskowej i wysłana z powrotem do mojej wioski pod eskortą: wszyscy wieśniacy mówią, że zawiodłam ich nadzieje.

Nigdy Ci nie mówiłam, że jestem sierotą. Moi rodzice zmarli jedno po drugim – jedno z powodu choroby, a drugie prawdopodobnie z głodu – niedługo po moich narodzinach. Wieśniacy ulitowali się nade mną i wychowywali mnie na zmianę. Żywiłam się strawą ze stu domów, nosiłam ubrania stu rodzin. Wioska była bardzo biedna. Wieśniacy odmawiali różnych rzeczy własnym dzieciom, byleby tylko wysłać mnie do szkoły: byłam pierwszym dzieckiem w wiosce, które zaczęło się uczyć. Cztery lata temu akademia wojskowa zaczęła szukać studentów wśród chłopów i robotników w naszych okolicach. Nasz sekretarz partii jechał ze mną po nocy do prefekturalnego obozu wojskowego, żeby uprosić dowódców o przyjęcie mnie. Powiedział im, że to największe marzenie wszystkich ludzi w naszej wiosce. Dowódcy przekazali to swoim kolegom i w końcu uzyskałam specjalne pozwolenie na uczestnictwo w szkoleniu, a potem – na wstąpienie do Akademii.

W Akademii studiowałam rosyjski i łączość, a większość moich kolegów pochodziła ze wsi. Ponieważ przy przyjmowaniu do Akademii najważniejsze było kryterium polityczne, istniały ogromne różnice w poziomie wykształcenia. Byłam najlepszą studentką w grupie, bo miałam za sobą rok liceum. W dodatku wyglądało na to, że mam zdolności językowe, bo z rosyjskiego zawsze zbiebrałam dobre stopnie. Wszyscy wykładowcy z naszego wydziału mówili, że mam zadatki na dyplomatę, a tłumaczem mogłabym zostać bez żadnego problemu. Pracowałam bardzo ciężko i nie przerywałam nauki mimo reumatyzmu, na który cierpię od dziecka. Chciałam odplacić za dobroć wieśniakom, którzy mnie wychowali.

Hongxue, rok temu nadszedł moment, gdy nie mogłam dłużej zaprzeczać temu, że dorosłam – z tego, że jestem już kobietą, zdałam sobie sprawę aż nazbyt dobrze. Ty jeszcze tego nie pojmujesz, ale zrozumiesz za kilka lat.

To ja, siostrzyczko, byłam tą kobietą, którą chciałaś „uratować” na wzgórzu za szpitalem.

Nikt nie robił mi krzywdy, byłam ze swoim chłopakiem...

Doktor Zhong i inni wystali nas do Wydziału Dyscypliny Wojskowej. Jego uwięzili i przesłuchiwali, a mnie pod nadzorem wystali z powrotem do szpitala, ponieważ potrzebowałam leczenia. Tamtej nocy mój chłopak, który był bardzo honorowy, zabił się. Następnego dnia urzędnicy z Wydziału Dyscypliny Wojskowej, Wydziału Bezpieczeństwa i zapewne kilku innych instytucji przybyli do szpitala, żeby przeprowadzić śledztwo. Powiedzieli, że dostarczyłam mojemu chłopakowi „środków do popełnienia przestępstwa uczynienia samego siebie martwym dla Partii i ludu na zawsze” (mówili, że samobójstwo jest przestępstwem). Odmówiłam oświadczenia, że zostałam zgwałcona, i zamiast tego przysięgłam wieczną miłość do mojego chłopaka.

Ceną, którą płacę za swoją miłość, jest powrót do tej biednej wioski i do chłopskiego życia. Wieśniacy stronią ode mnie – nie wiem, czy znajdę tu kiedykolwiek miejsce dla siebie.

Mój chłopak był dobrym człowiekiem i bardzo go kochałam.

Pisząc do Ciebie, nie chciałam Cię w najmniejszym stopniu obwiniać. Wiem, że jesteś jeszcze młoda i chciałaś uratować kogoś z dobroci serca. Obiecuj mi, że nie będziesz z tego powodu nieszczęśliwa. W przeciwnym razie zapłacę za to wszystko jeszcze wyższą cenę.

Na zakończenie, siostrzyczko, czy mogłabyś odpowiedzieć mi na następujące pytania:

Dlaczego nie chcesz widywać się z ojcem?

Dlaczego narysowałaś muchę i czemu zrobiłaś to tak pięknie?

Mam nadzieję, że wkrótce będziesz zdrowa i szczęśliwa.

Tęsknię za Tobą.

Yulong

Przy świetle świec, wieczorem 30 czerwca 1975

Teraz już wiem, czemu wielu ludzi ostatnio mnie unika. Wiedzą o tragicznym końcu Yulong i o tym, że to ja jestem temu winna, to ja jestem przestępczynią, przez którą spotkało ją tak wielkie nieszczęście.

Yulong, wyrządziłam ci niewybaczalną krzywdę.
Kto mi wybaczy?

30 lipca – dokuczliwy upał przed burzą

Od wielu dni prawie nie wychodzę. Nie chcę się z nikim widzieć. Każde słowo listu Yulong tkwi wyryte w mojej głowie. Jej pytania nie dają mi spokoju:

Dlaczego nie chcesz widywać się z ojcem?

Dlaczego narysowałaś muchę i czemu zrobiłaś to tak pięknie?

Żeby na nie odpowiedzieć, będę musiała sobie przypomnieć, powrócić do tego piekła. Lecz Yulong została strącona do piekieł przeze mnie. Muszę więc podjąć tę wędrówkę, nie wolno mi odmówić.

Muszka nadal śpi w sercu czekoladki; nic już nie zakłóci jej spokoju.

Kiedy patrzyłam na nią dzisiaj, przepelniała mnie zażdrość.

8 sierpnia, upał

Przez ostatnie dwa tygodnie panował nieustanny upał i wilgoć. Nie wiem, co tam się w niebie gotuje, że wyciska z ludzi tyle potu.

Potrzebuję odwagi, odwagi, by sobie przypomnieć. Potrzebna mi wytrzymałość i siła woli.

Kiedy zanurzam się we wspomnieniach, cierpienie przywiera do mnie jak błoto; na nowo wzbiera nienawiść, która zdążyła zblednąć w tym białym świecie choroby.

Chcę odpisać Yulong, ale nie wiem, od czego zacząć. Nie wiem, jak udzielić jasnych odpowiedzi na jej pytania. Wiem tylko, że będzie to bardzo długi list.

W ciągu ostatnich trzech dni nie miałam odwagi zaglądać do muszki. Przemawia do mnie w snach... ależ jest gorąco!

18 sierpnia, chłodno

Niebiosa nareszcie dały upust swoim uczuciom. Jesienny nieboskłon wznosi się wysoko, powietrze jest czyste i świeże. Wszyscy wydają się oddychać z ulgą i wyrzucać z siebie przygnębiecie wielu dni. Pacjenci, którzy przedtem siedzieli, pocąc się, w szpitalu, bojąc się upału, teraz szukają pretekstu, żeby wyjść na zewnątrz.

Ale ja nie chcę donikąd wychodzić. Muszę napisać do Yulong. Dziś rano wyjęłam muszkę, zamierzając zabrać ją na półgodzinny spacer w pudełku po zapalkach, ale przestraszyłam się, że czekolada się stopi i zrobi jej krzywdę, więc włożyłam ją czym prędzej z powrotem do lodówki.

Wczoraj w czasie obchodu doktor Zhong ostrzegł mnie. Powiedział, że wyniki badań wskazują, że nie cierpię na poważną chorobę krwi, ale nie są prawidłowe z powodu częstej wysokiej gorączki i skutków ubocznych lekarstw. Jeśli nie będę się oszczędzała, mogę zachorować na posocznicę. Siostra Gao nastraszyła mnie, mówiąc, że na posocznicę się umiera. Zwróciła mi uwagę, że po dziesięciu godzinach pod kroplówką nie powinnam tak siedzieć przy biurku i pisać, bez ruchu ani bez odpoczynku. Pielęgniarski Zhang myślał, że piszę następny esej dla magazynu „Armia Ludowo-Wyzwoleńcza” albo „Młodzież Chińska” i spytał gorliwie, o czym teraz piszę. Udało mi się już opublikować kilka esejów i pielęgniarski Zhang jest chyba moim najbardziej oddanym czytelnikiem.

24 sierpnia, słonecznie

Wysłałam dziś list polecony do Yulong. Jest bardzo gruby, więc wszystkie pieniądze, które dostałam za jeden z moich esejów, musiałam wydać na znaczki.

Zawsze marzyłam o tym, by jakoś pozbyć się cierpienia, ale czy mogę pozbyć się własnego życia? Wymazać przeszłość i przyszłość?

Często przeglądam się w lustrze z bliska. Moja twarz wygląda na gładką i młodą, ale wiem, że jest naznaczona do-

świadczaniem: nie zważając na próżność, często marszczy brwi – objaw strachu, który towarzyszy mi dniem i nocą. Oczom brak blasku i uroku źrenic młodej dziewczyny, w ich głębi można dostrzec cierpiące serce. Moim posiniałym ustom odebrano nadzieję na czułość; uszy, osłabione nieustanną czujnością, nie potrafią nawet utrzymać okularów; włosy zwiedły od zmartwień, a przecież powinny lśnić zdrowiem.

Czy taka powinna być twarz siedemnastoletniej dziewczyny?

Kim właściwie są kobiety? Czy mężczyźni należą do tego samego gatunku? Czemu tak bardzo się od nich różnią?

W książkach i filmach czasem mówią, że lepiej być kobietą, ale ja w to nie wierzę. Nigdy tak nie uważałam i nigdy nie będę.

Dlaczego ta wielka mucha, która nadleciała z brzęczeniem dzisiejszego popołudnia, ciągle siada na obrazku, który właśnie skończyłam? Czy to możliwe, że poznaje muszkę z obrazka? Przepędzam ją, ale niczego się nie boi. To ja się boję – a co jeśli ta mucha była jej matką?

Mówię poważnie. Muszę...

25 sierpnia, słonecznie

Wczoraj nie dokończyłam, bo nadszedł czas gaszenia światel.

Duża mucha ciągle mieszka w moim pokoju. Jest bardzo sprytna. Kiedy tylko ktoś wchodzi, chowa się, nie wiem gdzie. Gdy niebezpieczeństwo mija, siada na moim obrazku albo lata i byczy wokół mnie. Nie wiem, po co. Mam wrażenie, że nie chce zostawiać mnie samej.

Po południu doktor Zhong powiedział, że jeśli mój stan się ustabilizuje, będzie to oznaczało, że terapia jest skuteczna i zostanę wypisana do domu, by tam nabierać sił i zażywać lekarstwa. Siostra przełożona powiedziała, że od jesieni bę-

dzie brakowało łóżek, więc ludzie z przewlekłymi chorobami będą musieli opuścić szpital.

Do domu? To byłoby potworne!

Muszę wymyślić jakiś sposób, by zostać.

26 sierpnia, pochmurno

W nocy spałam niewiele. Obmyślałam różne wyjścia, ale wszystkie wydają się niewykonalne. Co robić?

Najłatwiej byłoby zarazić się jakąś chorobą, ale wstęp na oddział chorób zakaźnych jest zabroniony.

Dziś miałam głowę tak pełną myśli o tym, jak by tu zostać w szpitalu, że potknęłam się w stołówce. Postawiłam stopę w powietrzu i upadłam. Zrobiłam sobie wielkiego fioletowego siniaka na udzie i rozcięłam ramię. Kiedy zmieniały się dyżury, doktor Yu poleciła pielęgniarkę posmarować mi rękę maścią. Powiedziała, że jestem osłabiona i łatwo mogę dostać posocznicy, i kazała jej uważać na muchy przy zmianie opatrunku, bo muchy przenoszą choroby.

Wieczorem dyżurny pielęgniarz powiedział, że w moim pokoju są muchy i że chce spryskać wszystko aerozolem.

Nie chciałam, żeby duża mucha zginęła, więc powiedziałam mu, że jestem uczulona na aerozol na muchy. Odrzekł, że w takim razie jutro pozabija je packą. Nie wiem, gdzie skryła się duża mucha. Zamierzam przed snem zostawić otwarte okno, żeby mogła uciec. Nie wiem, czy zdoła się uratować.

27 sierpnia, mżawka

Nie udało mi się uratować dużej muchy. O szóstej czterdzieści rano przyszła doktor Yu, żeby sprawdzić pokój, i zabiła ją packą na moim obrazku. Mówiąc, że chcę zachować obrazek, nie pozwoliłam doktor Yu wyrzucić muchy i włożyłam ją do lodówki razem z małą muszką. Nie wiem dlaczego, ale miałam wrażenie, że łączyło je coś szczególnego.

Wydaje mi się, że rana na moim ramieniu jest lekko zakażona. Mam tam sporego czerwonego guza i bardzo niewy-

godnie mi się pisze. Pielęgniarka stażystce, która zmieniała mi opatrunek, powiedziałam, że wszystko jest w porządku i nie trzeba nakładać świeżej maści. Ku mojemu zaskoczeniu uwierzyła! Długi rękaw szpitalnej piżamy całkowicie zasłania moje ramię.

Mam nadzieję, że to zadziała.

„Muchy przenoszą choroby” – te słowa doktor Yu podsunęły mi pewien pomysł, którego zdecydowałam się spróbować. Nie obchodzi mnie skutki, lepsza śmierć niż powrót do domu.

Zamierzam rozgnieść muchę w ranie na ramieniu.

30 sierpnia, słonecznie

Udało się! Przez ostatnie dwa dni gorączka ciągle rośnie. Czuję się bardzo chora, ale szczęśliwa. Doktor Zhong jest bardzo zaskoczony tym pogorszeniem, zamierza zrobić mi kolejne pełne badanie krwi.

Od kilku dni nie odwiedzam mojej kochanej muszki. Czuję, jakby całe moje ciało przebiegały skurcze.

Przepraszam, mała muszko.

7 września

Wczoraj wieczorem zabrali mnie do tutejszego głównego szpitala.

Jestem bardzo zmęczona i senna. Tęsknię za muszką, bardzo tęsknię.

Nie wiem, czy Yulong odpowiedziała na mój list...

Kiedy pierwsze promienie słońca rozświetliły wschodnie niebo, a z sąsiednich biur zaczął dobiegać gwar ludzi przychodzących do pracy, skończyłam czytać pamiętnik. Hongxue zmarła na posocznicę. W pudełku z papierami znajdował się akt zgonu, datowany na 11 września 1975 roku.

Gdzie jest Yulong? Czy wie o śmierci Hongxue? Kim była kobieta około czterdziestki, która przyniosła pudełko? Czy eseje, które wydała Hongxue, były napisane równie pięknie, jak ten pamiętnik na kartkach z pudełka? Czy ojciec Hongxue miał wyrzuty sumienia, kiedy dowiedział się o samobójstwie córki? Czy matka Hongxue, która złożyła córkę w ofierze, kiedykolwiek się dowie, czym są prawdziwe uczucia macierzyńskie?

Nie znałam odpowiedzi na te pytania. Nie miałam pojęcia, ile wykorzystywanych seksualnie dziewczynek płakało tamtego poranka wśród tysięcy śpiących dusz.

第三章 ³

studentka

Myśl o Hongxue prześladowała mnie. Wydawało mi się, że patrzy na mnie bezradnymi, pełnymi nadziei oczyma, jakby błagała o pomoc. Przypadek, który miał miejsce kilka dni później, utwierdził mnie w postanowieniu, by uczynić moją audycję bardziej pomocną dla kobiet.

Tamtego poranka, o dziesiątej, kiedy dojechałam na rowerze do rozgłośni, drogę zastąpiła mi koleżanka wracająca z wczesnego dyżuru. Powiedziała, że przyszła jakaś para starszuchów, którzy opowiadają coś o wyrównywaniu ze mną rachunków.

– Jakich rachunków? – spytałam zdumiona.

– Nie mam pojęcia. Zdaje się, że twierdzą, że jesteś morderczynią.

– Morderczynią? O co im chodzi?

– Nie wiem, ale lepiej trzymaj się od nich z daleka. Takich, jak już się rozkręcą, nigdy nie przegadasz. – Ziewnęła. – Przepraszam, nie mogę się powstrzymać. Muszę wracać do domu się przespać. Przychodzenie tu na czwar-

tą trzydzieści na poranne wiadomości to istna udręka. Do widzenia.

Niezbyt przytomnie pomachałam jej na pożegnanie.

Strasznie chciałam się dowiedzieć, co się stało, ale musiałam czekać, aż zajmie się tym Biuro Spraw Zewnętrznych.

O dziewiątej wieczorem biuro nareszcie dostarczyło mi list przyniesiony przez tych dwoje starszych ludzi. Kolega, który mi go dał, powiedział, że to list pożegnalny ich jedynego dziecka, dziewiętnastoletniej córki. Obawiając się, że po przeczytaniu go będę zbyt zdenerwowana, by wejść na antenę, włożyłam list do kieszeni żakietu.

Kiedy nareszcie wyszłam ze studia, było już po wpół do drugiej w nocy. Dopiero gdy padłam w domu na łóżko, odważyłam się otworzyć list. Był poplamiony łzami.

Droga Xinran!

Dlaczego nie odpowiedziałaś na mój list? Nie rozumiesz, że muszę dokonać wyboru między życiem a śmiercią?

Kocham go, ale nigdy nie zrobiłam nic złego. Nigdy mnie nie dotknął, ale sąsiadka widziała, jak pocałował mnie w czoło i powiedziała wszystkim, że jestem niedobrą dziewczyną. Moja matka i ojciec tak bardzo się wstydzą.

Bardzo kocham moich rodziców. Już kiedy byłam małym dzieckiem, miałam nadzieję, że będą ze mnie dumni i szczęśliwi, że mają inteligentną i ładną córkę i że nie będą czuli się gorsi z tego powodu, że nie urodził im się syn.

Teraz zawiodłam ich nadzieje i sprawiłam, że stracili twarz. Ale nie rozumiem, co złego zrobiłam. Miłość chyba nie jest czymś niemoralnym, nie jest wykroczeniem przeciwko moralności?

Napisałam do Ciebie z pytaniem, co mam robić. Myślałam, że pomożesz mi wytłumaczyć to wszystkim rodzicom. Ale nawet Ty odwracasz się ode mnie.

Nikomu na mnie nie zależy. Nie ma sensu dalej żyć.

Żegnaj Cię, Xinran. Kocham Cię i nienawidzę.

Za życia wierna słuchaczka

Xiao Yu

Trzy tygodnie później w końcu doszedł pierwszy list Xiao Yu, w którym prosiła o pomoc. Czułam się zdruzgotana tą tragedią. Wolałam nie myśleć o tym, jak wiele młodych dziewczyn w Chinach zapłaciło życiem za swoją młodzieńczą ciekawość. Jak można traktować miłość jako coś niemoralnego i nieprzyzwoitego?

Chciałam zadać to pytanie słuchaczom i spytałam dyrektora, czy mogę na antenie odbierać telefony na ten temat.

Bardzo się zaniepokoił.

– W jaki sposób zamierza Pani prowadzić i kontrolować tę dyskusję?

– Panie dyrektorze, czyż nie żyjemy w czasach „reform i otwarcia”? Dlaczego nie spróbować? – starałam się uzasadnić swoją prośbę, używając nowomodnych sformułowań.

– Reformy to nie rewolucja, otwarcie nie oznacza wolności. Jesteśmy rzecznikami partii, nie możemy nadawać wszystkiego, co nam się podoba. – Mówiąc, robił dłonią gest podrzynania sobie gardła. Kiedy się zorientował, że nie zamierzam się poddać, zasugerował, żebym program na ten temat nagrała wcześniej. Oznaczałoby to, że cały scenariusz i wszystkie wywiady zostałyby dokładnie ocenzone w studio, a końcowa, przemontowana wersja, wysłana przed nadaniem do działu kontroli. Ponieważ wszystkie nagrane programy musiały przejść tak wiele etapów sprawdzania i redakcji, uznawano je za całkowicie bezpieczne. Programy na żywo były natomiast wolne od wielu ograniczeń. Wszystko zależało od techniki prezente-

ra i od jego umiejętności sterowania dyskusją tak, by omi-
nąć niebezpieczne rafy. Reżyserzy słuchali tych programów
z biciem serca, ponieważ każdy błąd mógł kosztować ich
stanowisko, a nawet wolność.

Byłam rozczarowana, że nie wolno mi będzie odbierać
telefonów na antenie. Nagranie programu w ten sposób za-
bierze mi dwa lub trzy razy więcej czasu, ale przynajmniej
spróbuję stworzyć coś względnie wolnego od „partyjnego
zabarwienia”. Zabrałam się więc do pracy i zaczęłam na-
grywać wywiady telefoniczne.

Wbrew moim oczekiwaniom reakcja publiczności po
wyemitowaniu audycji była raczej stonowana. Dostałam
nawet jeden bardzo ostry, krytyczny list:

*Wcześniej audycje radiowe były ciągami sloganów i biurokra-
tycznej nowomowy. Ostatnio wreszcie usłyszeliśmy coś w innym
tonie, coś o bardziej ludzkim zabarwieniu. Skąd zatem to cofnięcie
się w rozwoju? Temat jest wart rozważenia, ale prezenterka, ze
swoim chłodnym dystansem, usiłowała wykręcić się od odpowie-
dzialności. Nikt nie chce słuchać mądrości prawionych z oddali. To
jest temat do dyskusji – dlaczego ludzie nie mogą się swobodnie
wypowiedzieć? Dlaczego prezenterka nie ma odwagi odbierać te-
lefonów publiczności?*

Wrażenie dystansu, opisane przez niezadowolonego
słuchacza, było wynikiem długotrwałego procesu monta-
żu. Redaktorzy, którzy od dawna przywykli do pewnego
stylu pracy, wycięli wszystkie te fragmenty, gdzie starałam
się wprowadzić do swojego komentarza nieco bardziej
osobisty ton. Zachowywali się jak kucharze w wielkim ho-
telu: umieli przyrządzać tylko jedną potrawę. Wszystkie
głosy dostosowywali do swojego „smaku”, do którego byli
przyzwyczajeni.

Stary Chen widział, że czuję się skrzywdzona i urażona.

– Xinran, nie ma sensu się złościć. Bądź ponad to. Kiedy wchodzisz w bramę rozgłośni, twoja odwaga trafia do aresztu. Tu zamieniasz się albo w ważną osobę, albo w tchórza. Nieważne, co mówią inni i co ty sama myślisz – możesz stać się tylko jednym z tych dwóch. Lepiej staw czoło faktom.

– A ty, kim jesteś? – spytałam.

– Jednym i drugim. Dla samego siebie jestem bardzo ważną osobą, a dla innych – tchórzem. Ale wszelkie kategorie są wewnątrz bardziej złożone. Mówiłaś o związkach między miłością, tradycją i moralnością. Jak oddzielić od siebie te trzy rzeczy? W każdej kulturze, w każdej wrażliwości są one postrzegane inaczej. Tradycyjnie wychowane kobiety rumienią się na widok męskiego torsu. W nocnych klubach młode dziewczyny wystawiają na pokaz pólnagie ciała.

– Czy to nie jest przesada?

– Przesada? Prawdziwy świat kobiet jest pełen jeszcze większych kontrastów. Jeśli chcesz pogłębić swoją znajomość kobiet, znajdź sposób, by wyjść z tej rozgłośni i przyrzec się prawdziwemu życiu. Siedzenie w biurze i w studiu przez cały dzień nic ci nie pomoże.

Stary Chen zainspirował mnie. Miał zupełną rację. Musiałam bliżej przyrzec się życiu zwykłych kobiet i pozwolić, by moje obserwacje dojrzały. Ale w czasach, gdy podróżowanie było ograniczone, nawet dla dziennikarzy, nie było mi łatwo. Starłam się wykorzystać każdą okazję, zbierając informacje o kobietach w podróżach służbowych, odwiedzając przyjaciół i rodzinę, na urlopie. Wplatałam to wszystko w moje audycje i rejestrowałam reakcje słuchaczy.

Pewnego dnia spieszyłam do rozgłośni z uniwersytetu, gdzie prowadziłam gościnne wykłady. W porze lunchu w miasteczku studenckim aż się roiło, musiałam więc przejechać się rowerem przez tłum młodych ludzi. Nagle usłyszałam rozmowę kilku kobiet, które chyba mówiły o mnie.

– Mówi, że Chinki są bardzo tradycyjne. Nie zgadzam się z tym. Chinki mają swoją historię, ale mają też przyszłość. Ile jest w dzisiejszych czasach tradycyjnie wychowanych kobiet? Co to w ogóle znaczy: tradycyjna kobieta? Watowana kurteczka zapinana z boku? Włosy upięte w kok? Haftowane pantofelki? Zakrywanie twarzy w obecności mężczyzny?

– Wydaje mi się, że ta tradycja, o której mówi, to taka koncepcja – sposoby postrzegania przekazywane nam przez przodków, czy coś w tym rodzaju. Nie słuchałam wczoraj jej audycji, nie jestem pewna.

– Ja tam wcale nie słucham audycji dla kobiet, tylko muzycznych.

– Ja słuchałam, lubię zasypiać przy jej programie. Nadaje ładną muzykę i ma taki uspokajający głos. Ale nie podoba mi się, jak głądzi o tym, jakie to kobiety są łagodne i delikatne. Chyba nie chodzi jej o to, że mężczyźni to jakieś dzikusy?

– Myślę, że trochę tak jest. Chyba jest jedną z tych, co robią z siebie rozkapryszone księżniczki w mężowskich ramionach.

– Kto wie? Może jest z tych, co każą mężom klęczeć u swych stóp i wyładowują na nich swoją złość.

Ostąpiłam. Nie miałam pojęcia, że młode dziewczęta rozmawiają w ten sposób. Ponieważ się spieszyłam, nie zatrzymałam się i nie zapytałam ich o opinie, jak zazwyczaj, ale postanowiłam zacząć więcej rozmawiać ze studentkami. Ponieważ od czasu do czasu dawałam gościnne wykła-

dy, było mi łatwiej przeprowadzać wywiady na uczelni, bez zbędnej biurokratycznej mitręgi. To wśród studentów rozpoczynają się wszystkie rewolucje – ci młodzi ludzie pędzą na grzbiecie fali zmian w świadomości nowoczesnych Chińczyków.

Ktoś wspomniał mi o pewnej młodej kobiecie, należącej do uniwersyteckiej śmietanki towarzyskiej, znanej z inicjatywy, nowoczesnych poglądów i pomysłów. Miała szlachetnie brzmiące nazwisko i imię: Jin Shuai, „złoty generał”. Zaprosiłam ją do herbaciarni.

Jin Shuai przypominała raczej szefową od public relations niż studentkę. Nie wyróżniała się wyjątkową urodą, ale przyciągała uwagę. Miała na sobie dobrze skrojony granatowy garnitur, który korzystnie eksponował jej figurę, elegancką koszulową bluzkę i uwodzicielskie skórzane kozaki. Długie włosy nosiła rozpuszczone.

Sączyłyśmy herbatę „smocza studnia” z maleńkich czarek pokrytych glazurą o cynobrowej barwie.

– Xinran, naprawdę jest pani taka ocytana, jak mówią?

Zadając pierwsze pytanie, Jin Shuai natychmiast odwróciła rolę.

Chcąc zrobić na niej wrażenie, wyliczyłam trochę książek z historii i ekonomii, które czytałam.

Nie udało mi się.

– Czego te zakurzone tomy mogą nas nauczyć o ludzkich potrzebach i marzeniach? To wszystko puste teorie. Jeśli pani chce poczytać coś pożytecznego, niech pani sięgnie po *Nowoczesne zarządzanie przedsiębiorstwem*, *Stosunki międzyludzkie*, *Życie przedsiębiorcy*. Te książki przynajmniej pomogą pani zarobić. Współczuję pani – z tymi wszystkimi

ważnymi znajomościami, nie mówiąc już o tysiącach słuchaczy, haruje pani dzień i noc za jakąś nędzną pensyjkę. Tyle czasu pani straciła, czytając te wszystkie książki, że przegapiła pani swoją szansę.

Próbowałam się bronić.

– Każdy dokonuje w życiu własnych wyborów...

– Ojej, niech pani nie bierze tego tak do siebie. Czy nie jest pani zadaniem odpowiadać na pytania słuchaczy? Zadam pani jeszcze kilka. Jaka jest filozofia kobiet? Czym jest dla kobiety szczęście? Co to znaczy być dobrą kobietą?

– Jin Shuai jednym łykiem osuszyła czarękę.

Postanowiłam oddać inicjatywę Jin Shuai, w nadziei, że ujawni swoje prawdziwe oblicze.

– Chciałabym usłyszeć, co pani o tym myśli – rzekłam.

– Ja? Ja studiuje nauki ścisłe, nie mam pojęcia o kwestiach społecznych.

Zrobiła się dziwnie skromna, ale postanowiłam, że przy pomocy swojego dziennikarskiego kunsztu skłonię ją do mówienia.

– Ale pani opinie nie ograniczają się przecież do nauki – podsunęłam.

– No cóż, mam kilka poglądów na ten temat – przyznała.

– Nie tylko kilka. Jest pani znana ze swoich poglądów.

– Dziękuję pani. – Po raz pierwszy przemówiła do mnie tonem pełnym szacunku, którego, w moim dotychczasowym mniemaniu, mieli używać wszyscy studenci.

Skorzystałam więc z okazji i zadałam jej pytanie.

– Jest pani inteligentna, młoda i atrakcyjna. Czy uważa się pani za dobrą kobietę?

– Ja?

Zawahała się przez moment, lecz odpowiedziała zdecydowanie:

– Nie!

Zaintrygowana mnie.

– Dlaczego? – spytałam.

– Proszę pani, proszę jeszcze dwie herbaty „smocza studnia”! – Pewność siebie, z jaką Jin Shuai złożyła zamówienie, świadczyła o swobodzie będącej pochodną zamożności. – Nie jestem wystarczająco łagodna ani obowiązkowa. Dobre Chinki są nauczone zachowywać się łagodnie i potulnie, i przenoszą te zachowania do łóżka. W rezultacie ich mężowie twierdzą, że brakuje im seksapilu, a kobiety poddają się uciskowi, przekonane, że to wszystko ich wina. Muszą znosić bóle menstruacji i porodu, a do tego pracować tak samo jak mężczyźni, żeby utrzymać rodzinę, gdy mężowie nie zarabiają wystarczająco dużo. Faceci wieszają sobie nad łóżkiem zdjęcia pięknych kobiet, żeby się nimi podniecać, podczas gdy ich żony obwiniają same siebie za swoje wymęczone ciała. Zresztą z punktu widzenia mężczyzny dobre kobiety w ogóle nie istnieją.

Drażyłam dalej. Jin Shuai nie potrzebowała zachęty.

– Kiedy hormony szaleją, mężczyźni przysięgają wieczną miłość. Stąd ta cała poezja tworzona od wieków: miłość głęboka jak ocean i tym podobne. Ale mężczyźni, którzy tak kochają, istnieją tylko w opowieściach. Ci prawdziwi usprawiedliwiają się, że nie spotkali jeszcze kobiety zdolnej wzbudzić takie uczucie. Są mistrzami w wykorzystywaniu słabości kobiet, by nimi rządzić. Kilka słów czułości czy podziwu uszczęśliwi kobietę na długo, ale to wszystko iluzja.

Niech pani spojrzy na te wszystkie pary starszych ludzi, którzy przez wiele dziesiątków lat wspierali się wzajemnie. Pomyśli pani, że ci mężczyźni powinni być zadowoleni, ale proszę tylko dać im okazję, a porzucą starą i ożenią się z młódką. Powiedzą, że ich stare żony są do niczego. Według mężczyzn utrzymujących kochanki dobrych kobiet

jest jeszcze mniej. Tacy traktują kobiety jak zabawki. Gardzą nimi, w przeciwnym wypadku przecież dawno by się z nimi pożenili.

Jin Shuai przerwała i spoważniała.

– Czy wie pani, jakich kobiet pragną mężczyźni?

– Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie – przyznałam zgodnie z prawdą.

Jin Shuai przemówiła autorytatywnym tonem:

– Mężczyzna pragnie kobiety, która będzie cnotliwą żoną, dobrą matką, i zrobi wszystko w domu, jak służąca. Poza domem powinna być atrakcyjna i wyedukowana, żeby przysparzać mu szacunku innych. W łóżku powinna być nimfomanką. Ponadto chińscy mężczyźni wymagają, by kobiety zarządzały ich finansami i dużo zarabiały, tak żeby sami mogli obracać się w towarzystwie bogatych i wpływowych. Nowoczesnego Chińczyka martwi zniesienie poligamii. Ten staruszek Gu Hongming z końca dynastii Qing powiadał: „Do jednego mężczyzny pasują cztery kobiety, tak jak do czajniczka pasują cztery czariki na herbatę”. A dzisiejsi mężczyźni chcą jeszcze jedną czarękę – pełną pieniędzy. Proszę mi powiedzieć, ile chińskich kobiet jest w stanie spełnić wszystkie te wymagania? Według tych kryteriów wszystkie kobiety są do niczego.

Dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku obok odwracało się co pewien czas, zerkając na Jin Shuai, która kontynuowała niezrażona.

– Słyszała pani powiedzenie: „Najlepsze żony są cudze, ale dzieci – własne”?

– Tak – odparłam, szczęśliwa, że w końcu mogę pochwalić się jakąś wiedzą.

Zadumała się.

– Czytałam kiedyś książkę o miłości, w której napisano: „Zgłodniały lew pożywi się królikiem, jeśli nie znajdzie nic

lepszego, lecz ujrzawszy zebra, strąca królika i rzuci się w pościg za zebra...” Najtragiczniejsze jest to, że tak wiele kobiet akceptuje ocenę mężczyzn, że są złe i do niczego.

Poczułam, że Jin Shuai zalicza do nich także mnie, i zarumieniłam się lekko. Nie zauważyła.

– Xinran, czy pani wie, że te naprawdę „złe” kobiety mają najwięcej szczęścia? Wierzę w porzekadło „Mężczyźni stają się źli, gdy zdobędą pieniądze, a kobiety zdobywają pieniądze, gdy stają się złe”. Proszę nie myśleć, że są tutaj same biedne studentki. Wiele z nas, młodych kobiet, żyje na niezłym poziomie, nie biorąc ani grosza od rodziców. Po przyjeździe na uniwersytet wielu dziewcząt nie stać na mięso w stołówce, a teraz ubierają się w kaszmiry i noszą drogą biżuterię. Wszędzie jeżdżą taksówkami, mieszkają w hotelach. Proszę nie zrozumieć mnie źle – wcale niekoniecznie sprzedają swoje ciała.

Jin Shuai zauważyła, że jestem pod wrażeniem, i kontynuowała z uśmiechem:

– W dzisiejszych czasach mężczyźni mają coraz większe wymagania względem towarzyszących im kobiet. Chcą, żeby „osobiste sekretarki” czy też „towarzyszki”, z którymi się wszędzie prowadzą, były odpowiednio wykształcone. W warunkach obecnego niedoboru talentów gdzie mają szukać tych „osobistych sekretarek”, jeśli nie na uniwersytetach? Kobieta bez wykształcenia robi wrażenie tylko na drobnym przedsiębiorcy, lecz im wyższy poziom edukacji, tym większe szanse na złapanie bogatego biznesmena. „Osobista sekretarka” pracuje dla jednego mężczyzny, „towarzyszka” dla wielu. Są trzy poziomy towarzyszenia mężczyźnie. Pierwszy poziom obejmuje chodzenie z nim do restauracji, klubów nocnych i barów karaoke. Drugi sięga dalej – wizyty w teatrze, kinie i tym podobne. Nazywamy to „sprzedawaniem swego kunsztu,

nie siebie”. Rzecz jasna przyzwalanie tym mężczyznom na dobieranie się do guzików naszych bluzek także jest częścią umowy. Trzeci poziom oznacza gotowość na każde skinienie, w dzień i w nocy, i obejmuje również seks. Takie „osobiste sekretarki” nie śpią w akademikach, z wyjątkiem rzadkich przypadków, gdy szef odwiedza swój dom. Nawet wtedy mężczyzna najczęściej pozwala im mieszkać w pokoju hotelowym, który wynajął, żeby było mu łatwiej je znaleźć, gdy wróci. „Osobista sekretarka” nie musi się martwić o pościłki, ubrania, mieszkanie ani koszt podróży. Nikt nie śmie jej uchybić, ponieważ znajduje się zbyt blisko szefa. Jest się pod kontrolą jednego mężczyzny, lecz ma się władzę nad tysiącem innych! Przy odrobinie sprytu można szybko zdobyć całkiem realną władzę, a jeśli jesteśmy naprawdę inteligentne, pieniądze na zawsze przestają być dla nas zmartwieniem.

Dolała sobie herbaty.

– Czyż nie mówi się „epoka kształtuje człowieka”? „Osobista sekretarka” jest wynikiem polityki „reform i otwarcia” Denga Xiaopinga. Gdy tylko Chiny się otworzyły, wszyscy zaczęli gonić za pieniądzem; teraz każdy chce być szefem. Wielu marzy o bogactwie, a zdobywają je nieliczni. Czy zauważyła pani, że na wszystkich wizytówkach widnieją takie tytuły, jak prezes, dyrektor generalny? Wszystkie nazwy brzmią szumnie, niezależnie od wielkości firmy.

Jak ci wszyscy mężczyźni mogliby prowadzić swoje firmy bez sekretarek? Przecież straciliby twarz. Ale sekretarka na osiem godzin dziennie to za mało, żeby wszystko załatwić, ktoś musi być pod ręką cały czas. Jeśli dodamy do tego prawo seksualnego przyciągania – szans dla atrakcyjnych młodych dziewcząt powstaje mnóstwo. Te wszystkie modnie ubrane kobiety, krzątając się od jednego dusznego

urzędu państwowego do drugiego, przyspieszają rozwój gospodarczy Chin.

Cudzoziemcy, którzy starają się przejąć naszą gospodarkę, też potrzebują osobistych sekretarek. Nie mają pojęcia o Chinach ani o naszych zwyczajach. Gdyby nie pomoc sekretarek, skorumpowani urzędnicy już dawno by ich zniszczyli. Żeby zostać sekretarką cudzoziemca, trzeba też znać obcy język.

Większość „osobistych sekretarek” realnie ocenia swoje perspektywy. Wiedzą doskonale, że ich szefowie nigdy nie opuszczą własnych rodzin. Tylko całkiem głupie wzięłyby ich słodkie słówka za miłość. Ale takie też istnieją, i chyba nie muszą pani opowiadać, jak to się kończy.

Słuchałam wykładu Jin Shuai o świecie „towarzyszek” i „osobistych sekretarek” z otwartymi ze zdumienia ustami. Miałam wrażenie, że pochodzimy z różnych stuleci, jeśli nie z różnych krajów.

– Czy naprawdę tak się to wszystko odbywa? – wyjąkałam.

Jin Shuai była zaskoczona moją ignorancją.

– Oczywiście! Opowiem pani pewną prawdziwą historię. Mam przyjaciółkę imieniem Ying'er, piękną, miłą, wysoką i smukłą, o ślicznej twarzy i głosie. Ying'er była utalentowaną studentką akademii sztuk pięknych. Umiała śpiewać i grać na każdym instrumencie; wszędzie, gdzie się pojawiała, rozbrzmiewała muzyka i radosny śmiech. Za jej towarzystwem przepadali mężczyźni i kobiety. Dwa lata temu, kiedy Ying'er była na drugim roku, poznała na dancingu prezesa tajwańskiej firmy, nazwiskiem Wu. Był przystojny i elegancki, a agencja nieruchomości, którą prowadził w Szanghaju, dobrze prosperowała, więc postanowił otworzyć filię w Nankinie. Lecz gdy tu przyjechał, okazało się, że trudno mu się dostosować do tutejszych przepisów

dotyczących handlu. Wydał wiele tysięcy dolarów, a po sześciu miesiącach do otwarcia filii wciąż było daleko.

Ying'er zlitowała się nad Wu. Dzięki zaradności, dobrym manierom i kontaktom poradziła sobie z biurokracją w ministerstwie handlu, w urzędzie skarbowym, w Radzie Miejskiej i w banku. Wkrótce filia rozpoczęła działalność. Wu nie posiadał się z wdzięczności. Wynajął dla Ying'er apartament w czterogwiazdkowym hotelu i pokrywał wszystkie jej wydatki. Ying'er już wcześniej była światową kobietą, ale rycerskie maniere Wu zrobiły na niej wrażenie. Nie zachowywał się jak te wszystkie grube ryby, które sądzą, że za pieniądze można kupić wszystko. Ying'er postanowiła zerwać z „towarzyszeniem” innym mężczyznom i zaangażować się w pomoc Wu w prowadzeniu jego nankińskich interesów.

Pewnej nocy, około trzeciej, zadzwoniła do mnie. Była uszczęśliwiona:

– Słuchaj, tym razem to na poważnie! Ale nie przejmuj się, nie powiedziałam mu jeszcze o swoich uczuciach. Wiem, że ma żonę. Mówi, że to dobra kobieta. Pokazał mi zdjęcia ślubne, wyglądają na dobraną parę. Nie chcę rozbić jego rodziny, wystarczy mi, że jest dla mnie dobry. Jest taki kochający: kiedy jestem w gorszym nastroju albo coś wyprowadza mnie z równowagi, nie złości się. Kiedy spytałam, czemu jest taki cierpliwy, odpowiedział: „Co to za mężczyzna, który złości się na nieszczęśliwą kobietę?” Spotkałaś się kiedykolwiek z taką łagodnością? No dobra, nie będę ci dłużej przeszkadzać, chciałam tylko, żebyś o wszystkim wiedziała. Dobranoc, kochana.

Długo nie mogłam zasnąć, zastanawiając się, czy tak idealna miłość między mężczyzną i kobietą jest w ogóle możliwa. Miałam nadzieję, że Ying'er będzie tego przykładem i natchnie mnie odrobiną nadziei.

Nie widziałam Ying'er przez kolejnych kilka miesięcy – zamieszkała w rajach miłości. Kiedy spotkałam ją znowu, zaskoczył mnie jej mizerny wygląd. Była wychudzona. Powiedziała, że żona Wu napisała do niego, każąc mu wybierać między rozwodem a rozstaniem z Ying'er. Ying'er w swojej naiwności liczyła na to, że Wu wybierze ją, ponieważ sądziła, że nie potrafi bez niej żyć. Poza tym majątek Wu był tak duży, że ewentualny podział nie miałby zbyt dużego wpływu na jego interesy. Ale po konfrontacji z żoną, która przyjechała z Tajwanu, Wu oświadczył, że nie zostawi ani żony, ani majątku, i zażądał od Ying'er, żeby zniknęła z jego życia. Razem z żoną dali jej dziesięć tysięcy dolarów jako zadośćuczynienie za pomoc w prowadzeniu firmy w Nankinie.

Ying'er była zdruzgotana i poprosiła Wu o spotkanie sam na sam, by móc zadać mu trzy pytania. Po pierwsze spytała, czy jego decyzja jest ostateczna. Odpowiedział, że tak. Zapytała więc, czy jego wyznania uczuć były prawdziwe. Na to też odpowiedział twierdząco. W końcu chciała wiedzieć, jak to się stało, że jego uczucia się zmieniły. Wu odparł bezczelnie, że świat nieustannie się zmienia, po czym oznajmił, że limit trzech pytań został wyczerpany.

Ying'er wróciła do dawnego życia „towarzyszki”, z głębokim przekonaniem, że prawdziwa miłość nie istnieje. W tym roku, nie dalej niż dwa miesiące po skończeniu uniwersytetu, wyszła za mąż za Amerykanina. W pierwszym liście, który dostałam od niej z Ameryki, napisała: „Nigdy nie uważaj mężczyzny za drzewo, w którego cieniu możesz odpocząć. Kobieta jest nawozem, który gnije po to, by drzewo rosło w siłę... Miłość nie istnieje. Pary, które wyglądają na kochające, są ze sobą dla korzyści – dla pieniędzy, władzy, wpływów”.

Co za szkoda, że Ying'er zrozumiała to za późno.

Jin Shuai zamilkła, wzruszona losem swojej przyjaciółki.

– Jin Shuai, czy zamierza pani wyjść za mąż? – spytałam z ciekawością.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Nie mogę rozgryźć tej całej miłości. Mamy tu profesora, który nadużywa władzy przy wystawianiu ocen z egzaminów. Wzywa ładne studentki na „rozmowę od serca”, którą kontynuuje w pokoju hotelowym. To tajemnica poliszynela, wszyscy o tym wiedzą, z wyjątkiem jego żony. Ona z kolei opowiada z zadowoleniem, jak to mąż ją rozpieszcza: kupuje jej wszystko, o czym tylko zamarzy, robi wszystko w domu, mówiąc, że nie może pozwolić, by się męczyła. Czy uwierzyłaby pani, że lubieżny profesor i oddany mąż to ten sam mężczyzna? Ludzie mówią, że kobiety cenią sobie uczucia, a mężczyźni – ciało. Jeśli to prawda, to po co wychodzić za mąż? Kobiety, które żyją z niewiernymi mężami, są głupie.

Odpowiedziałam, że kobiety często stają się niewolnicami swoich uczuć, i opowiedziałam Jin Shuai o mojej znajomej, która wykłada na uniwersytecie. Kilka lat temu jej mąż, także pracownik naukowy, zauważył, że wielu ludzi zaczyna nieźle zarabiać, zakładając własne firmy. Konieczne chciał rzucić pracę i zrobić to samo. Żona powiedziała mu, że nie ma zdolności do interesów ani kierowania ludźmi i że nie wytrzyma konkurencji z innymi; przypomniała mu też, że jego największym talentem jest nauczanie, prowadzenie badań naukowych i pisanie. Mąż oskarżył ją, że go nie docenia, i postanowił udowodnić, że się myli. Jego przedsięwzięcie okazało się spektakularną klęską: stracił wszystkie rodzinne oszczędności i niczego nie osiągnął. Kobieta stała się jedynym żywicielem rodziny.

Bezrobotny mąż nie chciał pomagać jej w domu. Kiedy prosiła o pomoc, protestował, że jest mężczyzną i babskie

zajęcia nie są dla niego. Żona wychodziła wcześniej do pracy i późno wracała, ślaniając się ze zmęczenia. Mąż, który nigdy nie wstawał przed pierwszą po południu i całe dnie spędzał na oglądaniu telewizji, twierdził, że jest jeszcze bardziej od niej wyczerpany stresami spowodowanymi bezrobociem. Źle sypia i ma marny apetyt, więc potrzebuje dobrego, zdrowego pożywienia, by odzyskać siły.

Żona w wolnym czasie dawała dzieciom korepetycje, żeby dorobić, a mąż zarzucał jej, że się wyniszcza. Nie myślał w ogóle o tym, skąd biorą się pieniądze na utrzymanie. Kobieta nie wydawała ani grosza na nowe ubrania i kosmetyki dla siebie, ale dbała o to, by mąż zawsze chodził w dobrych garniturach i skórzanych butach. A on nie doceniał jej wysiłków i narzekał, że żona nie jest już tak dobrze ubrana i elegancka jak kiedyś, i porównywał ją z młodszymi atrakcyjnymi kobietami. Mimo dobrego wykształcenia zachowywał się jak zwykły chłop, chcący udowodnić swoją męską siłę i pozycję.

Koledzy i koleżanki z uniwersytetu besztali tę kobietę za to, że rozpieszcza i psuje swojego męża. Jej studenci także wyrażali dezaprobatę. Pytali, dlaczego podejmuje tak wielki wysiłek dla tak bezwartościowego mężczyzny, a ona odpowiadała bezzadnie: „Bo kiedyś tak bardzo mnie kochał”.

Jin Shuai rozsierdziła moja opowieść, ale przyznała, że takie sytuacje są powszechne.

– Myślę, że połowa chińskich rodzin składa się z przepracowanych kobiet i facetów, którzy wzdychają nad swoimi niespełnionymi ambicjami, obwiniają żony i urządzają im awantury. W dodatku wielu chińskich mężczyzn uważa, że powiedzenie żonie od czasu do czasu kilku czułych słów uwłacza ich godności. Nie pojmuję tego. A gdzie się

podziła godność mężczyzny, który bez żadnych skrępowań żyje na utrzymaniu słabej kobiety?

– Mówi pani jak feministka – zaczęłam ją.

– Nie jestem żadną feministką – po prostu jeszcze nie spotkałam w Chinach prawdziwego mężczyzny. Niech mi pani powie, ile kobiet napisało do pani programu, że są szczęśliwe ze swoimi mężczyznami? Ilu mężczyzn poprosiło o odczytanie na antenie listu o tym, jak bardzo kochają swoje żony? Dlaczego każdy Chińczyk uważa, że powiedzenie „kocham cię” podważa jego męski autorytet?

Dwóch mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku spoglądało w naszym kierunku. Byłam ciekawa, co też wynioskowali z groźnej miny Jin Shuai.

– Cóż, takie rzeczy mówią mężczyźni na Zachodzie, bo to należy do ich kultury – starałam się jakoś usprawiedliwić fakt, że nigdy nie dostałam podobnego listu.

– A więc myśli pani, że to kwestia różnic kulturowych? Jeśli facet nie ma odwagi powiedzieć tych dwóch słów kobiecie, którą kocha ponad wszystko, to czy można nazwać go mężczyzną? Według mnie w Chinach nie ma prawdziwych mężczyzn.

Milczałam. Cóż miałam do powiedzenia kobiecie, której serce, choć tak młode, już stwardniało na kamień? Jin Shuai roześmiała się.

– Moi przyjaciele mówią, że Chiny wreszcie dogoniły resztę świata w dziedzinie tematów rozmów. Ponieważ nie musimy już się martwić, że nie mamy pod dostatkiem jedzenia czy ubrania, zaczynamy rozmawiać o relacjach między kobietami a mężczyznami. Sądzę jednak, że w Chinach temat ten jest dużo bardziej złożony. Musimy stawić czoło takim kwestiom, jak istnienie w tym kraju ponad pięćdziesięciu grup etnicznych, nieustanne przemiany polityczne,

różnorodność norm dotyczących zachowania, sposobu bycia czy ubierania się kobiet. Pomyśleć, że na określenie żony istnieje aż dziesięć różnych słów!

Przez chwilę moja rozmówczyni przypominała beztroską, niewinną dziewczynę. Ten entuzjazm pasował do niej lepiej niż pancierz specjalistki od public relations – taka Jin Shuai dużo bardziej mi odpowiadała.

– Xinran, a może porozmawiamy o słynnych powiedzeniach związanych z kobietami? – zaproponowała. – Na przykład „Dobra kobieta nie bierze drugiego mężczyzny”. Jak wiele chińskich wdów nigdy nawet nie myślało o ponownym zamążpójściu, z troski o reputację rodziny? Ile kobiet „wykastrowało się” dla zachowania pozorów? Wiem, słowo „wykastrować” nie jest właściwe w odniesieniu do kobiet, ale dokładnie o to chodzi. Na wsi wciąż są takie kobiety. I jeszcze to o rybach...

– O jakich rybach?

Nigdy nie słyszałam takiego powiedzenia. Zdałam sobie sprawę, że w oczach młodego pokolenia muszę uchodzić za kompletną ignorantkę.

Jin Shuai westchnęła ostentacyjnie i zabębniła w stół polakierowanymi paznokciami.

– Biedna pani Xinran. Nie zna pani nawet podstawowych kategorii kobiet. I jak pani chce zrozumieć mężczyzn? Zaraz wytłumaczę. Kiedy mężczyźni sobie popijają, wymyślają różne definicje kobiet. Kochanki to „mieczniki” – smaczne, ale mają ostre szkielety. „Osobiste sekretarki” to „karpie”, bo im dłużej je „dusisz”, tym lepiej smakują. Cudze żony to „japońskie ryby fugu”: spróbowanie grozi śmiercią, ale podjęcie ryzyka jest powodem do dumy.

– A własne żony?

– Własna żona to „solony dorsz”.

– Solony dorsz? Dlaczego?

– Bo się nie psuje. Kiedy brakuje jedzenia, solone dorsze są tanie i wygodne, i da się je jeść z ryżem... No, muszę już iść do pracy. Nie trzeba było pozwolić mi tyle paplać. Czemu mi pani nie przerwała?

Milczałam, zaabsorbowana zdumiewającym porównaniem żon do solonych dorszy.

– Niech pani nie zapomni odpowiedzieć w swojej audycji na trzy pytania: Jaka jest filozofia kobiet? Czym jest dla kobiety szczęście? Co to znaczy być dobrą kobietą?

Jin Shuai skończyła pić herbatę, chwyciła torebkę i wyszła.

Długo się zastanawiałam nad pytaniami Jin Shuai i doszłam do wniosku, że nie znam na nie odpowiedzi. Przepaść między jej pokoleniem a moim wydawała się ogromna. W kolejnych latach miałam okazję spotykać się z wieloma studentkami. Temperamenty, postawy, style życia młodych Chinek, które dorastały w czasach „reform i otwarcia”, różniły się diametralnie od tych prezentowanych przez pokolenie ich rodziców. Ale choć wygłaszały mnóstwo kolorowych teorii na temat życia, pod powierzchnią ich myśli ziała pustka.

Czy można było je za to winić? Nie sądzę. W ich wychowaniu czegoś zabrakło, dlatego stały się właśnie takie. Nie dorastały w normalnym, kochającym środowisku.

Odkąd w odległej przeszłości minęły czasy społeczeństw matriarchalnych, pozycja chińskich kobiet zawsze była najniższa. Uważano je za przedmioty, część majątku, którym dzielono się tak jak jedzeniem, narzędziami czy bronią. Później pozwolono im wejść w świat mężczyzn, ale mogły przebywać tylko u ich stóp – od męskiego miłosierdzia bądź okrucieństwa zależał ich los. Poznając historię chińskiej architektury, dowiemy się, jak wiele długich lat minę-

ło, zanim niewielkiej grupie kobiet pozwolono przenieść się z bocznych izb rodzinnego domostwa, gdzie trzymano narzędzia i gdzie nocowali służący, do pomieszczeń sąsiadujących z głównymi pokojami, gdzie mieszkał pan domu i jego synowie.

Historia Chin jest bardzo długa, ale dopiero od niedawna kobiety stały się niezależne, a mężczyźni zaczęli je naprawdę poznawać.

W latach trzydziestych, kiedy na Zachodzie kobiety zaczęły się domagać równości płci, Chinki dopiero zaczęły rzucać wyzwanie społeczeństwu zdominowanemu przez mężczyzn, protestując przeciwko krępowaniu stóp czy aranżowaniu małżeństw przez starsze pokolenie. Nie miały jednak żadnej wizji praw i obowiązków kobiet; nie miały pojęcia, jak zbudować własny świat. Bezradnie poszukiwały odpowiedzi w swojej ograniczonej przestrzeni, w kraju, w którym cała edukacja była narzucona przez partię. Skutki tego stanu rzeczy dla młodego pokolenia były niepokojące. Aby przeżyć w tym okrutnym świecie, wielu młodych ludzi zamknęło się w twardej skorupie, podobnie jak Jin Shuai, tłumiąc wszelkie uczucia.

第四章⁴

śmieciarka

Pod murem rozgłośni, niedaleko budki strażników, tulił się rząderek baraków skleconych ze starej blachy, papy i torebek foliowych. Mieszkały tam kobiety, które żyły ze zbierania i sprzedaży odpadów. Często się zastanawiałam, skąd pochodzą, co je łączy i jak to się stało, że tutaj trafiły. Tak czy owak to rozsądne z ich strony, że osiedliły się w stosunkowo bezpiecznym miejscu – dwa kroki od uzbrojonych strażników po drugiej stronie muru.

Największą uwagę zwracała najmniejsza budka. Pod względem materiałów nie różniła się od pozostałych, ale była starannie zaprojektowana. Blaszane ściany pomalowano na żywy kolor zachodzącego słońca, a pokrycie dachu uformowano w coś na kształt zamkowej wieżyczki. Trzy małe okienka zrobiono z czerwonej, żółtej i niebieskiej torebki foliowej, a drzwi – z kolorowej tektury starannie przeplatanej skrawkami plastiku, co stanowiło znakomitą ochronę przed wiatrem i deszczem. Staranność i dbałość o szczegóły, widoczne w sposobie zbudowania tej lichej chatynki, zrobiły na mnie duże wrażenie; szczególnie wzru-

szające były dzwoneczki z potłuczonego szkła, dźwięczące subtelnie nad drzwiami.

Właścicielką tego zameczku z odpadów była szczupła, wątła kobieta około pięćdziesiątki. Nie tylko jej budka była wyjątkowa – ona sama także wyróżniała się spośród innych „śmieciarek”. Większość z nich miała potargane włosy i brudne twarze, była też okropnie obdarta – ona jednak wyglądała na zadbaną, a jej znoszone ubrania – na nieskazatelnie czyste i starannie pozszywane. Gdyby nie torba, do której zbierała śmieci, nikt by się nie domyślił, że jest śmieciarką. Trzymała się raczej na uboczu.

Kiedy opowiedziałam kolegom o swoich obserwacjach związanych ze śmieciarką, jeden po drugim potwierdzali, że też ją zauważyli, jakby nie chcieli dać mi odczuć, że jestem pod tym względem wyjątkiem. Jeden nawet powiedział, że śmieciarki są moimi zapalonymi słuchaczkami. Nie byłam pewna, czy nie kpi sobie ze mnie.

Przysłuchujący się temu z boku Duży Li, który zajmował się problemami społecznymi, zastukał piórem w biurko na znak, że zamierza zrobić młodszym kolegom wykład.

– Nie powinniście litować się nad tymi śmieciarzami. Wcale nie są biedni. Ich dusze wznoszą się ponad przyziemny świat, zwykli ludzie nie są w stanie sobie tego wyobrazić. W ich życiu nie ma miejsca na dobra materialne, więc ich potrzeby w tym względzie są łatwe do zaspokojenia. A jeśli już oceniamy ludzi przez pryzmat bogactwa, okazuje się, że niektórym z tych kobiet powodzi się nie gorzej niż wielu ludziom, którzy utrzymują się z innych zajęć.

Dodał jeszcze, że widział pewną śmieciarkę w drogim nocnym klubie – miała na sobie biżuterię i piła francuską brandy po sto juanów za kieliszek.

– Co za bzdura! – zaprotestowała Mengxing, która prowadziła program muzyczny. Dla niej sama różnica wieku między nią a Dużym Li oznaczała, że nie warto wierzyć w nic, co powie.

Duży Li, człowiek z reguły nadzwyczaj ostrożny, tym razem szedł w zaparte i założył się z Mengxing. Wszyscy zaczęli się z zapalem wtrącać, sugerując stawkę zakładu. W końcu stanęło na rowerze.

Żeby wprowadzić całe przedsięwzięcie w życie, Duży Li skłamał żonie, że będzie pracował nad wieczornymi wiadomościami, a Mengxing powiedziała swojemu chłopakowi, że wybiera się w teren badać współczesną muzykę. Przez kilka kolejnych wieczorów oboje chodzili do pewnego nocnego klubu, w którym, jak twierdził Duży Li, bywała owa śmieciarka.

Mengxing przegrała. Sącząc whisky, śmieciarka zwierzyła się jej, że na handlu odpadami zarabia dziewięćset juanów miesięcznie. Duży Li mówił, że Mengxing przez kilka godzin nie mogła otrząsnąć się z szoku. Sama zarabiała około czterystu i, jak na swoje stanowisko, była uważana za jedną z najlepiej opłacanych. Od tego czasu nie zwracała uwagi na wartość artystyczną propozycji, jakie jej składano – podejmowała się absolutnie wszystkiego, na czym mogła dobrze zarobić. Wszyscy w biurze twierdzili, że to utrata roweru jest przyczyną jej nowej, pragmatycznej postawy.

Poza przyglądaniem się tej zadbanej kobiecie ze śmieciowego zameczku nie zwracałam szczególnej uwagi na tryb życia śmieciarek. Szczerze mówiąc, coś mnie od nich odrzucało. Swoją drogą po doświadczeniach Mengxing na widok człowieka zbierającego śmieci zawsze starałam się zgadnąć, czy też jest grubą rybą. Być może budy śmiecia-

rek to tylko ich miejsca pracy, a naprawdę mieszkają w nowoczesnych mieszkaniach.

Dopiero ciąża mojej koleżanki Xiao Yao skłoniła mnie do zawarcia znajomości z tą wyjątkową osobą. Jak tylko Xiao Yao dowiedziała się, że będzie miała dziecko, zaczęła rozglądać się za niańką. Doskonale rozumiałam, dlaczego zabrała się za poszukiwania z dziewięciomiesięcznym wyprzedzeniem – znaleźć kogoś godnego zaufania do opieki nad dzieckiem i zajmowania się domem wcale nie jest łatwo.

Moja niania była dobrą, uczciwą i pracowitą dziewiętnastoletnią dziewczyną ze wsi, która uciekła do wielkiego miasta przed wymuszonym małżeństwem. Była obdarzona wrodzoną inteligencją, której jednak nie towarzyszyło żadne wykształcenie. Z tego powodu napotykała masę przeszkód: nie odróżniała jednego banknotu od drugiego, nie rozumiała sygnalizacji świetlnej na ulicach. W domu do łez doprowadzało ją, że nie umie otworzyć elektrycznej maszynki do gotowania ryżu, brała marynowane jajka za zepsute i wyrzucała je do śmieci. Pewnego razu pokazała uliczny kosz na śmieci i zawiadomiła mnie z całą powagą, że wrzuciła moje listy do tej skrzynki pocztowej. Codziennie zostawiałam jej szczegółowe instrukcje, co ma robić, a czego nie powinna, i dzwoniłam regularnie z biura, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Na szczęście nigdy nie stało się nic złego, a między nią a Pan Panem wytworzyła się bardzo czuła więź. Zdarzyło się jednak jeden jedyny raz, że nie mogłam powstrzymać złości. Była zima, przyjechałam do domu po programie i znalazłam swojego osiemnastomiesięcznego synka siedzącego na klatce schodowej na piątym piętrze, ubranego wyłącznie w cienką piżamkę. Był tak zziębnięty, że miał siłę tylko na cichutkie popłakiwanie. Chwyciłam go w ramiona i obudziłam śpiącą

nianię, robiąc sobie wyrzuty, że nie potrafię zapewnić własnemu dziecku czasu ani opieki, jakie powinno otrzymać od matki.

Nigdy nie rozmawiałam z kolegami o swoich problemach dotyczących opieki nad dzieckiem, ale słyszałam od innych wiele przerażających historii. Gazety były ich pełne. Lekomyślnie opiekunki pozwalały dzieciom wypadać z okien na czwartym piętrze i zabijać się; inne, idiotki i ignorantki, wsadzały je do pralek automatycznych, żeby je wykąpać, albo zamykały w lodówce w czasie zabawy w chowanego. Były też przypadki dzieci porywanych dla pieniędzy lub bi-tych.

Niewiele małżeństw decydowało się prosić o pomoc w opiece nad dziećmi rodziców, ponieważ oznaczałoby to mieszkanie z nimi pod jednym dachem. Większość była gotowa nieco utrudnić sobie życie w zamian za możliwość uniknięcia krytycznych spojrzeń starszego pokolenia. Chińskie teściowe, zwłaszcza te tradycyjnie wychowane lub mniej wykształcone, były znane z terroryzowania żon swoich synów – same w swoim czasie kulły się z trwogi przed matkami swych mężów. Z drugiej strony – rezygnacja matki z pracy, by poświęcić się wychowaniu dzieci, była niemożliwa, ponieważ ze średnich dochodów jednej osoby nie dało się utrzymać rodziny. O mężach zajmujących się domem nikt zaś nie słyszał.

Słyszając prośby Xiao Yu o pomoc w znalezieniu godnej zaufania, czułej i niedrogiej niani, Stary Chen rzucił non-szalancko:

– Tyle tu w okolicy kobiet zbierających śmieci, może zapytaj którąś z tych biedaczek, czy nie popracowałaby dla ciebie? Nie martwiłabyś się, że ucieknie, i nie musiałabyś jej zbyt wiele płacić.

Ludzie mówią, że mężczyźni zawsze mają wizję całości, podczas gdy kobiety są dobre w szczegółach. Nigdy w to nie wierzyłam, podobnie jak w inne uogólnienia, lecz rzucona mimochodem uwaga Chena zadziwiła mnie tym specyficznym rodzajem geniuszu ocierającego się o idiotyzm, który spotyka się czasem u mężczyzn. Nie tylko ja odniosłam takie wrażenie. Kilka koleżanek nie posiadało się z entuzjazmu: „Jasne! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałyśmy?”

Wkrótce potwierdziły się słynne słowa przewodniczącego Mao: „Od jednej iskry zaczyna się pożar stepu”. Śmieciarka w roli niani przez kolejnych kilka dni była tematem ożywionych dyskusji moich koleżanek. Ponieważ miały dzieci w różnym wieku, stwierdziły, że dobrze byłoby poszukać kogoś, kogo usługami można byłoby się dzielić. Planowały ze szczegółami, jak nadzorować i rozliczać taką osobę i jakie ustalić reguły.

Niedługo potem zostałam zaproszona na „kobiece spotkanie” w niedużym gabinecie obok damskich toalet. Ledwie usiadłam i spytałam zmieszana, czy aby na pewno wezwały właściwą osobę, koleżanki oznajmiły, że zostałam jednomyślnie wybrana na ich przedstawicielkę, która wybierze odpowiednią nianię wśród „pań śmieciarek” mieszkających w pobliżu rozgłośni. Bojowym, nieznoszącym sprzeciwu tonem przedstawiły mi kryteria, którymi się kierowały, wybierając właśnie mnie. Po raz pierwszy moje koleżanki okazały mi jakąkolwiek przychyłność. Powiedziały, że sprawiam wrażenie szczerzej, że nie brak mi ludzkiego ciepła ani rozsądku, a poza tym – jestem skrupulatna, wnikliwa i postępuję metodycznie. Mimo iż podejrzewałam je o ukryte motywy, ich poważanie bardzo mnie poruszyło.

W ciągu kolejnych paru dni zaczęłam wymyślać preteksty, by zbliżyć się do budek, w których mieszkały śmieciar-

ki. Niestety wyniki moich obserwacji były zniechęcające: gdy patrzyłam na kobiety grzebiące w śmietnikach w poszukiwaniu zdalnych do wykorzystania odpadów, trudno mi było wyobrazić je sobie jako troskliwe, rozsądne osoby, nie mówiąc już o zapraszaniu ich do własnego domu. Smarkały w cokolwiek, co było pod ręką, a te, które miały dzieci, nosiły je pod pachami, żeby mieć wolne ręce do zbierania śmieci. Załatwiały się wprost na ulicy, zasłaniając się tylko kawałkiem papieru.

Jedyną godną uwagi śmieciarką była właścicielka śmieciowego zameczku. W jej codziennej krzątaninie wyczuwało się łagodność, czystość i ciepło. Po kilku falstartach w końcu zebrałam wystarczająco dużo odwagi, by zagadnąć ją po drodze do domu.

– Dzień dobry, nazywam się Xinran. Przepraszam, czy mogę zamienić z panią kilka słów?

– Dzień dobry. Znam panią. Pani prowadzi program „Słowa na wieczornym wietrze”. Słucham go co wieczór. W czym mogę pani pomóc?

– No więc... – Ja, spikerka radiowa, która potrafi bez końca przemawiać do mikrofonu, mówiłam tak nieskładnie, że z trudem nadążałam za własną bełkotliwą gadaniną.

Śmieciarka szybko się zorientowała, o co mi chodzi. Odpowiedziała mi spokojnie, lecz zdecydowanie:

– Proszę podziękować swoim koleżankom za ich dobre mniemanie o mojej osobie, ale byłoby mi bardzo trudno przyjąć tę hojną propozycję. Wolę żyć w sposób nieskrępowany.

Tym jednym, półgłosem wypowiedzianym zdaniem ucieła wszelkie próby perswazji, nie dając mi szans na zastosowanie wspaniałych umiejętności, które przypisywały mi koleżanki.

Kiedy zdawałam kolegom relację z tego spotkania, nie wierzyli własnym uszom. „Doskonała prezenterka nie potrafi przekonać byle śmieciarki?...”

Byłam bezradna. Wyraz oczu tej kobiety obalał wszystkie argumenty. Miałam wrażenie, że zawiera więcej, niż tylko odmowę, ale nie wiedziałam co.

Od tamtej pory obserwowanie śmieciowego zameczku i jego właścicielki stało się dla mnie częścią codzienności. Pewnego wieczoru w drugim miesiącu jesieni wreszcie trafiła się kolejna okazja, by zbliżyć się do owej siedziby. Po programie jak zwykle przechodziłam obok śmieciarskich budek. Kiedy mijałam śmieciowy zameczek, dobiegła mnie cicha melodia – była to rosyjska pieśń ludowa „Ach, ty stepie szeroki”. Bardzo mnie to zaintrygowało. Od czasów „rewolucji kulturalnej” Chiny były w stanie kolejnej „zimnej wojny” z Rosją, toteż niewiele osób w ogóle słyszało tę melodię, a jeszcze mniej potrafiłoby ją zaśpiewać. Moja matka miała kurs rosyjskiego na studiach i nauczyła mnie tej pieśni. Ale skąd znała ją śmieciarka?

Zbliżyłam się do zameczku. Śpiew nagle ustał, a zmyślnie skonstruowane okienko otworzyło się cicho. Śmieciarka, ubrana w samodzielnie uszytą nocną koszulę, spytała:

– O co chodzi? Czy czegoś pani potrzeba?

– Przepraszam... Chciałam tylko posłuchać pani śpiewu, śpiewa pani naprawdę pięknie!

– Naprawdę? Podoba się pani ta pieśń, pani Xinran?

– Pewnie! Bardzo ją lubię. Podobają mi się i słowa, i melodia, zwłaszcza wieczorem brzmi pięknie. Jest jak doskonałe skomponowany obraz.

– Umie pani zaśpiewać?

– Kawalek, niezbyt dobrze. Nie potrafię oddać nastroju, smaku tej pieśni.

– Wy, ludzie radia, jesteście zabawni. Sprawiacie, że słowa ożywają, ale nie umiecie śpiewać. Więc jaki według pani jest smak tej pieśni? Słodki? Ostry? Gorzki?

– Przepraszam, ale jak powinnam zwracać się do pani?

– My wszystkie tutaj jesteśmy dla was „śmieciarkami”, prawda? Myślę, że to właściwe określenie, więc proszę nazywać mnie po prostu Śmieciarką. Śmieciarka doskonale do mnie pasuje.

– Czy nie brzmi to trochę niewłaściwie?

– Niech się pani nie przejmuję, Xinran. Niech mnie pani nazywa Śmieciarką A, B albo C. To nie ma żadnego znaczenia. Więc słuchała pani, jak śpiewam sama dla siebie. Czy jeszcze czymś mogę służyć?

– Nie, po prostu przechodziłam tędy, wracam do domu po programie. Kiedy usłyszałam tę rosyjską pieśń, pomyślałam, że to niezwykle. Przepraszam, czy mogę spytać, skąd pani ją zna?

– Mój mąż mnie nauczył. Studiował w Rosji.

Śmieciarka nie powiedziała już ani słowa, nie zaprosiła mnie też do swojego zamku, ale nie czułam się zawiedziona – rosyjska pieśń ludowa dała mi klucz do jej wspomnień.

Po naszej rozmowie tamtego wieczoru przy ponownym spotkaniu Śmieciarka wcale nie okazała mi więcej względów. Za to w mojej głowie roiło się od pytań: jej mąż studiował za granicą, więc jak to się stało, że wie dzie żywot śmieciarki? Jej sposób mówienia i gesty zdradzają wyrafinowanie – z jakiej rodziny pochodzi? Jakie ma wykształcenie? Czy ma dzieci? Jeśli tak, to gdzie się podziały?

Niedługo potem, kiedy zbliżał się Nowy Rok, pojechałam do Pekinu zrobić reportaż. Przyjaciel z Radia Pekin zapro-

ponował, żebyśmy poszli do Centrum Lufthansa, domu towarowego, w którym sprzedawano luksusowe zagraniczne towary. Natknęłam się tam na rosyjskie czekoladki z likierem. Były drogie, ale kupiłam je. Przyjaciel dziwił się mojej ignorancji: przecież najlepsza czekolada jest szwajcarska, kto w ogóle słyszał o rosyjskich czekoladkach z likierem? Ale ja chciałam je kupić dla Śmieciarki. Byłam pewna, że ktoś, kto potrafi tak pięknie śpiewać rosyjskie pieśni, doceni taki prezent.

Po przyjeździe z Pekinu nie mogłam się powstrzymać i zamiast do domu, poszłam od razu do śmieciowego zamczku. Zanim zapukałam do drzwi, zawahałam się. Jest takie powiedzenie: „Na tym świecie nie ma miłości bez powodu ani nienawiści bez przyczyny”. Jak jej wytłumaczyć powód tego prezentu, jeśli sama go nie znam?

Śmieciarka ujęła pudełeczko oburącz, z szacunkiem, wyraźnie wzruszona. Normalnie zachowywała się obojętnie, ale widok czekoladek zrobił na niej duże wrażenie. Powiedziała, że jej mąż uwielbiał takie czekoladki – tak jak się spodziewałam, ludzie tamtego pokolenia uważali za najlepsze wszystko, co pochodziło ze Związku Radzieckiego – i że ostatni raz widziała go ponad trzydzieści lat temu.

Jej twarz stopniowo odzyskiwała spokojny wyraz. W końcu spytała, dlaczego dałam jej taki drogi prezent.

– Ponieważ obie jesteśmy kobietami, a ja chciałabym usłyszeć pani historię – odparłam. Szczerłość tej odpowiedzi zaskoczyła mnie samą.

– Niech i tak będzie! – Śmieciarka najwyraźniej podjęła błyskawiczną decyzję. – Ale nie tutaj, bo tu nie ma ścian. Nikt, a już zwłaszcza kobieta, nie chce pokazywać światu blizn na swojej piersi.

Poszliśmy w stronę niewielkiego wzgórza w ogrodzie botanicznym, gdzie oprócz mnie tylko drzewa mogły usłyszeć opowieść Śmieciarki.

Opowiedziała mi tylko fragmenty. Nie rozwodziła się nad przyczynami czy skutkami, a ja odnosiłam silne wrażenie, że wciąż nie ma ochoty ujawniać wszystkiego. Swoją opowieścią tylko uchyliła wieko skrzyni, w której się zamknęła, lecz nie odsłoniła twarzy.

Za młodu mąż Śmieciarki studiował trzy lata w Moskwie, a wkrótce po powrocie rozpoczął karierę polityczną. Moment ten zbiegł się ze strasznymi wydarzeniami „wielkiego skoku”. Ciesząc się opieką partii, która pociągała za sznurki i budowała mosty, mężczyzna ów ożenił się ze Śmieciarką. Kiedy rodzina celebrowała narodziny drugiego dziecka, mąż nagle zmarł na atak serca. Przed końcem następnego roku ich młodsze dziecko zmarło na szkarlatynę. Ból po utracie męża i dziecka sprawił, że Śmieciarka nie miała odwagi żyć dalej. Pewnego dnia zabrała starsze dziecko nad brzeg Jangcy, zamierzając połączyć się z mężem i młodszym dzieckiem w następnym wcieleniu.

Gdy tak stała na brzegu, chcąc rozstać się z życiem, synek zapytał niewinnie:

– Mamo, czy my idziemy spotkać się z tatą?

Śmieciarka była wstrząśnięta: jakim cudem ten pięciolatek odgadł jej zamiar?

– A jak myślisz? – spytała syna.

– Pewnie, że zobaczymy się z tatą! – odparł głośno. – Ale nie wzięłem mojego samochodziku, żeby mu pokazać!

Śmieciarka rozplakała się i nie zadawała już żadnych pytań. Zrozumiała, że synek doskonale wie, co czuje matka. Wie też, że ojciec nie przebywa już w tym samym świecie, co oni oboje, ale, jak wszystkie małe dzieci, nie pojmuje jeszcze w pełni różnicy między życiem a śmiercią. Łzy

sprawiły, że odżyły jej uczucia macierzyńskie i poczucie obowiązku. Płakała z dzieckiem w ramionach, a pędzące fale rzeki zmywały jej słabość i dodawały sił. Podniosła z ziemi swój pożegnalny list i zabrała synka z powrotem do domu.

– To już nie idziemy do taty? – spytał chłopczyk.

– Tata jest za daleko – odpowiedziała. – A ty jesteś jeszcze za mały, żeby tam iść. Mama pomoże ci dorosnąć, żebyś mógł zanieść mu jeszcze więcej dobrych rzeczy.

Od tej pory Śmieciarka, jako samotna matka, starała się dać synkowi wszystko, co najlepsze. Syn zaś parł naprzód i w końcu udało mu się osiągnąć wielki sukces.

Ale jak to się dzieje, że syn, który zapewne jest już żonaty i ma ustaloną pozycję, pozwala, by matka, która trudziła się dla niego od chwili jego narodzin, wiodła żywot śmieciarki?

– Gdzie jest pani syn? Dlaczego... – zająknęłam się.

Śmieciarka nie dała mi jednoznacznej odpowiedzi. Powiedziała tylko, że uczuć matki nie da się opisać. Zdecydowanie dała mi do zrozumienia, że bym nie dopytywała się więcej.

Minął Nowy Rok, zbliżało się Święto Wiosny. To najważniejsze w Chinach święto jest między innymi okazją do ugruntowania różnych zawodowych kontaktów. Co roku wszyscy przedstawiciele mediów mają z tego mnóstwo korzyści – niezależnie od stanowiska otrzymują całe stosy prezentów i dziesiątki zaproszeń na różne imprezy. Mimo że w tamtych czasach byłam tylko skromną prezenterką bez żadnych ważnych znajomości, popularność mojego programu sprawiała, że zabiegali o mnie bogaci i wpływowi. Ich względy nie wynikały z moich osiągnięć, lecz z faktu, że liczyli się z moimi słuchaczami. Wszyscy urzędnicy

państwowi w Chinach znają starożytną maksymę z czasów dynastii Tang: „Woda utrzymuje łódź, ale może ją także wyrzucić”. Zwykli ludzie, tacy jak moi słuchacze, to woda, a urzędnicy – łódź.

Jedno spośród mnóstwa zaproszeń na kapiących od złota czerwonych kartach pochodziło od świeżo mianowanego „młodego wilka” z Rady Miejskiej. Krążyły plotki, że ów młody człowiek jest niezwykle zdolny i że ma ambicję zostać jednym z tych nielicznych wybrańców, dla których przeznaczone są stanowiska na poziomie prowincji. Byłam bardzo ciekawa, jakież to szczególne talenty pozwalają temu mężczyźnie, zaledwie kilka lat starszemu ode mnie, odnajdywać drogę w labiryncie chińskiej polityki. Postanowiłam wziąć udział w jego proszonej kolacji: zaproszenie wymieniało „samoobsługowy bufet w stylu zachodnim”, co miało dla mnie urok nowości.

Kolacja odbywała się u polityka w domu, który co prawda nie był wielką rezydencją, ale robił spore wrażenie. Z samego pokoju gościnnego można by wykroić cztery albo pięć kawalerek dla takich jak ja. Ponieważ przybyłam dość późno, w pokoju rozbrzmiewał już gwar rozmów i brzęk kieliszków. Gospodyni uprzejmie przedstawiła mi kilku ważnym osobom w kolejności ich stanowisk. Przyszła mi do głowy prześmiewcza myśl: ciekawe, czy kiedy te wszystkie wysoko postawione osobistości idą do toalety, także czynią to w określonej hierarchicznej kolejności? Jeśli tak, to ci o najniższej pozycji są bez wątpienia bardzo pokrzywdzeni.

Zachodni bufet był bardzo wystawny i wyglądał autentycznie, jeśli rzecz jasna wierzyć zdjęciom z kolorowych czasopism, które zdarzało mi się oglądać. Aby okazać szczególne względy kobietom z mediów, gorliwa gospo-

dyni wykonała gest zażyłości – zaprosiła kilka dziennikarek do swojej sypialni i wyjęła bombonierkę czekoladek z likierem, którą odłożyła specjalnie w tym celu.

Poczułam się jak rażona gromem: łakocie były identyczne jak te, które podarowałam Śmieciarce. Gospodyni otworzyła bombonierkę. Po wewnętrznej stronie pokrywki widniały słowa rosyjskiej pieśni „Ach, ty stepie szeroki”, które wypisałam ręcznie dla Śmieciarki jako wyraz najlepszych życzeń noworocznych.

Dom tej wpływowej rodziny i śmieciowy zameczek Śmieciarki były od siebie tak odległe, jak niebo i ziemia. Skąd się tu wzięły te czekoladki? Mój umysł gotował się od pytań, puls przyspieszył. Nie miałam ochoty na dalszy udział w bankiecie, wymówiłam się więc pospiesznie i popędziłam jak opętana w stronę śmieciowego zameczku.

Śmieciarki nie było. Czekałam na jej powrót do późnej nocy. Na mój widok wyrzuciła z siebie z przejęciem:

– Nowy Rok i Święto Wiosny to gorący okres dla zbieraczy śmieci. We wszystkich koszach, dużych i małych, można znaleźć pełno nierozpakowanego jedzenia i mnóstwo różnych pożytecznych przedmiotów, które ludzie wyrzucają. Co za epoka... Ludzie zapomnieli, co to znaczy ciężkie czasy.

Nie mogłam się pohamować i przerwałam jej, pytając bez ogródek:

– Skąd się wzięła ta bombonierka, którą pani podarowałam, w domu dobrze zapowiadającego się polityka? Czy ktoś ją pani ukradł? Co się stało?

Śmieciarka słuchała tego huraganu pytań z wyrazem twarzy, który sugerował skomplikowane uczucia. Wyraźnie drżała, lecz opanowała się z wysiłkiem i odparła:

– Umówmy się po Święcie Wiosny. Powiem pani.

Zatrzasnęła drzwi i przestała zwracać na mnie uwagę. Stałam jak słup soli. W końcu dźwięk dzwoneczków przebudził mnie z odrętwienia i ruszyłam do domu.

Święto Wiosny ciągnęło się bez końca. Miałam wyrzuty sumienia. Dla mieszkającej samotnie w smaganej deszczem i wiatrem lichej budzie, pozbawionej rodziny i przyjaciół Śmieciarki moje nietaktowne pytania były tylko ciężarem. Miałam ochotę ją odwiedzić, ale wiedziałam, że jej postanowienie jest ostateczne: po Świącie Wiosny, nie wcześniej.

Pierwszego dnia po Świącie wybrałam się do pracy bardzo wcześnie. Mijając śmieciowy zameczek, zauważyłam, że drzwi są zamknięte na kłódkę. Śmieciarka też miała zwyczaj wcześnie wychodzić. Nie zaskakiwało mnie to – któż miałby ochotę wylegiwać się dłużej w maleńkiej budce, która nie chroniła ani przed upałem, ani przed zimą? Przy wejściu do rozgłośni portier zawołał mnie i powiedział, że poprzedniego dnia ktoś zostawił dla mnie list. Wielu słuchaczy przynosiło listy osobiście. Sądziłem chyba, że tak jest bezpieczniej i że w ten sposób łatwiej wzbudzą moje zainteresowanie. Podziękowałam portierowi, ale nie zwróciłam większej uwagi na list, rzuciłam go tylko mimochodem na stertę korespondencji przychodzącej.

Cztery albo pięć razy wymykałam się, żeby zajrzeć do śmieciowego zameczku, ale drzwi pozostawały zamknięte, a Śmieciarki nie było. Pomału zaczynałam czuć się zawiedziona, że nie dotrzymała obietnicy, ale postanowiłam czekać dalej. Chciałam ją przeprosić i ostatecznie zakończyć całą tę historię z czekoladkami. Postanowiłam zostać w rozgłośni na wieczorną zmianę i przeczytać listy.

Około ósmej dwadzieścia wieczorem wyszłam jeszcze raz, ale drzwi do śmieciowego zameczku pozostały za-

mknięte. Zastanawiałam się, czemu kobiety jeszcze nie ma. Czyżby miała aż tyle wspaniałych znalezisk? Po powrocie do biura kontynuowałam lekturę. Kolejny list był napisany pięknym, subtelnym pismem. Jego autorka z pewnością była wykształconą kobietą, i musiało to być wyjątkowo staranne, najlepsze wykształcenie. To, co przeczytałam, sprawiło, że przyrosłam do krzesła.

Droga Xinran!

Dziękuję Pani. Jestem wdzięczna za Pani program – słucham go codziennie. Dziękuję też za szczerość – bardzo wiele lat upłynęło od czasu, kiedy ostatni raz mogłam nazwać kogoś przyjacielem. Dziękuję za bombonierkę rosyjskich czekoladek – przypomniała mi ona, że jestem kobietą, która kiedyś miała męża.

Czekoladki podarowałam naszemu synowi. Pomyślałam, że zamakują mu tak samo jak niegdyś jego ojcu.

Bardzo trudno jest synowi mieszkać z własną matką, jest to niełatwe także dla jego żony. Nie chciałam zakłócać jego szczęścia ani zmuszać syna do zachowywania równowagi między własną matką a żoną. Nie byłam jednak zdolna zaprzeczyć mojej kobiecej naturze i zerwać z matczynymi przyzwyczajeniami. Żyłam w taki sposób, aby być jak najbliżej syna, by móc zerkać na niego wczesnym rankiem, kiedy idzie do pracy. Proszę mu o tym nie mówić. Myśli, że cały czas mieszkam na wsi.

Przepraszam Panią, ale jestem zmuszona stąd wyjechać. Jestem nauczycielką języków obcych, wracam na wieś, by uczyć tamtejsze dzieci. Jak mówiła Pani w jednej ze swoich audycji, starsi ludzie powinni znaleźć sobie własną przestrzeń, w której będą mogli stworzyć dla siebie piękną starość.

Proszę wybaczyć mi mój chłodny sposób bycia. Całe ciepło oddałam synowi, w którym wciąż żyje dusza jego ojca.

Z życzeniami szczęśliwego i spokojnego Świąta Wiosny

Śmieciarka

Budka z odpadów

Rozumiałam, dlaczego Śmieciarka wyjechała. Dała mi wejrzenie w swoje serce i poczucie wstydu nie pozwoliło-
by jej spojrzeć mi ponownie w oczy. Było mi przykro, że
wygnałam ją z jej starannie zbudowanego świata, było mi
smutno także z tego powodu, że wypaliła się do cna, słu-
żąc swoim dzieciom – by na koniec zostać odstawioną na
boczny tor. Rola matki była jej jedyną życiową wiarą.

Dotrzymałam tajemnicy Śmieciarki i nigdy nie wyja-
wiłam jej synowi, że go obserwowała. Nigdy więcej nie
poszłam też do jego domu, ponieważ Śmieciarka, której
pamięć sobie ceniłam, także nigdy nie przekroczyła jego
progu. Jej syn wydawał się posiadać tak wiele, tymczasem
to ona była naprawdę bogata.

第五章 ⁵

matki, które przetrwały trzęsienie ziemi

Kiedy moja koleżanka Xiao Yao urodziła dziecko, z kilkoma innymi kobietami z biura zorganizowałam odwiedziny u niej w szpitalu. Mengxing była ogromnie podekscytowana, ponieważ po raz pierwszy w życiu znalazła się na oddziale położniczym. Dyrektor Zhang z Biura Spraw Zewnętrznych ostrzegął ją, żeby tam nie szła – w Chinach wierzy się, że kobiety, które jeszcze nie rodziły, przynoszą nieszczęście noworodkom. Mengxing zignorowała to jako przykład „gadaniny starych bab” i wybrała się do szpitala jeszcze przed nami.

Przybyliśmy na miejsce obładowane jedzeniem dla Xiao Yao: brązowy cukier i żeń-szeń – zdrowe na krew, nóżki wieprzowe i ryby – dobre na karmienie piersią, kurze mięso i owoce – na wzmocnienie. Kiedy weszliśmy, Xiao Yao gawędziła z Mengxing. Mengxing jadła ugotowane na twardo jajko zafarbowane na czerwono, symbolizujące szczęście związane z narodzinami potomka.

W pokoju wyładowanym prezentami byli też rodzice i teściowie Xiao Yao, a ona sama wyglądała na szczęśliwą

i zaskakująco wypoczętą, jak na kobietę po porodzie. Domyślałam się, że fakt urodzenia syna był jednym z powodów, dla których jaśniała takim blaskiem.

Chińczycy od pokoleń wierzą w następujące powiedzenie: „Istnieje trzydzieści sześć cnót, ale pozostać bez dziedzica to zło, które przekreśla je wszystkie”. Kobieta, która urodziła syna, jest bezgrzeszna.

Xiao Yao rodziła w siedmioosobowej sali. Kilka razy prosiła męża, żeby przeniósł ją do prywatnego pokoju, ale odmawiał. Jednak dowiedziawszy się o narodzinach syna, natychmiast zorganizował zakwaterowanie żony w separacie.

Pokój był ciasny, ale jasno oświetlony. Każda z nas znalazła sobie jakieś miejsce do przycupnięcia; moje koleżanki prowadziły ożywione rozmowy. Nie nadaję się zbyt do takich pogawędek, ponieważ nie lubię opowiadać o swoim życiu, które stanowi ciąg historii niepełnych rodzin. Jako dziecko zostałam oddzielona od rodziców, jako dorosła także nie miałam własnej rodziny – poza synem. Słuchając w milczeniu, składałam kartkę papieru do pakowania prezentów w origami w kształcie króliczka.

Na tle rozmowy koleżanek usłyszałam głosy dobiegające z korytarza.

Mężczyzna mówił cicho, lecz zdecydowanie:

– Proszę cię, zmień zdanie. To zbyt niebezpieczne.

– Nie boję się. Chcę doświadczyć porodu – odparła kobieta.

– Ty się może nie boisz, ale ja się obawiam. Nie chcę, żeby moje dziecko zostało bez matki.

– Co ze mnie za matka, jeśli nie urodzę normalnie? – niecierpliwiła się kobieta.

– Przecież wiesz, że w twoim stanie nie powinnaś...

– Lekarze wcale nie mówią, że to na sto procent niemożliwe! – przerwała mu kobieta. – Po prostu chcę to zrobić sama... – głosy cichły w miarę, jak się oddalali.

Kiedy wychodziłam, teściowa Xiao Yao ukradkiem wcisnęła mi skrawek czerwonej tkaniny i poprosiła, żebym go spaliła, by „odegnać zło, które przyniosła Mengxing”. Nie śmiałam się sprzeciwić. Opuściwszy szpital, rzuciłam szmatkę do piecyka obok ulicznego straganiku z jedzeniem, ale nic nie powiedziałam Mengxing – nie znosiła przyznawać się do porażek.

Po trzech miesiącach dostałam zaproszenie na stypę od jakiejś nieznannej mi rodziny. Słuchacze często zapraszali mnie na różne rodzinne uroczystości, ale były to zazwyczaj wesela. Obcych rzadko zaprasza się na stypę, więc czułam się zakłopotana. Kolacja odbywała się w restauracji, nie w salonie żałobnym przy krematorium, a w zaproszeniu zaznaczono, by przynieść ze sobą chłopięce imię.

Poszłam tam z przygotowanym imieniem Tianshi (Klucz do Niebios). Gospodarz przyjmował gości z miesięcznym niemowlęciem w ramionach; jego żona zmarła w czasie porodu. Kiedy zorientował się, kim jestem, spytał mnie ze łzami w oczach, dlaczego jego żona odmówiła cesarskiego cięcia, wiedząc, że poród jest dla niej niebezpieczny. Czy doświadczenie porodu siłami natury jest tak ważne, że staje się ważniejsze od własnego życia?

Zastanawiałam się, czy to ta sama para, której rozmowę słyszałam w szpitalu. Byłam wstrząśnięta decyzją tej nieznannej kobiety, lecz na jakimś bardzo głębokim poziomie rozumiałam jej pragnienie przeżycia tego wyjątkowego doświadczenia. Jej owdowiały mąż nie był w stanie tego zrozumieć – i nie rozumiał. Spytał, czy potrafię mu powiedzieć, jak można zrozumieć kobietę.

Nie wiem, czy chłopcu nadano imię Tianshi, ale kiedy opuszczałam stypę, miałam nadzieję, że stanie się on zesłanym z niebios kluczem, który otworzy przed jego ojcem bramę do kobiecego umysłu.

Prawdziwego odkrycia najgłębszego znaczenia macierzyństwa dokonałam dopiero w 1992 roku w przemysłowym mieście Tangshan, odbudowanym po całkowitym zniszczeniu na skutek strasznego trzęsienia ziemi 28 lipca 1976 roku, kiedy to zginęło trzysta tysięcy ludzi.

Ponieważ rozgłośnia w Nankinie była jedną z ważniejszych w Chinach, często musiałam jeździć po kraju i brać udział w regionalnych konferencjach na temat tworzenia programów radiowych i telewizyjnych. Jedynym celem tych konferencji było przytakiwanie polityce partii, nie autentyczna debata. Żeby skompensować uczestnikom brak bodźców intelektualnych, organizatorzy często organizowali wycieczki po okolicznych wsiach. Dawało mi to sposobność do przeprowadzania wywiadów z kobietami z różnych części Chin.

Podczas konferencji w Tianjinie skorzystałam z okazji i wybrałam się do sąsiedniego Tangshanu. Tangszańskie trzęsienie ziemi w 1976 roku było klasycznym przykładem niedowładu chińskiego systemu łączności w owych czasach. W 1976 roku chiński rząd borykał się ze śmiercią trzech głównych osobistości: Mao Zedonga, premiera Zhou Enlaia i przywódcy wojskowego Zhu De. Skupienie na kryzysie politycznym oraz niedostatki technologiczne sprawiły, że nikt nie miał pojęcia o katastrofie. Dopiero gdy pewien człowiek z Tangshanu dotarł do Pekinu, wiadomość ta przedostała się do władz. Nawet wtedy wielu pośądzało go o szaleństwo. Lokalny oddział agencji prasowej Xinhua też nie dowiedział się o trzęsieniu z centralnego

biura rządowego, lecz z prasy zagranicznej, która dysponowała doniesieniami z bardziej zaawansowanych technologicznie centrów obserwacyjnych trzęsień ziemi w innych krajach.

Kiedy przyjechałam do Tangshanu, dowiedziałam się o pewnym niezwykłym sierocińcu, założonym i prowadzonym przez matki, które straciły dzieci podczas trzęsienia ziemi. Powiedziano mi, że jest on finansowany z odszkodowań tych kobiet. Zadzwoiłam tam, żeby umówić się na wizytę. Sierociniec, wybudowany dzięki pomocy miejscowego garnizonu wojskowego, mieścił się na przedmieściach, w pobliżu wojskowego sanatorium. Zbliżając się do niskiego drewnianego płotu obrośniętego krzewami, usłyszałam dziecięce głosy. Był to sierociniec pozbawiony biurokracji – niektórzy nazywali go też „rodziną bez mężczyzn”. Mieszkało tu kilka matek i kilkadziesiąt dzieci.

Dzieci bawiły się na dziedzińcu, a matki lepiły w kuchni pierogi. Kobiety o umęczonych dłoniach przywitały się ze mną, mówiąc, że bardzo im się podoba mój program. Nie zdejmując fartuchów, oprowadziły mnie po sierocińcu.

Każda z matek mieszkała z piątką lub szóstką dzieci w jednym sporym pokoju, skromnie umeblowanym, lecz przytulnym. W północnych Chinach tego typu mieszkania są powszechne: połowę pomieszczenia zajmuje kang – skrzyżowanie pieca z łóżkiem, zbudowane z cegieł lub gliny. W zimie rozpalany pod spodem ogień ogrzewa kang, na którym nocą sypia cała rodzina. Osobne kołdry oddzielają poszczególne miejsca do spania. W dzień kołdry zwija się na jedną stronę i stawia na kangu stolik – w ten sposób powstaje przestrzeń do wypoczynku i spożywania posiłków. Pozostałą część pokoju zajmują szafy na ubrania, kanapa i krzesła dla gości.

Inaczej niż w zwykłych domach, pokoje w sierocińcu urządzono w jaskrawych kolorach, zgodnie z upodobaniami dzieci. Każdy pokój miał swój własny styl, ale we wszystkich znajdowały się trzy rzeczy. Pierwszą była ramka ze zdjęciami wszystkich dzieci mieszkających w sierocińcu. Drugą – prosty obraz przedstawiający oko wypełnione łzami, na którego źrenicy wypisano słowo: przyszłość. Trzecim obowiązkowym przedmiotem była książka, w której zapisano historię każdego dziecka.

Kobiety były bardzo dumne z dzieci i częstowały mnie opowieściami o ich wyczynach, lecz ja najchętniej posłuchałabym historii ich samych.

Podczas pierwszej wizyty udało mi się przeprowadzić wywiad tylko z jedną matką, panią Chen. Żyła na utrzymaniu armii i miała troje dzieci. W czasie rozmowy pomagałam jej gotować pierożki dla dzieci i zwracałam się do niej per ciociu, ponieważ należała do pokolenia moich rodziców.

– Ciociu Chen, czy mogę spytać, co się działo w dniu trzęsienia ziemi? Przepraszam, wiem, że to bolesne wspomnienia...

– Tak, nie ma dnia, żebym nie myślała o tamtych wydarzeniach. Nie sądzę, by ktokolwiek, kto to przeżył, potrafił zapomnieć. To wszystko było takie nierzeczywiste... Tamtego ranka, zanim się rozwidniło, obudził mnie dziwny dźwięk, jakieś dudnienie i gwizd, jakby pociąg wtargnął do naszego domu. Myślałam, że śnię – sny bywają takie dziwaczne – ale zanim zdążyłam krzyknąć, połowa sypialni się zapadła, razem z moim mężem w łóżku. Nagle ujrzałam przed sobą sypialnię moich dzieci, która mieściła się z drugiej strony domu, niczym scenę w teatrze. Mój starszy synek patrzył przed siebie z otwartą buzią, córka płakała i wołała mnie, wyciągając do mnie rączki, a najmłodszy syn słodko spał.

To wszystko działo się tak szybko... scena przede mną nagle opadła, jakby opuszczono kurtynę. Byłam przerażona, ale sądziłam, że mam koszmary. Uszczypnęłam się mocno, ale to mnie nie obudziło. W końcu w rozpaczę dźgnęłam się w nogę nożyczkami; ból i widok krwi uświadomił mi, że to nie żaden sen. Mój mąż i moje dzieci – wszyscy wpadli w otchłań.

Wrzeszczałam jak wariatka, ale nikt mnie nie słyszał. Wszędzie było pełno huku walących się ścian i trzasku łamiących się mebli. Stałam z wiszącą bezwładnie, krwawiącą nogą, na brzegu ziejącej przepaści, która kiedyś była drugą połową mojego domu. Mąż i moje śliczne dzieci zniknęli na moich oczach. Chciałam płakać, ale nie miałam łez. Po prostu nie chciałam już dalej żyć.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Przepraszam, ciociu Chen – wyjąkałam, wstrząśnięta. Pokręciła głową.

– Minęło już prawie dwadzieścia lat, a ja prawie co dzień o świcie słyszę dudnienie i gwizd pociągu, płacz moich dzieci. Czasem tak się boję tych dźwięków, że kładę się spać bardzo wcześnie, razem z dziećmi, a pod poduszkę chowam budzik nastawiony na trzecią nad ranem. Kiedy dzwoni, siadam i czekam, aż się rozwidni, czasem zasypiam z powrotem po czwartej. Ale po kilku takich dniach zaczynam nawet tęsknić za tym koszmarem – bo są tam głosy moich dzieci.

– Czy pomaga pani obecność tylu dzieci wokół?

– Tak, bardzo, zwłaszcza w nocy. Przyglądam się, jak śpią, i czuję pocieszenie, którego nie umiem opisać. Siadam przy nich i przykładam sobie ich rączki do twarzy. Całuję je i dziękuję, że trzymają mnie przy życiu.

– One też pani podziękują, kiedy dorosną. Takie są koleje miłości.

– Zgadza się, najpierw od starych do młodych, a potem z powrotem. No dobrze, pierożki ugotowane, muszę zawołać dzieciaki. Poczęstuje się pani?

Wymówiłam się, obiecując, że wstąpię jeszcze jutro. Byłam zbyt wzruszona, by móc z kimkolwiek rozmawiać. Opuściłam sierociniec, czując się wyczerpana fizycznie i psychicznie.

Tamtej nocy we śnie usłyszałam dudniący odgłos i krzyki dzieci opisywane przez ciocię Chen, i obudziłam się zlane zimnym potem. Słońce przeświecało przez firanki, a z zewnątrz dobiegały głosy dzieci idących do szkoły. Poczułam ulgę.

Następnego dnia zebranie skończyło się wcześniej. Przyjaciele z Tianjinu zapraszali mnie na obiad, ale odmówiłam i pospieszyłam na pociąg do Tangshanu. W sierocińcu rozmawiałam z kobietą nazywaną panią Yang, która była odpowiedzialna za posiłki dla dzieci. Kiedy przyjechałam, pilnowała dzieci przy obiedzie.

– Niech pani spojrzy, jak dzieciakom smakuje – powiedziała.

– To pewnie dlatego, że jest pani dobrą kucharką.

– Niekoniecznie. Dzieci lubią różne rzeczy, na przykład jedzenie w różnych kształtach. Może być zwykła bułeczka gotowana na parze, ale jeśli jest w kształcie króliczka albo szczeniaka, zawsze więcej zjedzą. Lubią też słodkie, więc smakują im potrawy na słodko-kwaśno albo pieczona wieprzowina po kantońsku. Lubią rzeczy łatwe do pogryzienia, jak kulki mięsne albo warzywne. Dzieci zawsze uważają, że ktoś inny ma coś lepszego, więc pozwalałam im wybierać sobie jedzenie i wymieniać się nim do woli. To wzmacnia zainteresowanie jedzeniem. Moja córeczka była taka sama: kiedy się jej dało to samo, ale na różnych tale-

rzykach, była taka podekscytowana... – Kobieta z czułością pokiwała głową.

– Słyszałam, że pani córeczka... – zaczęłam niepewnie.

– Opowiem pani historię mojej córki, jeśli pani sobie życzy, ale nie tutaj. Nie chcę, żeby dzieci patrzyły, jak płaczę. To takie pocieszające, patrzeć jak jedzą i śmieją się wesoło, tak bardzo mnie... – zamilkła, głos jej się załamał.

– Ciociu Yang? – przerwałam delikatnie.

– Nie tutaj, chodźmy do mojego pokoju.

– Do pani pokoju?

– Tak, jestem tu jedyną osobą, która ma własny pokój, ponieważ zajmuję się też dokumentami zdrowotnymi dzieci i ich rzeczami osobistymi. Dzieci nie powinny mieć dostępu do tego wszystkiego.

Pokój pani Yang był bardzo mały; jedną ze ścian niemal w całości załaniało zdjęcie w tak wielkim powiększeniu, że przypominało obraz złożony z kolorowych punktów. Przedstawiało dziewczynkę o bystrych oczach i półotwartych ustach, jakby właśnie chciała przemówić.

Patrząc na fotografię, pani Yang rzekła:

– To jest moja córka. Zdjęcie zrobiono, kiedy skończyła szkołę podstawową. To jedyna jej fotografia, jaką mam.

– Śliczna dziewczynka.

– O tak. Już w przedszkolu odgrywała różne scenki i wygłaszała przemówienia.

– Na pewno była bardzo inteligentna.

– Też tak uważam. Nie była prymuską, ale nigdy nie sprawiała mi żadnych kłopotów. – Pani Yang pogładziła fotografię. – Już dwadzieścia lat minęło, odkąd odeszła. Wiem, że tego nie chciała. Miała czternaście lat. Wiedziała, czym jest życie i śmierć: nie chciała umierać.

– Słyszałam, że przeżyła trzęsienie.

– Tak, ale lepiej dla niej byłoby, gdyby została od razu zgnieciona na śmierć. Ale ona czekała aż czternaście dni – czternaście dni i dwie godziny, wiedząc, że śmierć się zbliża. A miała tylko czternaście lat... – Pani Yang załamała się.

Nie mogąc powstrzymać łez, powiedziałam: „Ciociu Yang, tak mi przykro”, i położyłam jej dłoń na ramieniu.

Płakała przez chwilę.

– To nic... to nic. Pani Xinran, nie wyobraża pani sobie, jakie to było straszne. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. – Spojrzała po raz kolejny czule na zdjęcie. – Miała otwartą buzię, właśnie tak...

Zasmucona jej łzami, spytałam:

– Ciociu Yang, pracowała pani cały dzień, jest pani zmęczona, więc może porozmawiamy następnym razem?

Pani Yang opanowała się.

– Nie, nie, podobno to pani jest bardzo zajęta. Przyjechała pani szmat drogi tylko po to, żeby nas posłuchać. Nie mogę pani wypuścić z niczym.

– To nie ma znaczenia, mam czas – zapewniałam ją.

Była zdecydowana.

– Nie, nie, teraz pani opowiem. – Wzięła głęboki oddech. – Mój mąż zmarł rok wcześniej, a ja mieszkalam z córką w mieszkaniu na piątym piętrze, które przydzielił mi zakład pracy. Miałyśmy tylko jeden pokój. Łazienka i kuchnia były wspólne. Nie był to duży pokój, ale nie odczuwałyśmy ciasnoty. Ponieważ źle znoszę zimno i upały, moja połowa pokoju była po wewnętrznej stronie, a zewnętrzna strona należała do córki. Tamtego poranka nagle obudziło mnie jakieś dudnienie, huki i silne wstrząsy. Córka zawołała mnie i próbowała wyjść z łóżka, żeby do mnie podejść. Chciałam wstać, ale się przewracałam. Wszystko się przechylało, ściana waliła się na mnie. Nagle mur od

strony córki zniknął i zostałyśmy całkiem odsłonięte, na skraju piątego piętra. Było bardzo ciepło, więc miałyśmy na sobie tylko bieliznę. Córka krzyczała i obejmowała się rękami, ale zanim zdążyła zareagować, kolejna waląca się ściana wyrzuciła ją poza krawędź.

Wykrzykiwałam jej imię i trzymałam się wieszaków na ubrania na ścianie. Dopiero gdy kołysanie się skończyło i mogłam stanąć nieruchomo na pochyłej podłodze, zrozumiałam, że to trzęsienie ziemi. Rozpaczliwie chciałam znaleźć się na dole i ruszyłam, zataczając się i wołając córkę po imieniu.

Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że nie jestem ubrana. Inni też niewiele mieli na sobie. Niektórzy byli nago, ale nikt o tym nie myślał. Wszyscy biegaliśmy rozpaczliwie w kółko, w półmroku, płacząc i wołając krewnych.

W całej tej kakofonii ochryłam od pytania każdego, kto się nawinął, o moją córkę. Niektórzy też pytali mnie, czy widziałam ich rodziny. Wszyscy mieli błędne spojrzenia i krzyczeli, do nikogo nic nie docierało. Gdy ludzie zdali sobie sprawę z grozy sytuacji, zapadła żałobna cisza. Było cicho jak makiem zasiał. Bałam się poruszyć, żeby ziemia znowu się nie zatrzęsła. Staliśmy, badając świat wokół nas: zawalone budynki, popękane rury wodociągowe, ziejące w ziemi dziury, trupy leżące wszędzie, zwisające z krokwi, z pięter domów. W powietrze wznosiła się chmura pyłu i dymu. Nie świeciło słońce ani księżyc, nikt nie wiedział, która godzina. Nie byliśmy pewni, czy jesteśmy jeszcze w krainie żywych.

Zachęciłam panią Yang, żeby wypita łyk wody.

– Wody? A tak, tak... Nie wiem, ile czasu minęło, ale poczułam pragnienie, bo gardło miałam zdarte od krzyku. Ktoś wypowiedział na głos moją myśl: „Woda...”, przypominając wszystkim wokół o podstawowej kwestii prze-

trwania. Jakiś mężczyzna w średnim wieku wystąpił z tłumu i powiedział:

– Jeśli chcemy żyć, musimy się zorganizować i współpracować ze sobą.

Mruknęliśmy potwierdzająco.

Zaczynało się rozwidniać i wszystko wokół stało się wyraźniej widoczne i jeszcze bardziej przerażające. Nagle ktoś krzyknął:

– Patrzcie tam, tam jest ktoś żywy!

W nikłym świetle dostrzegliśmy dziewczynkę zaklinowaną wysoko nad ziemią, pomiędzy zawalonymi murami dwóch domów. Mimo że włosy opadały jej na twarz, a dolna część ciała była zakleszczona i niewidoczna, rozpoznałam moją córkę po staniku i po rozpaczliwych ruchach torsu.

– Xiao Ping! – zawołałam.

Wykrzykiwałam jej imię raz po raz, oszalała z radości i rozpacz. Szamotała się desperacko nadal, a ja zrozumiałam, że nie słyszy mnie ani nie widzi. Przepchnęłam się przez tłum, wyciągając ręce i łkając ochryple, że to moja córka. Gruzy zatarasowały mi przejście. Ludzie próbowali pomóc, starając się wspiąć na mury, między którymi tkwiła moja córka, ale były to co najmniej dwa piętra, a nikt nie miał odpowiednich narzędzi. Wołałam Xiao Ping raz po raz. Nadal mnie nie słyszała.

Kilkoro kobiet i mężczyzn zaczęło wołać razem ze mną, chcąc mi pomóc. Po chwili prawie wszyscy krzyczeli: „Xiao Ping! Xiao Ping!”

Xiao Ping w końcu nas usłyszała. Podniosła głowę i wolną ręką – lewą – odgarnęła włosy z twarzy. Wiedziałam, że mnie szuka. Wyglądała na zagubioną; nie potrafiła mnie rozpoznać w tłumie nagich i półnagich ciał. Mężczyzna obok mnie zaczął przepychać na bok wszystkich stojących

wokół mnie. Na początku nikt nie rozumiał, o co mu chodzi, lecz po chwili stało się jasne, że stara się zrobić wokół mnie dużo wolnego miejsca, żeby Xiao Ping mogła mnie zauważyć. Sposób zadziałał, Xiao Ping krzyknęła „Mamo!” i zamachała do mnie wolną ręką.

Zawołałam ją znowu, ale mój głos był słaby i ochryple. Wyciągnęłam ręce i zamachałam do niej. Nie wiem, ile czasu trwały te nasze wołania i machania. W końcu ktoś zmusił mnie, bym usiadła. Wokół mnie wciąż rozpościerała się spora pusta przestrzeń, dzięki czemu Xiao Ping cały czas mnie widziała. Ona także była wyczerpana, głowa jej opadała, dyszała ciężko. Z perspektywy czasu dziwię się, dlaczego w ogóle nie wołała o ratunek. Ani razu nie zawołała „mamo, ratuj!” ani nic w tym rodzaju.

– Od kiedy zaczęła pani liczyć te czternaście dni, o których pani wspominała?

– Ktoś krzyknął do Xiao Ping: „Jest wpół do szóstej rano, niedługo ktoś przyjdzie ci na ratunek!” Chciał ją pocieszyć, pomóc jej wytrwać. Ale mijały sekundy, minuty i godziny, a ratunek nie nadchodził.

– Może wiele czasu minęło, zanim ludzie się dowiedzieli, co się w ogóle wydarzyło – powiedziałam, przypominając sobie, jak późno pojawiły się doniesienia prasowe.

Pani Yang kiwnęła głową.

– Cóż to był za kraj wtedy, w 1976 roku! Wielkie miasto runęło w gruzy, zginęło trzysta tysięcy ludzi i nikt o tym nie wiedział. Chiny były tak zacofane! Podejrzewam, że gdyby kraj był wówczas bardziej rozwinięty, wielu z tych ludzi by przeżyło. Może Xiao Ping byłaby wśród nich.

– Kiedy przybyli ratownicy?

– Nie jestem pewna. Pamiętam tylko, że pierwsze było wojsko. Żołnierze byli złani potem od biegu, ale żaden nawet nie przystanął, żeby złapać oddech – od razu roz-

dzielili się i pospieszyli na ratunek ludziom. Posługując się linami i karabińczykami dwóch żołnierzy zaczęło wspinać się na mur, w którym była uwięziona Xiao Ping. Ściana wyglądała, jakby miała się za chwilę zawalić i przygnieść ich wszystkich. Zabrakło mi tchu w piersiach, kiedy patrzyłam, jak zbliżają się do niej... – Zamilkła na parę chwil. – Kiedy Xiao Ping zauważyła, że ktoś przybył jej na pomoc, rozplakała się. Pierwszy żołnierz, który do niej dotarł, zdjął marynarkę od munduru i okrył ją. Miała wolną tylko jedną rękę, więc mógł tylko narzucić na nią ubranie, niczym tybetańską szatę. Inny przytknął jej do ust butelkę z wodą. Obaj zaczęli odgarniać cegły i kamienie dookoła Xiao Ping i wkrótce uwolnili prawą rękę, posiniaczoną i pokrwawioną. Z jakiegoś powodu nagle przestali rozkopywać gruz. Zawołałam do nich, pytając, co się stało, ale na pewno nie usłyszeli. Po pewnym czasie zeszli na dół i zbliżyli się do mnie. Gestykulując pokrwawionymi rękami wyjaśnili mi, że dolna połowa ciała Xiao Ping jest zaklinowana między płytami ze zbrojonego betonu i że nie są w stanie wydobyć jej ręcznie. Spytałam, czemu mają takie zakrwawione dłonie. Schowali je z tyłu za plecami, mówiąc, że nie wolno im używać narzędzi do odkopywania ludzi, z obawy, by ich nie zranić.

Kiedy to wszystko się skończyło, zauważyłam, że niektórzy żołnierze mają paznokcie i opuszki palców całkiem zdarte od kopania, ale owijali dłonie szmatami i pracowali dalej. Niektórzy, kopiąc, krzyczeli jak opętani – słyszeli bowiem jęki i wołania o pomoc dochodzące spod gruzów. Lecz ile można działać gołymi rękoma? Nie dało się przywieźć do miasta ciężkiego sprzętu ratunkowego, ponieważ drogi były zniszczone. Ilu ludzi zginęło, czekając na ratunek? – westchnęła i otarła łzy.

– Xiao Ping musiała być bardzo silna.

– O tak. Kiedyś wyła z powodu byle zadrapania gałązką i bladła na widok krwi. Lecz w tamtych ostatnich czterestu dniach była niezwykle silna, nawet mnie pocieszała: „Mamo, ja nie mam czucia, nie boli mnie ani trochę!” Kiedy wreszcie wydobyto jej ciało, zobaczyłam, że nogi ma zgniecione na miazgę. Osoba, która przygotowywała zwłoki do pogrzebu, powiedziała mi, że miednica pękła pod naciskiem. Miałam szczerą nadzieję, że rzeczywiście straciła czucie w dolnej połowie ciała na te czternaście dni, kiedy tak wisiała pod gołym niebem. Liczyłam każdą minutę. Przez cały ten czas ludzie próbowali najróżniejszych sposobów, by ją uratować, pracowali dzień i noc, ale nie udało się.

W końcu żołnierze pomogli mi wspiąć się na mur do Xiao Ping i zmontowali mi tam prowizoryczne siedzenie, żebym mogła dłużej tulić córkę w ramionach. Jej filigranowe, słabe ciało było lodowate, mimo ciepłej, letniej pogody.

Przez pierwszych kilka dni Xiao Ping była jeszcze w stanie rozmawiać ze mną i gestykulować, opowiadając mi różne historie. Po czterech dniach zaczęła słabnąć coraz bardziej, w końcu ledwie unosiła głowę.

Mimo że codziennie dostawała jedzenie i lekarstwa i była troskliwie pielęgnowana, dolna połowa jej ciała prawdopodobnie cały czas krwawiła, aż wdała się gangrena. Coraz więcej ludzi przejmowało się jej losem, ale nikt nie mógł nic zrobić. Cały Tangshan legł w gruzach – nie wystarczało ratowników ani sprzętu, a drogi były nieprzejezdne. Moja biedna córeczka...

– Ciociu Yang... – wymamrotałam. Obie płakałyśmy.

– Myślę, że przez ostatnich kilka dni Xiao Ping mogła już zdawać sobie sprawę, że nie ma nadziei na ratunek, chociaż ludzie wymyślali różne rzeczy, żeby podnieść ją

na duchu. Leżała bezradnie w moich objęciach, niezdolna się poruszyć. Rankiem czternastego dnia wyprostowała się z wysiłkiem i powiedziała: „Mamo, wydaje mi się, że te lekarstwa, które mi dajesz, całkiem dobrze działają. Zobacz, mam nawet trochę siły!”

Widząc jej zmianę pozycji, ludzie, którzy obserwowali ją uważnie przez całe czternaście dni, zaczęli klaskać i witać. Ja też myślałam, że stał się cud. Kiedy Xiao Ping zauważyła, jak bardzo wszyscy są podekscytowani, doznała jakiegoś przyływu nowej energii. Jej twarz, śmiertelnie blada, pokryła się rumieńcem; przemawiała do swoich sympatyków głośno i wyraźnie, dziękowała im i odpowiadała na pytania. Ktoś zaproponował, żeby zaśpiewała piosenkę, i tłum przyklasnął mu z aprobatą. Z początku Xiao Ping się krępowała, ale ludzie dopingowali ją: „Zaśpiewaj, Xiao Ping! Xiao Ping, zaśpiewaj nam piosenkę!” W końcu słabo skinęła głową i zaczęła śpiewać: „Czerwona gwiazda ma cudowny blask, czerwona gwiazda w moim sercu lśni...”

Wtedy wszyscy znali tę pieśń; wielu zaczęło wtórować Xiao Ping. Ich śpiew pośród tych spustoszeń był niczym rozkwitająca nadzieja. Po raz pierwszy od wielu dni ludzie się uśmiechali. Po kilku zdaniach głos Xiao Ping załamał się i powoli zwiśla w moich objęciach.

Pani Yang milczała dłuższą chwilę. W końcu przebudziła się z odrętwienia i mówiła dalej.

– Xiao Ping już się nie obudziła. Myślałam, że zasnęła, ale kiedy zrozumiałam swoją pomyłkę, było już za późno. Nic nie powiedziała na pożegnanie, a ostatnią rzeczą, jaką w życiu widziałam, byli śpiewający, uśmiechający się ludzie wokoło. Kiedy lekarz powiadomił mnie o jej śmierci, byłam spokojna – tych czternaście dni i dwie godziny wyczerpały mnie do cna. Dopiero cztery dni później, kiedy w końcu wydobyto zwłoki Xiao Ping, które zaczynały się rozkładać,

zaczęłam wreszcie płakać. Jej ciało było w takim stanie... Ciało z mojego ciała, krew z mojej krwi... To bolało, tak straszliwie bolało!

– Ciociu Yang, przykro mi... Tak mi przykro... – łkałam razem z nią.

– Biedne dziecko, przez czternaście lat swojego życia obejrzało tylko trzy filmy: *Walka w tunelu*, *Walka za pomocą min* i *Bitwa Północy z Południem* oraz osiem oper wzorcowych. Nigdy nie widziała ładnej sukienki ani pantofli na obcasach...

– To był bardzo smutny okres w naszej historii. Ja też dorastałam w tamtych czasach i nie doświadczyłam w pełni ani młodości, ani piękna.

Pani Yang westchnęła.

– Niektórzy mówią, że trzęsienie ziemi było karą boską za wydarzenia „rewolucji kulturalnej”. Lecz na kim zemścili się bogowie? Nigdy ich nie obraziłam ani nie popełniłam żadnego niemoralnego czynu. Dlaczego więc zgładzili moją córkę?

– Ciociu Yang, proszę tak nie mówić! Śmierć Xiao Ping nie była żadną karą. Niech pani pod żadnym pozorem tak nie myśli. Xiao Ping, gdziekolwiek teraz jest, na pewno martwiłaby się, wiedząc, że tak pani cierpi. Powinna pani żyć jak najlepiej i jak najszczęśliwiej – to byłaby najlepsza nagroda za poświęcenie Xiao Ping.

– Tak, to prawda... Ale... Ech, nie rozmawiajmy już o tym. Jest pani zajęta, proszę wracać do swoich spraw i nie przejmować się już moim gadaniem.

– Dziękuję pani, ciociu Yang. – Dotknęłam jej ręki. – Myślałam, że widuje pani tutaj wiele szczęśliwych, roześmianych dzieci. Jestem pewna, że dorastając, zachowają w sobie cząstkę duszy Xiao Ping i tych wszystkich wspaniałych rzeczy, które pozostawiła po sobie na tym świecie. – Spoj-

rzałam na dziewczynkę na fotografii i poczułam, że proszę mnie, bym nie zostawiała jej matki samej – przemówiła do mnie głosem mojego synka, Pan Pana.

Kilka dni później wróciłam do Tangshanu, żeby przeprowadzić wywiad z dyrektorką sierocińca, panią Ding.

Pani dyrektor Ding przez ponad dziesięć lat pełniła w wojsku funkcję oficera administracyjnego. Jej mąż opuścił armię w związku ze złym stanem zdrowia, toteż cała rodzina przeprowadziła się z południowo-wschodnich Chin z powrotem do Tangshanu na mniej więcej rok przed trzęsieniem ziemi. W czasie katastrofy ich córka zginęła, a syn stracił obie nogi. Później mąż pani Ding zmarł na atak serca, ona zaś wychowywała samotnie kalekiego syna, korzystając z pomocy państwa. Młodzieniec samodzielnie nauczył się księgowości i zgłosił się jako wolontariusz, gdy matki planowały założenie sierocińca. Niedługo po mojej wizycie zmarł z powodu infekcji, która wywiązała się w starych ranach.

Aby uniknąć przywoływania bolesnych wspomnień pani Ding, początkowo próbowałam przeprowadzić wywiad z jej synem. Powiedział mi jednak, że w tamtych czasach był za mały i nie pamięta trzęsienia ziemi. Mówił, że matka nigdy nie zdradziła mu prawdziwej przyczyny śmierci jego siostry. Słyszał tylko jakieś niejasne informacje, że nie zginęła w trakcie trzęsienia, lecz popełniła samobójstwo później. Bardzo chciał się wszystkiego dowiedzieć, ale gdy tylko poruszał ten temat, matka go uciszała.

Cóż było robić – spytałam panią dyrektor Ding, czy zechce udzielić mi wywiadu. Zgodziła się, ale zaproponowała, żebym poczekała do Święta Narodowego. Gdy zapytałam o powód, wyjaśniła: „Moja historia nie jest długa, ale opowiadanie jej wytrąci mnie z równowagi na kilka dni.

Będę potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie”. Święto Narodowe w tamtym roku przypadało przed weekendem, toteż zapowiadały się trzy wolne dni. Jak na Chiny to bardzo długo – dni wolne od pracy należą do rzadkości.

Wieczorem w dniu poprzedzającym święto, kiedy przybyłam do Tangshanu, pani Ding zatelefonowała do mnie i zaprosiła na spotkanie.

Poszłam do sierocińca. Staralam się uspokoić rozmówczynię, zapewniając, że jeśli odpowiadanie stanie się dla niej zbyt trudne, możemy przerwać wywiad w każdej chwili. Uśmiechnęła się blado.

– Dziękuję pani za życzliwość, pani Xinran, ale proszę nie zapominać, że jestem żołnierką. Widziałam walki w Korei. Kiwnęłam głową.

– Podobno podczas trzęsienia ziemi nie zginął nikt z pani rodziny, czy to prawda?

– Tak, to prawda. Ale fakt, że przeżyliśmy, był dla nas tylko przekleństwem.

– Czy słusznie przypuszczam, że pani mąż zmarł z żalu z powodu nieszczęścia córki?

– Tak, i ja też o mało nie umarłam. Tylko myśl o moim kalekim synu trzymała mnie przy życiu. Myślałam o sobie jako niezbędnej części syna, i tylko dzięki temu żyłam dalej.

– Pani córka odebrała sobie życie, bo... – przerwałam jej łamiącym się głosem.

– Do dziś dnia tylko trzy osoby znały powód: mój mąż, moja córka i ja. Na pewno już wiele razy słyszała pani, ile zniszczeń spowodowało to trzęsienie ziemi – nie muszę tego wszystkiego powtarzać. W gruncie rzeczy nie da się tego opisać słowami. Nie można się dowiedzieć, jak wygląda koniec świata, jeśli nie doświadczyło się tego samemu. W takiej sytuacji najpierw myśli się o rodzinie.

Kiedy udało mi się wraz z mężem wydostać z walącego się domu, trwały wstrząsy następne. Odkryliśmy, że pokój, w którym spały nasze dzieci, został kompletnie zrujnowany, ale po nich samych nie było śladu. Serce skurczyło mi się ze strachu. Ponieważ mieszkaliśmy w pobliżu lotniska wojskowego, garnizon wkrótce przybył nam na pomoc. Odkopali naszego syna, ale miał już zmiążdżone nogi, więc amputowali je nad kolanami, jak pani miała okazję zauważyć. Miał szczęście, że wyratowali go na czas, bo inaczej, w taki gorący dzień, natychmiast wdałaby się gangrena i jego życie byłoby w niebezpieczeństwie. Kiedy minęły dwa dni, a mojej córki wciąż nie odnaleziono, byłam bliska szaleństwa. Widziałam tylu rannych, okaleczonych i zmarłych wykopywanych spod gruzów – prawie nikt nie był cały i zdrowy.

Gdy już niemal straciłam nadzieję, ktoś powiedział mi, że wielu rannych zabrano na pasy startowe lotniska. Póki pozostał choć cień nadziei, musiałam tam iść i poszukać.

Kiedy dotarłam na lotnisko, oniemiałam ze zgrozy: długie pasy startowe pełne były jęczących ciał ułożonych w czterech czy pięciu rzędach. Dopiero w tamtej chwili dotarło do mnie, że w trzęsieniu ziemi nie zawałił się tylko nasz dom, lecz całe miasto, zamieszkane przez setki tysięcy ludzi. Przerazona, próbowałam rozpoznać córkę wśród rzędów zmarłych i rannych – kiedy ich tam przyniesiono, wszyscy zapewne jeszcze żyli, lecz niektórzy zmarli, zanim zdążono udzielić im pierwszej pomocy. Trudno było kogośkolwiek zidentyfikować: mało która osoba miała na sobie ubranie; twarze niektórych kobiet zasłaniały włosy, ciała były ubłocone. Minęło pół dnia, a ja przeszukałam mniej niż połowę pasa. Kiedy zapadł zmierzch, poszłam do namiotów, które poustawiał dla nas garnizon. Miałam zamiar kontynuować poszukiwania następnego dnia.

W namiocie oprócz mnie spało mnóstwo ludzi. Nieważna była płeć i czy ktoś był biedny, czy bogaty. Każdy padał jak długi na tej odrobinie przestrzeni, jaką znalazł, wyczerpany rozpaczliwym bieganiami w kółko i poszukiwaniami, bez jedzenia i picia, pchany nadzieją.

Przysypiając, usłyszałam dobiegające z bliska głosy dwóch mężczyzn:

– A ty co? Jeszcze nie śpisz?

– Myślę o tej dziewczynie...

– Cały czas?

– Nie, nie myślę o tym. Tak się zastanawiam, czy ona tam czasem nie umrze.

– Cholera, nie przyszło mi to do głowy!

– To, co zrobiliśmy, było wystarczająco niedobre. A co jeśli umrze?

– Czyli co proponujesz? Mamy tam iść i sprawdzić? Jeśli tak, to im szybciej, tym lepiej, żeby został dla nas jeszcze kawałek miejsca, kiedy wrócimy. Inaczej przemoczymy się, śpiąc na dworze.

Rozejrzałam się wokół, żeby sprawdzić, kto rozmawia, i przeraziłam się na widok kolorowego sznurka zwisającego z szortów jednego z mężczyzn. Wyglądał identycznie jak ten, którym córka wiązała włosy. Nie mogłam uwierzyć, że to o mojej córce rozmawiali, ale jeśli to prawda? Rzuciłam się w ich kierunku i spytałam, skąd się wziął ten kolorowy sznurek. Wykręcali się od odpowiedzi, co wzmogło moje podejrzenia. Zaczęłam groźnie pokrzykiwać, pytając, gdzie jest dziewczyna, o której rozmawiali; wystraszeni, wymamrotali coś o rowie przy odległym pasie startowym i uciekli. Nie mogłam wypytać ich o więcej szczegółów, ani tym bardziej ich złapać. Chciałam tylko się upewnić, czy ta dziewczyna była moją córką.

Pobiegłam w kierunku wskazanym przez mężczyzn. Kiedy dotarłam nad krawędź rowu, usłyszałam słabe jęki, ale w ciemności nie mogłam dojrzeć, kto je wydaje. W tym momencie podeszło do mnie dwóch żołnierzy z patrolu; mieli latarki i pilnowali rannych na pasach startowych. Poprosiłam ich, żeby zaświecili latarkami do rowu. W słabym blasku dostrzegliśmy nagą dziewczynę. W moim sercu zapanał zamęt: jednocześnie miałam nadzieję, że to ona, i chciałam, żeby to był ktoś obcy. Kiedy z pomocą żołnierzy wyniosłam ją na pas, rozpoznałam swoją córkę.

– Xiao Ying! Xiao Ying! – wołałam ją po imieniu, ale tylko patrzyła na mnie zdumiona, bez żadnej reakcji.

– Xiao Ying, to ja, mama!

Nagle zauważyłam, że dolna połowa jej ciała jest mokra i lepka. Nie miałam jednak czasu o tym myśleć, ubierając ją pośpiesznie w odzież, którą pożyczyci nam żołnierze. Ku mojemu zdziwieniu Xiao Ying spuściła z powrotem spodnie. Kiedy spytałam, czemu to zrobiła, tylko zamknęła oczy i coś mruknęła. Była tak wyczerpana, że wkrótce zasnęła. Długo leżałam oszołomiona, aż w końcu również zapadłam w sen.

O świcie obudził mnie ryk samolotu. Kiedy spojrzałam na Xiao Ying, oniemiałam: leżała obok mnie z opuszczonymi spodniami, uśmiechała się idiotycznie, a jej nogi i kroczki były całe we krwi. Przypomniałam sobie słowa tamtych dwóch mężczyzn. Czy skorzystali z okazji, jakiej dostarczyła im katastrofa, i zgwałcili Xiao Ying? Bałam się w to uwierzyć. A moja córka, żywa, tryskająca energią dziewczyna, postradała zmysły.

Lekarz orzekł, że Xiao Ying doznała wielkiego szoku i poinformował mojego męża i mnie, że z pewnością dokonano na niej zbiorowego gwałtu. Tyle usłyszałam, zanim straciłam przytomność. Kiedy ją odzyskałam, mąż trzymał

mnie za rękę, a twarz miał mokrą od łez. Spoglądaliśmy na siebie bez słowa i płakaliśmy: nasza córka, zgwałcona, oszalała, nasz syn stracił nogi...

Pani dyrektor Ding zamilkła.

– Czy wysłaliście państwo Xiao Ying na jakieś leczenie?
– spytałam cicho.

– Tak, ale nie przyszło nam do głowy, że nawet jeśli wróci do siebie, nigdy nie przestanie czuć tego strachu. Dwa i pół roku później, gdy jej pamięć zaczynała wracać do normalnego stanu, w przeddzień powrotu do domu i rozpoczęcia nowego życia powiesiła się w szpitalnym pokoju.

Zostawiła nam taki list:

Kochani Mamo i Tato!

Przepraszam Was, nie mogę tak dalej żyć. Nie powinniście byli mnie ratować. We wspomnieniach, które do mnie wracają, jest tylko świat rozpadający się na kawałki i okrucieństwo tamtych mężczyzn. Nie ma niczego więcej, a ja nie potrafię żyć z taką pamięcią. To zbyt bolesne. Odchodzę.

Wasza córka Xiao Ying

– W jakim wieku była Xiao Ying? – spytałam.

– Miała szesnaście lat, a jej brat jedenaście – pani dyrektor Ding przerwała, po czym ciągnęła dalej: – Mój mąż w rozpaczę rwał sobie włosy z głowy i powtarzał, że to on odpowiada za krzywdę naszego dziecka. Ale to przecież nie jego wina. Tamtego wieczoru poszedł spać bardzo późno. Byłam wyczerpana i zasnęłam, a kiedy się obudziłam, jego ciało było już zimne, a twarz znieruchomiła w smutku. Według aktu zgonu zmarł na atak serca z powodu skrajnego wyczerpania.

Zapało mi dech.

– Trudno mi sobie wyobrazić, jak pani to zniosła.

Skinęła głową z rezygnacją.

– Nie chciała pani, żeby syn wiedział?

– Cierpiał już z powodu okaleczenia ciała – czy zniósłby podobną krzywdę zadaną umysłowi i uczuciom?

– Ale pani odważnie wytrzymała.

– Udało mi się, ale nie było w tym żadnej odwagi. Jestem jedną z tych osób, które sprawiają wrażenie silnych – jak to mówią, warownych twierdz pośród kobiet. Ale w samotności płaczę całymi nocami: płaczę nad córką, mężem, synem, nad sobą samą. Czasem aż nie mogę oddychać z tęsknoty za nimi wszystkimi. Niektórzy mówią, że czas leczy rany, ale moich nie uleczył.

W pociągu powrotnym płakałam przez całą drogę. Płakałam dalej z długopisem w rękę, pisząc o doświadczeniach tamtych matek. Ich odwaga jest dla mnie trudna do wyobrażenia. One żyją dalej. Czas doprowadził je do terażniejszości, lecz w każdej mijającej minucie, w każdej sekundzie muszą walczyć ze wspomnieniami o śmierci, całymi dniami i nocami towarzyszy im pamięć o utracie własnych dzieci. Tego bólu nie da się uleczyć żadnym ludzkim wysiłkiem: najdrobniejsze przedmioty – igła i nitka, pałeczki i miseczka do ryżu – przenoszą je z powrotem w świat uśmiechniętych twarzy i głosów zmarłych. Mimo to muszą żyć dalej, otrząsać się ze wspomnień i powracać do rzeczywistości. Dopiero teraz rozumiem, czemu w każdym pokoju w sierocińcu wisiał ten obraz – wielkie oko wypełnione łzami ze słowem „przyszłość” wypisanym na źrenicy. Te kobiety nie zamknęły swojej matczynej miłości we wspomnieniach o dzieciach; nie pogrzały się we łzach cierpienia i oczekiwaniu na litość. Z właściwą matkom szczodrością stworzyły nowe rodziny dla dzieci, które straciły rodziców. Według mnie dowodzi to niewyobrażalnej siły chińskich kobiet.

Jako matka potrafię sobie wyobrazić, jak odczuły tę stratę, ale nie jestem pewna, czy umiałabym, cierpiąc jak one, tak wspaniałomyślnie dawać siebie innym.

Kiedy poprowadziłam audycję opartą na tych wywiadach, w ciągu pięciu dni dostałam ponad siedemset listów. Niektórzy prosili, żebym pozdrowiła od nich matki z sierocińca i podziękowała im. Niektórzy wysyłali pieniądze, z prośbą, żebym kupiła prezenty dzieciom. Dzielili się emocjami, które wzbudził w nich mój program: jedna z kobiet napisała, że jest wdzięczna za swoje dzieci; dziewczyna – że po raz pierwszy w życiu ma ochotę przytulić się do swojej matki; chłopak, który kilka miesięcy wcześniej odszedł z domu, zdecydował się wrócić do rodziców i prosić ich o przebaczenie. Każde biurko w pokoju było zavalone listami, a wielkie kartonowe pudło przy drzwiach wypełniały prezenty dla dzieci i matek. Było tam coś od Starego Chena, Dużego Li, Mengxing, Xiao Yao, Starego Zhanga... i wielu innych moich kolegów.

第六章⁶

w co wierzą Chinki

Nie zapomniałam o pytaniach, które zadała mi studentka Jin Shuai: Jaka jest filozofia kobiet? Czym jest dla kobiety szczęście? Co to znaczy być dobrą kobietą? W trakcie badań, które prowadziłam przed programami, starałam się znaleźć na nie odpowiedzi.

Pomyślałam, że dobrze byłoby zapytać starszych i bardziej doświadczonych kolegów, Dużego Li i Starego Chena, o opinię na temat filozofii, która towarzyszy w życiu kobietom. Rzecz jasna w czasach, gdy wiara w partię była zawsze na pierwszym miejscu, musiałam sformułować to pytanie ostrożnie.

– Oczywiście przede wszystkim kobiety wierzą w partię. A czy oprócz tego mają jakieś inne przekonania?

Stary Chen z zapalem podjął temat:

– Chinki są wierzące – rzekł – ale wydaje się, że potrafią wyznawać kilka religii jednocześnie. Kobiety, które oddają się duchowym i fizycznym praktykom qigong, ciągle zmieniają odmianę qigongu i mistrza, którego nauk słuchają; ich bóstwa także przychodzą i odchodzą. Nie można ich

za to winić: trudy życia sprawiają, że tęsknią za jakimś pocieszeniem. Jak powiedział przewodniczący Mao: „Bieda wywołuje pragnienie zmian”. Teraz wszyscy wierzymy w Mao Zedonga i komunizm, ale przedtem wierzyliśmy w Niebiosą, Niebiańskiego Cesarza, Buddę, Jezusa, Mahometa. Chociaż mamy tak długą historię, nie dorobiliśmy się własnej narodowej religii. Cesarze i władcy byli uważani za bóstwa, lecz ciągle się zmieniali i ludzie przyzwyczaili się do oddawania czci wielu bogom. Jak to się mówi, ilu ludzi – tyle religii. W gruncie rzeczy można powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak prawdziwa wiara. Kobiety są dużo praktyczniejsze od mężczyzn, więc chcą się zabezpieczyć na wszystkich frontach. Nie wiedzą, które bóstwo ma największą moc, który duch jest najbardziej pożyteczny – więc czczą wszystkie naraz, na wszelki wypadek.

Wiedziałam, że ma rację, ale zastanawiałam się, w jaki sposób ludzie godzą ze sobą sprzeczne doktryny różnych religii. Stary Chen odgadł moje wątpliwości:

– Myślę, że mało która kobieta rozumie, czym w ogóle jest religia. Większość po prostu naśladuje innych, nie chcąc być w gorszej sytuacji.

Duży Li zgodził się ze Starym Chenem. Zauważył, że zwłaszcza odkąd w 1983 roku ogłoszono wolność religii, w jednym domu potrafi znajdować się po kilka ołtarzy poświęconych różnym bogom. Większość ludzi modli się tylko po to, by prosić o bogactwo i inne korzyści. Opowiedział nam o swoich sąsiadach: dziadek jest buddystą, a babka taoistką, więc wiecznie się kłócą. Ich wnuczka z kolei, jako chrześcijanka, oprócz kadzidełek ustawiła w domu krzyż, za co dziadkowie nieustannie ją besztają, twierdząc, że sprowadza na nich przedwczesną śmierć. Matka dziewczyny praktykuje którąś odmianę qigongu, a ojciec czci Boga Bogactwa. Awanturują się bez przerwy: kobieta twierdzi,

że mążowska żądza mamony narusza jej kondycję duchową, a on oskarża ją o ściągnięcie złych wpływów na jego bogactwo. Niewielkie fundusze, jakimi dysponuje rodzina, są wydawane na ceremonie religijne i święte obrazy, co nie czyni nikogo ani bogatszym, ani szczęśliwszym.

Duży Li także opowiedział nam o pewnej pani dyrektor, podobno bardzo religijnej. W publicznych przemówieniach wychwala Partię Komunistyczną jako jedyną nadzieję Chin, lecz ledwie zejdzie z podium, zaczyna głosić buddyjskie nauki i przekonuje ludzi, że w przyszłym życiu zostaną nagrodzeni za swoje uczynki. Kiedy wiatr powiał w inną stronę, zaczęła nawracać na którąś z cudownych odmian qigongu. U niej w zakładzie mówili, że na płaszczu nosi odznakę partii, do podkoszulka przypina obrazek Buddy, a do stanika wkłada portret Wielkiego Mistrza Zhanga z sekty Zangmigong. Widząc moją pełną niedowierzania minę, Duży Li zapewnił, że postać ta często pojawia się na łamach gazet. Co roku zostaje Wzorowym Pracownikiem, wielokrotnie też mianowano ją Wybitnym Członkiem Partii.

– Ta jej potajemna religijność pewnie nie wygląda za dobrze w oczach partii – zauważyłam lekko lekceważącym tonem.

Stary Chen zastukał w blat i rzekł surowo:

– Bądź ostrożna, Xinran. Takie słowa mogą cię kosztować głowę.

– Czy nadal musimy aż tak się bać?

– Nie bądź głupia. W latach pięćdziesiątych partia rzuciła wezwanie: „Niech rozkwita sto kwiatów, niech rywalizuje sto szkół myślenia”. I co się wydarzyło? Ci, którzy na to wezwanie odpowiedzieli, zostali wtrąceni do więzień albo zesłani do biednych górskich wiosek. Niektórzy tylko zapisywali swoje myśli w pamiętnikach, ale tych też poddano publicznej krytyce i uwięziono.

Stary Chen był życzliwym człowiekiem.

– Nie powinnaś za dużo mówić o wierze i religii – ostrzegł mnie. – Bo napytasz sobie biedy.

W ciągu kolejnych kilku lat rozmawiałam z wieloma kobietami o ich wierze i tylko potwierdziłam fakt, że potrafią wyznawać całe mnóstwo religii jednocześnie. W Zhengzhou spotkałam emerytowaną działaczkę, której udawało się pogodzić wielkie oddanie partii z silną wiarą w nauki Fangxiang Gong („qigong rozsiewania aromatu”) – odmiany qigongu, wedle której mistrz jakoby rozsiewa zapach, poprzez który wyznawca wdycha jego dobroć i wzmacnia swoje ciało. Wcześniej oddawała się ćwiczeniom fizycznym i zażywała wywary z ziół. Kiedy spytałam, czy wyznaje też buddyzm, poprosiła, żebym ściszyła głos i potwierdziła, że owszem. Starzy ludzie w jej rodzinie zawsze mówili, że lepiej wierzyć we wszystko naraz niż nie wierzyć w nic. Powiedziała mi też, że pod koniec roku wierzy w Jezusa, który jest Świętym Mikołajem i przychodzi do domu, by nam pomóc. Kiedy wyraziłam swoje zaskoczenie, że Jezus i Święty Mikołaj to ta sama osoba, stwierdziła, że jestem jeszcze za młoda i się nie znam, i poprosiła, żebym nie wspominała nikomu o naszej rozmowie:

– U nas mówi się: w domu wierz w swoich bogów i mów, co ci się podoba, poza domem wierz w partię i uważaj, co robisz. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek się dowiedział, co tu opowiadałam. Jestem już stara, po co mi znowu kłopoty.

– Niech się pani nie martwi – zapewniłam ją. – Nikt się nie dowie, że to z panią przeprowadziłam ten wywiad.

Kobieta miała wątpliwości.

– Tak pani mówi, ale komu można ufać w dzisiejszych czasach?

W tamtym okresie praktyki qigong cieszyły się w Chinach znaczną popularnością. Ludzie bezgranicznie wierzyli mistrzom, którzy je uprawiali, a ja byłam nieufna wobec ich mocy. W 1995 roku spotkałam na Uniwersytecie Pekińskim wykładowczynię, która była zagorzałą zwolenniczką nowej odmiany qigongu, zwanej Falun Gong – a raczej jej założyciela, Li Hongzhi. Li Hongzhi nauczał, że świat składa się z trzech poziomów: poziomu odźwiernego, na którym znajdował się on sam, poziomu duchów, obdarzonych szczególnymi przymiotami – chrześcijańskiego Boga, Buddy i tak dalej, oraz trzeciego poziomu, na którym znajdują się wszyscy żyjący ludzie.

– Mistrz Li jest bóstwem – wyratuje ludzkość z tej kupy śmieci, w którą zamieniła się nasza planeta, zanim to wszystko wyleci w powietrze – mówiła. – Nie zamierza wyzwalać ludzi przy pomocy magii, lecz uczy ich duchowych ćwiczeń, dzięki którym rośnie ich cnota prawdy, dobroci i tolerancji, tak by praktykujący mogli wznieść się ku Niebu.

Mówiła jeszcze, że wierzy również w Boga chrześcijańskiego i wyglądała na zakłopotaną, gdy spytałam ją, jak to możliwe, skoro Li Hongzhi głosi, że aby praktykować Falun Gong, nie powinno się mieć w sercu żadnych innych bóstw ani duchów.

A jak to jest u młodzieży? Pewnego razu przed kościołem protestanckim Południowa Droga Taiping w Nankinie spotkałam dwie młode dziewczyny. Jedna była ubrana modnie, a długie, lśniące włosy nosiła rozpuszczone, druga nie miała tak eleganckiego stroju i czesała się w koński ogon. Przypuszczałam, że elegantka przyszła do kościoła dlatego, że to modne, a przyjaciółka towarzyszyła jej z ciekawości, ale myliłam się.

Spytałam, czy często chodzą do kościoła.

Spoglądając na przyjaciółkę, dobrze ubrana dziewczyna odrzekła:

– Jestem pierwszy raz, to ona mnie tu przyciągnęła.

– A ja dopiero drugi raz – wtrąciła się dziewczyna z kucykiem.

– A po raz pierwszy przyszedł tu sama czy ktoś cię przyprowadził? – spytałam.

– Byłam z babcią, która jest chrześcijanką.

– A twoja mama?

– Mama mówi, że też jest, ale nigdy nie była w kościele.

– A wy wyznajecie chrześcijaństwo? – zwróciłam się do nich obu.

– Nigdy w to nie wierzyłam – odparła elegantka – ale słyszałam, że to bardzo ciekawe.

– To znaczy? – sondowałam.

– Tylu ludzi na całym świecie wierzy w Jezusa i chrześcijaństwo, myślę, że coś w tym musi być.

– Muzułmanów i buddystów też jest mnóstwo na świecie. Co ty na to?

– A bo ja wiem. – Wzruszyła ramionami.

Jej przyjaciółka z kucykiem oznajmiła:

– Tak czy owak kiedy kobieta zbliża się do czterdziestki, musi w coś wierzyć.

Byłam zdumiona tym rozumowaniem.

– O, doprawdy? Dlaczego?

– No to niech pani spojrzy na tych wszystkich ludzi modlących się w kościołach i palących kadzidła w świątyniach. Same kobiety w średnim wieku.

– A czemu tak jest, jak uważacie?

– Mężczyźni ciężko pracują, żeby zarabiać pieniądze – wtrąciła się zagadkowo elegantka – a kobiety dlatego, że taki już ich los.

Jej przyjaciółka rzekła:

– Moja babcia mówi, że kiedy była młoda, nie wierzyła w Boga, ale kiedy zaczęła wierzyć, przestała się martwić wieloma rzeczami. A mama mówi, że kiedy uwierzyła, przestała się kłócić z tatą. To prawda, kiedyś strasznie się awanturowali, a teraz, kiedy tata wpada w złość, to mama idzie do krzyża i modli się, a on siedzi cicho.

– Kobiety i tak nie mogą niczego wielkiego osiągnąć. A modlić się do jakiegoś boga to zawsze lepiej niż grać w madżonga – rzekła modnie ubrana dziewczyna.

Byłam zdumiona tą nonszalancką uwagą.

– Jak można mówić jednym tchem o religii i grze w madżonga?

– To nie o to chodzi – odrzekła dziewczyna z kucykiem.

– Mama mówi, że ludzie, którzy w nic nie wierzą, żyją dzisiejszym dniem. Gdyby mieli pieniądze, mogliby się zabawić, ale nie stać ich ani na podróżę, ani nawet na drinka w restauracji. Więc siedzą w domu i grają w madżonga. W ten sposób mogą przynajmniej trochę wygrać.

– A wierzące kobiety? – spytałam.

– Ludzie, którzy wyznają jakąś religię, są inni – rzekła modnisią, potrząsając włosami.

– O tak, całkiem inni – potwierdziła przyjaciółka. – Wierzące kobiety czytają święte pisma, biorą udział w ceremoniach, pomagają innym.

– Więc gdy już będziecie miały czterdzieści lat, zostaniecie wyznawczyniami jakiejś religii? – spytałam obie dziewczyny.

Dobrze ubrana wzruszyła niezobowiązująco ramionami, ale jej przyjaciółka odpowiedziała zdecydowanie:

– Jeśli się wzbogacę, nie będę niczego wyznawać. A jeśli dalej będę taka biedna, to zacznę.

– A jaką religię zamierzasz wyznawać?

– To zależy, co będzie wtedy modne – odpowiedziała.

Dziewczyny sobie poszły, a ja stałam przed kościołem z ustami wciąż otwartymi ze zdumienia.

第七章⁷

kobieta, która kochała kobiety

Moi koledzy mawiali: „Dziennikarze z czasem pokornieją”. W miarę jak nabierałam doświadczenia i wiedzy o środkach masowego przekazu i starałam się wykroczyć poza sztywne granice swojego programu, zaczynałam rozumieć, co mieli na myśli. Dziennikarz mógł w każdej chwili popełnić błąd, który zagrozi jego karierze, a nawet wolności. Musiał żyć zgodnie ze starannie opracowanym zestawem reguł, których złamanie wiązało się z poważnymi konsekwencjami. Kiedy po raz pierwszy prowadziłam audycję, mój przełożony był tak niespokojny, że myślałam, że zaraz zemdleje. Dopiero później, kiedy sama zostałam szefową działu, dowiedziałam się, że według regulaminu chińskiego radia, jeśli transmisja została odcięta na więcej niż trzydzieści sekund, nazwisko osoby odpowiedzialnej za daną zmianę podawano do wiadomości w całym kraju – ta procedura dyscyplinarna mogła mieć bardzo niekorzystny wpływ na perspektywę przyszłego awansu. Nawet najmniejsze błędy mogły oznaczać obcięcie miesięcznej premii (znacznie wyższej niż pensja). Większe przewinie-

nia często prowadziły do degradacji, a nawet odwołania ze stanowiska.

Dwa lub trzy razy w tygodniu dziennikarze z całej rozgłośni musieli uczęszczać na kurs edukacji politycznej. Obejmował on poglądy Denga Xiaopinga związane z „reformami i otwarciem” oraz teorię Jianga Zemina o polityce służącej gospodarce. Nieustannie wbijano nam do głów zasady przedstawiania wiadomości i ich znaczenie polityczne; żadne zajęcia nie obyły się też bez udzielenia komuś nagany za różne wykroczenia: wymienienie nazwisk przywódców w niewłaściwym porządku w trakcie audycji, niewykazanie się dostatecznym zrozumieniem propagandy partyjnej w komentarzu, brak szacunku dla przełożonych, nieprzyznanie się partii do romansu, „nieobyczajne” zachowanie – wszystkie takie błędy, i wiele innych, poddawano krytyce. W trakcie tych zajęć miałam wrażenie, że w Chinach wciąż trwa „rewolucja kulturalna”: polityka wciąż dominowała nad wszystkim aspektami życia codziennego; jednych ludzi poddawano cenzurze i ocenie, a inni dzięki temu czuli, że coś znaczą.

Było mi trudno zatrzymać w głowie całą tę polityczną wiedzę, ale starałam się wciąż pamiętać o najważniejszej zasadzie: „Partia przewodzi wszystkiemu”. Przyszedł czas, gdy moje rozumienie tej zasady zostało poddane próbie.

Sukces mojej audycji przyniósł mi spore uznanie. Nazywano mnie pierwszą presenterką radiową, która uniosła zasłonę skrywającą twarze chińskich kobiet, pierwszą dziennikarką zajmującą się problematyką kobiecą, która zaczęła zgłębiać ich prawdziwe życie. Rozgłośnia promowała mnie, dostawałam też spore wsparcie finansowe. W końcu pozwolono mi też na wprowadzenie „gorącej linii” i odbieranie telefonów słuchaczy na antenie.

Studia, z których nadawano na żywo, składały się z dwóch pokoiów: w jednym znajdowała się konsola prezentera, muzyka, notatki – drugi to pomieszczenie kontrolne. Telefony słuchaczy przechodziły przez kontrolerkę przekazu, która obsługiwała mechanizm opóźniający. Miała około dziesięciu sekund na decyzję, czy dany głos może zostać wyemitowany, i mogła go odciąć bez wiedzy słuchaczy.

Pewnego wieczoru podczas audycji, gdy puszczałam właśnie kojącą muzykę, co robiłam zwykle przez ostatnie dziesięć minut, odebrałam ostatni telefon:

– Halo, dobry wieczór, pani Xinran. Dzwonię z Ma'an-shanu. Dziękuję za pani audycję. Daje mi bardzo wiele do myślenia i pomaga mnie i wielu innym kobietom. Chciałabym zapytać, co pani myśli o homoseksualizmie. Dlaczego tak wielu ludzi dyskryminuje homoseksualistów? Dlaczego homoseksualizm jest w Chinach nielegalny? Dlaczego ludzie nie rozumieją, że homoseksualiści mają takie same prawa i mogą dokonywać takich samych życiowych wyborów jak inni?

Słuchaczka nadal zasypywała mnie gradem pytań, a ja oblałam się zimnym potem. Zgodnie z przepisami dotyczącymi mediów homoseksualizm był tematem zabronionym; zastanawiałam się rozpaczliwie, dlaczego kontrolerka natychmiast nie odcięła tego telefonu.

W żaden sposób nie mogłam uniknąć odpowiedzi na to pytanie: czekały na nią tysiące ludzi, a ja nie mogłam dać im do zrozumienia, że to zakazany temat. Nie mogłam też powiedzieć, że czas się kończy: miałam jeszcze dziesięć minut do końca audycji. Podkreśliłam głośniejszą muzykę, w panice usiłując przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek czytałam o homoseksualizmie, i zastanawiając się, jak dyplomatycznie wybrnąć z sytuacji. Moja rozmówczyni

zadała właśnie bardzo wnikliwe pytanie, które z pewnością zapadło w myśl słuchaczy:

– Homoseksualizm ma swoją historię, od starożytnego Rzymu na Zachodzie i epok Tang i Song w Chinach, aż do dziś. Filozofia mówi, że wszystko, co istnieje, musi mieć jakiś sens. Dlaczego więc w Chinach homoseksualizm jest uważany za niedorzeczność?

W tym momencie przez szklaną ścianę dostrzegłam kontrolerkę odbierającą wewnętrzny telefon. Zbladła i natychmiast odcięła słuchaczkę w pół zdania, nie zważając na to, że jest to surowo zakazane. Kilka sekund później do pomieszczenia kontrolnego wpadł dyżurny reżyser i powiedział do mnie przez interkom: „Xinran, ostrożnie!”

Pozwoliłam muzyce grać przez ponad minutę, po czym zwróciłam się do mikrofonu:

– Dobry wieczór, radiowi przyjaciele, tu „Słowa na wieczornym wietrze”. Nazywam się Xinran i rozmawiam z wami na żywo na temat świata kobiet. Co wieczór, od dziesiątej do dwunastej, możecie posłuchać historii kobiet, głosów ich serc, i dowiedzieć się więcej o ich życiu. – Robiłam, co mogłam, by zyskać na czasie i uporządkować myśli. – Właśnie zadzwoniła do nas słuchaczka, która ma sporą wiedzę o społeczeństwie i o historii, a także o doświadczeniach pewnej grupy kobiet o niekonwencjonalnym stylu życia. Zgodnie z moją najlepszą wiedzą homoseksualizm nie jest, jak wspomniała nasza słuchaczka, produktem nowoczesnego społeczeństwa: wzmianki o nim można spotkać zarówno w historii Zachodu, jak i Wschodu. Podobno w czasie podbojów starożytnego Rzymu władcy wręcz zachęcali swoich żołnierzy do zachowań homoseksualnych. Wtedy chodziło raczej o użyteczność homoseksualizmu niż jego aprobatę. Relacje homoseksualne pomagały żołnierzom poradzić sobie z okrucieństwami wojny i tęskno-

tą za rodzinami. Paradoksalnie, związki uczuciowe między żołnierzami dały im dodatkowy napęd, by mścić się za swoich martwych bądź zranionych kochanków.

W Chinach występowanie homoseksualizmu nie ograniczało się do czasów panowania dynastii Tang i Song; istnieją wzmianki na ten temat już z czasów dynastii Północnej Wei. Wszystkie pochodzą z dworu cesarskiego. Homoseksualizm jednak nigdy nie stał się dominujący – być może dlatego, że ludzkość cechuje naturalna potrzeba miłości między mężczyzną a kobietą oraz potrzeba prokreacji. Jak mówili starożytni chińscy mędrcy i filozofowie, „Wszystko współzawodniczy o swoje miejsce w świecie, a Los dokonuje wyboru”.

Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że każdy ma prawo do wyboru stylu życia oraz do zaspokajania swoich potrzeb seksualnych. Ludzkość jednak znajduje się wciąż w stadium przejściowym. Wszystkie kraje, regiony i grupy etniczne dążą w kierunku przyszłości najlepiej jak potrafią, poszukując idealnego systemu. Nikt jeszcze nie potrafi sformułować ostatecznych wniosków na temat właściwych bądź niewłaściwych kierunków tego dążenia i zanim osiągniemy doskonałość, będziemy potrzebowali wskazówek. Niezbędne nam są także tolerancja i zrozumienie.

Nie sądzę, by homoseksualizm był jedynie kwestią dziedziczenia, nie uważam też, by jedynie środowisko rodzinne miało wpływ na orientację seksualną. Ciekawość też nie wydaje się być przyczyną homoseksualizmu. Sądzę, że źródła tego zjawiska są różnorodne. Różnimy się doświadczeniami życiowymi i dokonujemy podobnych, a jednocześnie różnych wyborów. Zaakceptowanie różnorodności oznacza, że nie powinniśmy też wymagać od innych, by zgadzali się z naszą opinią na temat homoseksualizmu, gdyż takie oczekiwania prowadzą do kolejnych uprzedzeń.

Chciałabym przeprosić wszystkich naszych homoseksualnych przyjaciół, którzy doświadczyli uprzedzeń, w imieniu bezmyślnych ludzi, z którymi mieli do czynienia. Wszyscy potrzebujemy zrozumienia. – Podkreśliłam muzykę, wyłączyłam mikrofon i odetchnęłam głęboko. Nagle zauważyłam, że w pomieszczeniu kontrolnym za szklaną przegrodą zebrała się większość personelu wyższego szczebla. Dyrektor rozgłosi i dyrektor programowy wpadli do studia i każdy z nich ucisnął mi dłoń, potrząsając energicznie.

– Dziękuję pani, dziękuję, Xinran! Świetnie pani odpowiedziała, doskonale! – Dłoń dyrektora rozgłosi była mokra od potu.

– Uratowała nam pani skórę! – wyjąkał dyrektor programowy. Ręce mu się trzęsły.

– Skończmy z gadaniem, chodźmy coś przekąsić! Zjemy na koszt biura – powiedział Stary Wu, dyrektor administracyjny. Byłam oszołomiona tymi wszystkimi względami.

Później dowiedziałam się, co się wydarzyło. Kontrolerka powiedziała, że martwiła się egzaminami swojego syna, który zdawał na studia, więc nie zwróciła uwagi na ten telefon, dopóki nie zadzwonił do niej w popłochu dyżurny reżyser. Stary Wu słuchał programu w domu, jak co wieczór. Zorientowawszy się, że moja audycja trafiła na grząski grunt, natychmiast zadzwonił do dyrektora programowego, który pospiesznie zawiadomił dyrektora rozgłośni: wiedzieć o sytuacji i nie złożyć zawiadomienia stanowiłoby jeszcze poważniejsze uchybienie. Wszyscy czym prędzej przyjechali do studia, słuchając po drodze mojego programu. Zanim dotarli do pomieszczenia kontrolnego, kryzys został zażegnany.

Po raz pierwszy usłyszałam o homoseksualizmie na uniwersytecie. Ponieważ miałam ładną cerę, studentki mówi-

ły na mnie Jajeczko albo Śnieżynka i często głaskały mnie z podziwem po policzkach i rękach. Na ten widok pewien wykładowca mężczyzna zażartował: „Uważaj, to homoseksualne napastowanie!”

Słowo „napastować” kojarzyło mi się z agresją fizyczną i nie miałam pojęcia, co miał na myśli wykładowca. Wyjaśnił mi to tak:

– Homoseksualizm oznacza, że kobieta kocha kobietę albo mężczyzna mężczyznę. To niezgodne z prawem.

– Co? Czy kiedy matka kocha swoje córki, a ojcowie – synów, to jest to niezgodne z prawem? – zaprotestowałam.

– Pokręcił głową.

– To są relacje rodzinne, nie miłość erotyczna. Co ja ci tu będę opowiadał – tłumaczyć ci takie rzeczy to jak grać krowie na skrzypcach. Dajmy sobie spokój.

Później usłyszałam o homoseksualizmie na spotkaniu byłych koleżanek z pracy mojej matki. Zdaje się, że matka pracowała kiedyś z dwiema kobietami, które mieszkały razem w jednym pokoju. Kiedy warunki się poprawiły, a zakład pracy przydzielił im po jednym pokoju na osobę, obie odrzuciły tę propozycję. Zachowywały się jak siostry, więc nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Rówieśniczki były pochłonięte zalotami, potem małżeństwem i dziećmi, a w końcu wnukami. Wyczerpane fizycznie i psychicznie wiecznym spełnianiem wymagań swoich rodzin, na starość przypomniały sobie o tamtych dwóch kobietach i zazdrościły im spokojnego, beztroskiego życia. Do głosu doszły plotki i spekulacje, na które w młodości nikt nie miał czasu, aż w końcu grupa dawnych koleżanek wspólnie doszła do wniosku, że tamte dwie musiały być lesbijkami.

Słuchając, jak starsze kobiety snują swoje rozważania, zastanawiałam się, jak bardzo wolne od zmartwień było

życie tamtej dwójki: najprawdopodobniej nigdy nie doznały uczucia zawodu wobec mężczyzny, nie zaprzętały ich też niezliczone troski związane z wychowywaniem dzieci. Być może homoseksualizm wcale nie jest taki grzeszny, pomyślałam, może to po prostu jeden z życiowych wyborów? Nie rozumiałam, czemu jest niezgodny z prawem, ale nie zanosilo się na to, żebym miała komu zadać to pytanie.

Pewnego razu zdobyłam się na odwagę i zapytałam panią ordynator oddziału ginekologicznego.

Pani doktor obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem.

– Skąd pani przyszło do głowy takie pytanie?

– Czy to ważne? Czy nie powinnam o to pytać? Chcę się tylko dowiedzieć, na czym polega różnica między kobietami homoseksualnymi a całą resztą.

– Oprócz nastawienia psychicznego i zachowań seksualnych niczym nie różnią się od zwykłych kobiet – powiedziała ginekolożka, prześlizgując się gładko ponad tematem.

Nalegałam:

– Jeśli nastawienie psychiczne i zachowania seksualne kobiety homoseksualnej są inne niż ogółu kobiet, to czy może ona być uznawana za normalną kobietę?

Pani doktor albo nie wiedziała, co mi odpowiedzieć, albo nie była dostatecznie do tego przygotowana.

Po raz trzeci zetknęłam się z problemem homoseksualizmu, gdy wysłano mnie, żebym zrobiła reportaż o miejskiej kampanii porządku publicznego.

Na mój widok organizator kampanii wykrzyknął:

– Jak rozgłośnia mogła wysłać kobietę? To pewnie jakaś pomyłka! No cóż, skoro pani już tu jest, niech pani zostanie. Ale obawiam się, że będzie to relacja z drugiej ręki, a nie reportaż z miejsca wydarzeń.

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem, a ja wciąż nie wiedziałam, o co chodzi. Kiedy akcja się rozpoczęła, powód ich uciechy stał się jasny: mieli przeprowadzić niezapowiedzianą inspekcję męskich toalet publicznych, śmierdzących na kilometr, i aresztować mężczyzn, którzy przejawiali zachowania homoseksualne.

Cała kampania budziła we mnie wątpliwości: czy nie mają dość złodziei i innych przestępców do łapania? I czy wielu mężczyzn będzie uprawiało seks w toaletach w tym akurat czasie? Trudno w to uwierzyć, ale tamtej nocy aresztowano ponad setkę. Kiedy akcja zbliżała się do końca, oszołomiona tym wszystkim spytałam jednego z funkcjonariuszy:

– Czy ci ludzie pilnują także porządku w damskich toaletach?

– A jak mamy pilnować kobiet? Chyba pani żartuje, nie? – odparł zdumiony, kręcąc głową nad moją naiwnością.

Dopiero słuchaczka, która zadała mi pytanie o homoseksualizm w czasie audycji, sprawiła, że naprawdę zgłębiłam ten problem.

Pewnego dnia, około tygodnia po jej telefonie, wróciłam do domu naładowana adrenaliną po wieczornym programie. O drugiej w nocy, kiedy nareszcie poczułam senność, usłyszałam dzwonek aparatu.

– Xinran, pamięta mnie pani? – odezwał się kobiecy głos. – Na pewno pani pamięta. To ja zadałam pani takie trudne pytanie w radiu.

Rozdrażniona i wściekła, zastanawiałam się, jakim cudem ta kobieta zdobyła mój domowy numer telefonu. Zdrowy rozsądek powinien powstrzymać każdą osobę z rozgłośni przed ujawnianiem moich prywatnych zamiarów. Ale było już za późno, żeby coś na to poradzić.

Kiedy tak się po cichu złościłam, kobieta odezwała się:

– Ee, domyślam się, co pani sobie myśli. Niech pani nie obwinia dyżurnego redaktora za to, że dał mi pani numer. Powiedziałam, że jestem pani krewną z Pekinu i że kiedy wysiadałam z pociągu, ukradli mi torebkę – a w niej notes z telefonami. A ja potrzebuję, żeby pani odebrała mnie z dworca. Niezłe, co?

– Niezłe, niezłe – powtórzyłam lodowatym tonem. – Czy mogę coś dla pani zrobić? Pamiętam panią, pani jest z Ma'anshanu, tak?

– Tak jest. Wiedziałam, że pani nie zapomniała. Jest pani zmęczona?

Byłam wykończona.

– Tak, trochę. Czego pani chce?

Chyba zrozumiała aluzję.

– Rozumiem, jest pani zmęczona. Nie powiem już ani słowa. Zadzwoń jeszcze raz jutro, po programie – oznajmiła i rozłączyła się.

Do następnego wieczoru niemal zapomniałam o tej rozmowie. Wróciłam do domu. Nie minęła godzina, gdy telefon zadzwonił znowu.

– Pani Xinran, dziś dzwonię trochę wcześniej. Niech się pani nie martwi, nie będę dużo mówić. Chciałam tylko powiedzieć, że jestem bardzo wdzięczna za to, że przeprosiła pani homoseksualistów za te wszystkie uprzedzenia, których są ofiarami. To wszystko na dziś. Dobranoc pani!

Znowu rozłączyła się, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć. Pocieszałam się: miała dobre intencje, zachowała się taktownie.

Ta kobieta wydzwaniała do mnie co wieczór o tej samej porze przez trzy tygodnie. Opowiadała, co myśli o mojej audycji danego dnia, polecała mi książki i muzykę, którą mogłabym wykorzystać, albo udzielała mi zdroworozsąd-

kowych rad dotyczących życia w ogóle. Za każdym razem mówiła przez kilka minut i nigdy nie dała mi szansy na odpowiedź. Nie zdradziła mi swojego imienia ani nazwiska.

Pewnego dnia, kiedy wychodziłam z rozgłośni około pierwszej w nocy, przy bramie czekał na mnie sąsiad. To było naprawdę dziwne. Powiedział, że moja niania poprosiła go, żeby po mnie wpadł, bo sama trzęsie się ze strachu. Jakaś dziwna kobieta dzwoniła do niej i kazała jej „odczepić się od Xinran”!

Poczułam się nieswojo.

Jak co wieczór od trzech tygodni, o tej samej porze zadzwonił telefon. Zanim kobieta zdążyła się odezwać, wybuchłam:

– Czy to pani dzwoniła wcześniej?

– Tak. Rozmawiałam z pani nianią i powiedziałam jej, że powinna się od pani odczepić – oznajmiła spokojnie i pewnym siebie tonem.

– Dlaczego? – spytałam ze złością.

– A dlaczego nie? Nie powinna zagarniać pani tylko dla siebie. Powinna pani należeć do większej liczby kobiet.

– Niech pani posłucha – odparłam. – Chętnie rozmawiam z panią o życiu czy wymieniam poglądy. Ale jeśli zamierza się pani wtrącać do mojego życia prywatnego, nie chcę mieć z panią więcej do czynienia. Ja nie wtrącam się do spraw innych ludzi, a innym nie wolno wtrącać się do moich.

Zamilkła na moment, a potem rzekła proszącym tonem:

– Zrobię, jak pani mówi, ale nie wolno pani odrzucać naszej miłości.

Pomysł, że ta kobieta mogła się we mnie zakochać, zaniepokoił mnie w najwyższym stopniu. Przez kilka kolejnych dni nie odbierałam telefonu i tłumaczyłam sobie, że

tak samo jak u zwariowanych fanek gwiazd popu, jej zauroczenie wkrótce minie i że nie ma się czym przejmować.

Pewnego popołudnia dyrektor rozgłosił wezwał mnie do swojego gabinetu i oznajmił:

– Pewna prezenterka z radia Ma'anshan, imieniem Taohong, próbowała popełnić samobójstwo. Jej ojciec przesłał mi jej list pożegnalny. Napisała, że kocha panią szczerze, ale pani ją odrzuciła.

Oniemiałam. Ta kobieta, Taohong, musiała być moją tajemniczą rozmówczynią. Nie miałam pojęcia, że jest również spikerką radiową, nie powstała mi też w głowie myśl, że ignorowanie jej telefonów może doprowadzić do czegoś takiego.

Dyrektor zasugerował mi, żebym się usunęła na pewien czas. Okazało się, że pierwsze słowa Taohong po tym, jak odzyskała przytomność, brzmiały: „Muszę zobaczyć się z Xinran!”

Po kilku dniach, kiedy miałam spotkanie w dziale planowania, jeden ze spikerów wszedł i poinformował mnie, że mam gościa. Kiedy odprowadził mnie do pokoju spotkań, zobaczyłam młodą kobietę ubraną w stylową męską odzież. Miała krótko ostrzyżone włosy, tak że z tyłu trudno było się domyśleć, że to kobieta. Zanim spiker, który mnie zawołał, zdążył nas sobie przedstawić, podeszła i chwyciła mnie oburącz za ramiona, mówiąc z uczuciem:

– Niech pani nic nie mówi, wezmę to na siebie. Od razu wiedziałam, że to pani jest moją Xinran!

– P a n i Xinran? – wtrącił się spiker.

– Tak, moją Xinran! Jestem Taohong, twoja Taohong!

Mój kolega wymknął się na zewnątrz. Wiedział o historii Taohong, więc domyślałam się, że poszedł po pomoc.

Taohong z oczyma utkwionymi we mnie mówiła dalej:

– Jesteś nawet piękniejsza, niż sobie wyobrażałam. Taka kobieca, delikatna. Nareszcie cię zobaczyłam! Chodź, usiądźmy. Pozwól, że ci się przyjrzę. To już ponad pół roku... Przez cały ten czas nie widziałam cię ani razu. Chciałam cię poznać i zrozumieć poprzez twój program, i wyryc w swoim sercu wyobrażenie o tobie. Masz rację, kobiety stanowią wielką siłę twórczą we wszechświecie. Dają światu piękno, uczucia i wrażliwość. Są czyste i nieskazitelne. Kobiety są najwspanialszymi istotami...

Mój kolega wrócił z trzema czy czterema innymi prezydentami. Usiedli nieopodal i gawędzili, starając się mieć nas cały czas na oku.

– Zobacz, co ci przywiozłam. Te książki są pełne rysunków przedstawiających kobiety. Spójrz, jakie piękne są ich ciała. Zerknij na ten obraz – ten wyraz twarzy, te uwodzicielskie usta. Przywiozłam je specjalnie dla ciebie – możesz je zatrzymać i oglądać od czasu do czasu, kiedy masz chwilę dla siebie. Przyniosłam jeszcze to... to ci da rozkosz seksualną. I to też. Kiedy dotknę tym twojego ciała, poczujesz się jak w niebie!

Moi koledzy rzucali ukradkowe spojrzenia na te wszystkie przedmioty, które Taohong rozkładała przed mną. Umierałam ze wstydu. Zawsze uważałam, że seks bez uczuć to coś zwierzęcego; nie miałam pojęcia, że istnieją przyrządy do mechanicznego wywoływania doznań seksualnych.

Taohong brylowała dalej:

– Za pomocą nowoczesnych narzędzi możemy osiągnąć rzeczy, o których marzyli nasi przodkowie. W przeciwieństwie do nich my możemy wzmagać nasze odczucia tak, jak tylko chcemy...

Próbowałam odwrócić jej uwagę, pokazując na stertę papierów, którą trzymała pod pachą, a która wyglądała na materiały propagandowe.

– Co to jest, Taohong? Nic o tym nie mówisz.

– Ach tak, wiedziałam, że o to zapytasz. To są założenia programowe Chińskiego Stowarzyszenia Homoseksualistów. Słyszałaś o nim? Półtora roku temu zaplanowaliśmy konferencję. Wszystko było przygotowane: hotele, porządek obrad, ale rząd wszystkiego zakazał. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo i tak już zrealizowaliśmy większość naszych zamierzeń: podczas kilku kolacji przed konferencją opracowaliśmy statut, przyjęliśmy rezolucje, dyskutowaliśmy o naszych potrzebach fizycznych i o tym, jak uzyskać seksualne spełnienie...

Pamiętałam tę konferencję, o której mówiła Taohong. Prawie pojechałam do Pekinu, żeby zrobić o niej reportaż. W przeddzień planowanego wyjazdu zadzwonił do mnie ktoś z nankińskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i poinformował, że właśnie wysyłają funkcjonariuszy, którzy mają wesprzeć pekińską policję w udaremieniu tej imprezy. Mieli zamiar zamknąć i przeszukać duży hotel i zaarrestować kilku najważniejszych członków Chińskiego Stowarzyszenia Homoseksualistów. Natychmiast zadzwoniłam do kilku psychologów i lekarzy, o których wiedziałam, że zostali zaproszeni, żeby ostrzec ich przed wyjazdem; obawiałam się, że skończy się to rozlewem krwi.

Na szczęście jednak, jak mówiła Taohong, rozpędzenie konferencji nie wiązało się z aktami przemocy. Żeby zapobiec zaostrzeniu sytuacji, policja umyślnie doprowadziła do przecieku informacji o planowanych działaniach, dzięki czemu Stowarzyszenie Homoseksualistów na czas odwołało konferencję. Obie strony osiągnęły większość swoich celów: rząd zachował kontrolę nad sytuacją, a Stowarzyszenie i tak miało okazję się zebrać przy planowaniu konferencji. Chińczycy osiągalni coraz większe wyrafinowanie w swoich politycznych manewrach.

Kiedy przeczytałam rzucający się w oczy tytuł jednej z ulotek w rękę Taohong, poczułam falę mdłości: „Techniki seksu oralnego, część czwarta: wykorzystanie szczęki górnej”. Tak otwarte poruszanie tematu seksu było dla mnie trudne do przyjęcia. Taohong zauważyła odrazę na mojej twarzy i powiedziała cierpliwym tonem:

– Nie czuj się zmuszona, żeby teraz do tego zaglądać. Później to przeczytasz i odkryjesz wiele przyjemności płynących z seksu...

Moi koledzy zachichotali po cichu.

– Chodźmy się przejść – zaproponowałam, zdecydowana uciec przed ich chichotami.

– Masz ochotę? Oczywiście, trzeba było od razu pójść na spacer. Dobrana z nas para.

Kiedy opuściliśmy rozgłośnie, Taohong spytała, dokąd się wybierzemy. Powiedziałam, żeby nie zadawała tego pytania – nie chciałam, żeby wiedziała, kiedy dotrzemy do celu. Ożywiła się jeszcze bardziej, mówiąc, że lubi takie tajemnicze przygody. Podziwiła mnie za to.

Zaprowadziłam ją do Świątyni Piejącego Koguta, starożytnego nankińskiego chramu, którego dzwony słychać było z daleka. Kiedy byłam zmartwiona lub w złym nastroju, siadywałam w Pagodzie Uzdrawiającego Buddy. Gdy wpatrywałam się w błękitne niebo i białe obłoki, dźwięk dzwonów rozpraszał moje troski i dodawał mi zdecydowania, pewności siebie i zadowolenia. Przed bramą świątyni Taohong zatrzymała się i spytała niespokojnie:

– Czy przejście przez tę bramę mnie oczyści? Czy usunie jakieś moje właściwości?

– Wszystko, co zostaje tu usunięte, jest bez znaczenia. Uczucia i intencje nie giną na drodze oczyszczenia. Tak sądzę – odparłam.

W momencie gdy Taohong przekraczała bramę, rozbrzmiał dźwięk dzwonów.

– Coś dotknęło mojego serca – powiedziała. – Dlaczego?

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

Kiedy stałyśmy w Pagodzie Uzdrawiającego Buddy, żadna z nas nie mówiła dużo. Kiedy dzwony zabrzmiały znowu, zadałam Taohong dwa pytania: Kiedy zaczęła kochać kobiety? I: Kim była jej pierwsza ukochana?

I tak popłynęła cała historia Taohong:

Ojciec bardzo się wstydził, że nie dorobił się synów. Po urodzeniu Taohong jej matka zachorowała na raka macicy i nie mogła mieć więcej dzieci. Niebawem umarła. Ojciec rozpaczał, że ciągłość jego rodu została przerwana, ale nic nie mógł na to poradzić. Traktował więc córkę jak syna i wychowywał ją pod każdym względem jak chłopca: od sposobu ubierania i fryzury do zabaw i zabawek, którymi się bawiła. Taohong nigdy nie chodziła do publicznych toalet, ponieważ nie mogła się zdecydować, czy wejść do męskiej, czy do damskiej. Była wtedy dumna ze swojego męskiego stylu bycia i nie przepadała za kobietami.

W roku, w którym skończyła czternaście lat, wydarzenia pewnej letniej nocy całkowicie odmieniły ją i jej zapatrywania na mężczyzn i kobiety. Na jesieni wybierała się do liceum. Była przekonana, że czeka ją najtrudniejszy czas: że jej przyszłe życie zależy właśnie od tego, czego w tym okresie dokona i że osiągnięcia licealne poprowadzą ją ku przyszłym sukcesom. Miała zamiar w pełni cieszyć się wakacjami, zanim zaprzęgnie wszystkie siły do nauki na kolejne trzy lata, i wiele wieczorów spędzała z przyjaciółmi.

Tamtego wieczoru wracała do domu około jedenastej. Droga nie była daleka i nie wiodła przez odludne tereny.

Dosłownie kilka kroków od domu z ciemności wyskoczyła grupa czterech mężczyzn i schwytała ją.

Zabrali ją, zakneblowaną i z zasłoniętymi oczami, do czegoś w rodzaju szopy na narzędzia na budowie. Zdjęli jej opaskę z oczu, ale nie wyjęli knebla. W szopie było jeszcze trzech mężczyzn; cała banda liczyła siedmiu członków. Oznajmili, że chcą się dowiedzieć, jakiej w końcu płci jest Taohong: męskiej czy żeńskiej, i zaczęli ją rozbierać. Na widok młodego kobiecego ciała Taohong oniemieli ze zdumienia, a następnie poczerwienieli i rzucili się na nią. Taohong straciła przytomność.

Kiedy ją odzyskała, okazało się, że leży naga i zakrwawiona na ławie. Mężczyźni leżeli, chrapiąc, na podłodze; niektórzy mieli jeszcze spodnie opuszczone do kostek. Taohong, ogarnięta paniką, siedziała przez dłuższą chwilę, zanim zdołała niezdarnie podnieść się z ławy. Trzęsąc się i zataczając, powoli zbierała z podłogi ubrania. Nadepnęła na dłoń jednego z mężczyzn; jego okrzyk bólu obudził pozostałych. Patrzyli, sparaliżowani poczuciem winy, jak Taohong podnosi ubrania i wkłada je, jedno po drugim.

Przez te pół godziny, kiedy z trudem się ubierała, nie wyrzekła ani słowa.

Wtedy znenawidziła wszystkich mężczyzn, łącznie z własnym ojcem. Była przekonana, że wszyscy są brudni, lubieżni, bestialscy i brutalni. W tamtym okresie tylko dwa razy miała miesiączkę.

Ubierała się nadal jak chłopiec, z powodów, których nie umiała wytłumaczyć, i nigdy nie powiedziała nikomu, co się wydarzyło. Ten zbiorowy gwałt ostatecznie uświadomił jej, że jest kobietą. Zaczęła się zastanawiać, jakie właściwie są kobiety. Nie wierzyła we własną kobiecą urodę, ale chciała ją sprawdzić.

Pierwsza próba miała miejsce w pierwszej klasie liceum i dotyczyła najładniejszej dziewczyny z grupy. Taohong powiedziała koleżance, że boi się siedzieć w domu sama, kiedy jej ojciec podróżuje w interesach, i poprosiła ją, żeby została na noc.

Zanim położyły się spać, Taohong powiedziała swojej towarzyszce, że sypia nago. Dziewczyna krępowała się ją naśladować, ale Taohong obiecała, że zrobi jej masaż, więc zgodziła się rozebrać. Taohong była zdumiona mięką gładkością i elastycznością jej ciała, zwłaszcza piersi i bioder. Najmniejszy kontakt z tym ciałem sprawiał, że krew uderzała jej do głowy i odczuwała dreszcze. Kiedy masowanej dziewczynie zaczynało już brakować tchu, wszedł ojciec Taohong.

Taohong z niezwykłym spokojem naciągnęła kołdrę na ich nagie ciała i spytała:

– Czemu wróciłeś, przecież mówiłeś, że wyjeżdżasz w interesach?

Ojciec, ogłupiały, wycofał się bez słowa.

Później, w telefonicznym wywiadzie, powiedział mi, że właśnie wtedy zdał sobie sprawę z tego, że Taohong dorosła i w dodatku należy do pewnej szczególnej grupy. Nie mógł się zdobyć na zadanie jej pytania, dlaczego została lesbijką, ale często zadawał to pytanie swojej zmarłej żonie, sprzątając co roku jej grób podczas Święta Czystej Jasności*.

Od tamtej pory Taohong często przyprowadzała do domu dziewczyny „na masaż”. Uważała, że kobiety to wspaniałe istoty, ale w jej uczuciach do nich nie było miłości.

* Chiń. Qingmingjiejie – święto obchodzone zazwyczaj piątego kwietnia; czas oddawania czci zmarłym przodkom i porządkowania grobów (przyp. tłum.).

Po raz pierwszy zakochała się w czasie przygotowań do konferencji homoseksualistów, o której mi opowiadała. Dostała w hotelu pokój z kobietą o czternaście lat starszą. Kobieta była urocza, spokojna i bardzo życzliwa. Zapytała Taohong, dlaczego bierze udział w konferencji, i dowiedziała się, że podobają jej się kobiety. Powiedziała jej, że miłość erotyczna jest najbardziej wzniosłym stanem ducha i że stanowi to, co najcenniejsze w kobietach. Kiedy konferencję odwołano, zabrała Taohong do innego hotelu na „szkolenie seksualne”. Taohong doświadczyła podniecia i przyjemności, których nigdy wcześniej nie zaznała. Kobieta udzieliła jej także rad dotyczących zdrowia oraz posługiwania się zabawkami erotycznymi. Opowiedziała jej wiele o historii homoseksualizmu w Chinach i na świecie.

Taohong mówiła, że zakochała się w tamtej kobiecie, ponieważ była pierwszą osobą, która dzieliła z nią swoje myśli i wiedzę, która chroniła ją i dawała jej fizyczną rozkosz. Kobieta jednak zapowiedziała, że jej nie kocha i nie jest w stanie jej pokochać, ponieważ nie potrafi zapomnieć o swojej dawnej ukochanej – wykładowczyni na uniwersytecie, która zginęła wiele lat wcześniej w wypadku samochodowym. Taohong była bardzo poruszona. Powiedziała, że od dzieciństwa była przekonana, że miłość jest czystsza i bardziej uświęcona od seksu.

Kiedy Taohong odpowiedziała na moje dwa pytania, opuściliśmy Świątynię Piejącego Koguta. Po drodze zwierzyła się, że poszukuje kobiety, z którą mogłaby nawiązać taką samą relację, jak ze swoją pierwszą kochanką. Dużo czytała i osiem miesięcy temu zdała egzamin na presenterkę w radiu Ma'anshan. Prowadzi program na żywo o telewizji i filmie. Jeden ze słuchaczy napisał do niej z radą, żeby posłuchała „Słów na wieczornym wietrze”. Włączała moją audycję co wieczór przez ostatnie pół roku i zaczęła

wiązać nadzieje ze mną jako osobą, która mogłaby zostać jej nową ukochaną.

Przytoczyłam Taohong powiedzenie, które powtarzałam często na antenie: „Jeśli nie możesz kogoś uszczęśliwić, nie stwarzaj fałszywej nadziei”, i powiedziałam szczerze:

– Dziękuję ci, Taohong. Bardzo się cieszę, że cię poznałam, ale nie mogę być twoja i nie zostanę twoją ukochaną. Uwierz mi, taki ktoś na pewno gdzieś na ciebie czeka. Czytaj, poszerzaj swoje horyzonty. W końcu ją znajdziesz. Nie każ jej na siebie czekać.

Taohong poddała się.

– Czy w takim razie mogę uznać cię za moją drugą eks-ukochaną? – spytała powoli.

– Nie, nie możesz – odparłam. – Między nami nie było miłości. Miłość musi być wzajemna. Kochać lub być kochanym bez wzajemności to nie wszystko.

– To w jaki sposób mam o tobie myśleć? – Taohong zaczęła rozumieć mój punkt widzenia.

– Jak o starszej siostrze – odrzekłam. – Więzy pokrewieństwa są najsilniejsze ze wszystkich.

Taohong obiecała, że się nad tym zastanowi, i rozstałyśmy się.

Kiedy kilka dni później zadzwoniła do mnie słuchaczka, która chciała pozostać anonimowa, natychmiast domyśliłam się, że to Taohong.

– Siostrzo Xinran – powiedziała – chciałabym, żeby wszyscy ludzie byli tak szczerzy, tak dobrzy i mieli taką wiedzę, jak ty. Czy przyjmiesz mnie na swoją młodszą siostrę?

第八章 ⁸

kobieta wyswatana przez rewolucję

Mamy w Chinach takie powiedzenie: „Włócznia ugodzi tego ptaka, który wystawi głowę”. Wkrótce po tym, jak zostałam prezenterką radiową, wielka liczba listów od słuchaczy, awanse i nagrody, jakie otrzymywałam, zaczęły przysparzać mi złośliwych uwag kolegów. Chińczycy mawiają: „Jeśli sam stoisz prosto, czemu boisz się przygarbionego cienia?” Starłam się więc zachować pogodę ducha wobec wszelkich przejawów zawiści. W końcu głosy samych chińskich kobiet zbliżyły nas do siebie – mnie i moich kolegów.

Rozgłośnia kupiła mi cztery automatyczne sekretarki, z których każda była wyposażona w czterogodzinną taśmę. Co wieczór po ósmej pozostawały one do dyspozycji kobiet, które chciały podzielić się swoją opinią o programie, poprosić o pomoc czy opowiedzieć mi swoją historię. Nagrane przeze mnie powitanie zachęcało je, by zrzuciły z siebie wszelkie brzemiona, dzięki czemu będą mogły zmierzać w przyszłość bez obciążeń, i zapewniało, że nie muszą się przedstawiać ani informować, skąd pochodzą.

Każdego ranka, wchodząc do gabinetu, spotykałam coraz więcej kolegów – redaktorów, reporterów, prezenterów – którzy chcieli posłuchać historii z taśm, opowiadanych głosami zabarwionymi wstydem, troską i lękiem.

Pewnego dnia usłyszeliśmy:

– Halo, jest tam kto? Czy jest pani Xinran? O, całe szczęście, to tylko taśma.

Kobieta zamilkła na kilka sekund.

– Dobry wieczór, pani Xinran. Obawiam się, że nie należę do pani regularnych słuchaczek, pochodzę z innej prowincji i słucham pani audycji dopiero od niedawna. Parę dni temu moi koledzy rozmawiali o pani i o tym programie. Mówili, że zainstalowano u pani specjalne telefony, na których słuchacze mogą nagrywać wiadomości i że każda kobieta może anonimowo opowiedzieć o sobie. Mówili, że nadaje pani te nagrania następnego dnia i pozwala słuchaczom wypowiadać się na antenie, pomagając w ten sposób kobietom zrozumieć inne kobiety, a także mężczyznom, co zbliża do siebie członków rodziny.

Przez ostatnich kilka dni co wieczór słucham pani audycji. Moje radio nie odbiera jej zbyt dobrze, ale program bardzo mi się podoba. Nigdy bym nie pomyślała, że tyle jest kobiecych historii, podobnych do siebie i jednocześnie tak różnych. Jestem pewna, że nie wolno pani emitować wszystkiego. Tak czy owak sądzę, że wiele kobiet jest pani wdzięcznych. Te numery telefonów dają im możliwość opowiedzenia o rzeczach, o których nie mogły bądź były się mówić od dzieciństwa. Z pewnością doskonale pani wie, jak wielką ulgę przynosi kobietom posiadanie pewnej przestrzeni, w której mogą wyrażać siebie bez lęku przed potępieniem i innymi negatywnymi reakcjami. To jest potrzeba emocjonalna, wcale nie mniej ważna niż potrzeby fizyczne.

Kolejna dłuższa chwila milczenia.

– Xinran, chyba brakuje mi odwagi, by opowiedzieć pani moją własną historię. Bardzo chciałabym przekazać innym ludziom, w jakiej rodzinie żyję. Chciałabym też tę historię usłyszeć, ponieważ dotąd bałam się spoglądać w przeszłość, w obawie, że wspomnienia zniszczą moją wolę życia. Czytałam kiedyś, że czas leczy rany, ale przez ponad czterdzieści lat nie wyleczył mnie z nienawiści i żalu, a jedynie pozbawił zdolności odczuwania.

Westchnęła cicho.

– W oczach innych mam wszystko, o czym może marzyć kobieta. Mój mąż zajmuje ważne stanowisko we władzach prowincji, mój syn, już prawie czterdziestoletni, kieruje lokalnym oddziałem banku państwowego, córka pracuje w państwowej firmie ubezpieczeniowej, a ja – w urzędzie miasta. Żyję sobie cicho i spokojnie. Nie muszę, jak większość ludzi, martwić się o pieniądze czy przyszłość moich dzieci, nie boję się też, że stanę się zbyteczna.

Posiadamy więcej, niż nam potrzeba. Syn ma własne duże mieszkanie. Córka, która twierdzi, że dla zasady pozostanie samotna, mieszka z nami. Nasza trójka mieszka w apartamencie o powierzchni prawie dwustu metrów kwadratowych, z meblami od projektantów i najnowocześniejszym sprzętem – nawet sedes i deskę klozetową mamy z importu. Prawie codziennie ktoś przychodzi posprzątać i przynieść świeże kwiaty. Mój dom stanowi jednak tylko wystawę sprzętów domowych – między członkami rodziny brak jakiegokolwiek porozumienia, nie słychać tu śmiechów, nie widać uśmiechniętych twarzy. Kiedy jesteśmy ze sobą sam na sam, słychać tylko odgłosy zwierzęcej egzystencji: jedzenia, picia, chodzenia do toalety. Tylko goście przynoszą do domu powiew życzliwości. Nie mam w tej rodzinie ani praw żony, ani autorytetu matki. Mój mąż po-

wtarza, że jestem jak wyblakłe szare płótno, które nie nadaje się już ani na spodnie, ani na narzutę na łóżko, ani na obrus. Jestem zdatna wyłącznie do wycierania mu butów z błota. Dla niego moją jedyną funkcją jest udowadnianie jego prostolinijności, pracowitości i prawego charakteru, dzięki czemu może liczyć na lepsze stanowisko. To jego własne słowa, Xinran – powiedział mi to prosto w twarz.

Głos jej się załamał. Zaczęła łkać.

– Powiedział to tak obojętnym tonem! Ileż razy myślałam, żeby go zostawić. Chciałam odkryć na nowo swoje zamiłowanie do muzyki, do rytmu, zaspokoić tęsknotę za prawdziwą rodziną, stać się na powrót sobą, wolnym człowiekiem; przypomnieć sobie, co to znaczy być kobietą. Ale mąż zapowiedział, że jeśli odejdę, utrudni mi życie tak bardzo, że zapragnę śmierci. Nie dopuści, bym zniszczyła mu karierę, bym sprawiła, że stanie się tematem plotek. Wiedziałam, że dotrzyma słowa: przez te wszystkie lata ani jednemu wrogowi politycznemu nie udało się uniknąć jego zemsty. Kobiety, które odrzucały jego względy, były uwięzione na najgorszych stanowiskach, bez możliwości zrezygnowania z pracy czy jej zmiany przez bardzo długi czas. Nawet ich mężów doprowadzał do ruiny. Nigdy nie zdołam przed nim uciec.

Pewnie dziwi się pani, czemu sądzę, że nie mam autorytetu matki. Dzieci zostały mi odebrane niedługo po urodzeniu i wysłane do wojskowego żłobka, ponieważ partia uważała, że mogą źle wpłynąć na pracę pana komendanta – czyli ich ojca. W tamtych czasach dotyczyło to większości dzieci wojskowych. Podczas gdy inne rodziny mogły widywać się z dziećmi raz w tygodniu, my musieliśmy często wyjeżdżać, więc kończyło się na jednych czy dwóch odwiedzinach w roku. Nasze nieliczne spotkania przerywały wizyty i rozmowy telefoniczne; dzieci były z tego powodu

bardzo nieszczęśliwe. Czasem nawet wracały do przedszkola przed czasem. Ojciec i matka to były dla nich tylko puste słowa. Bardziej były przywiązane do opiekunek, które troszczyły się o nie od tak dawna.

Kiedy dzieci podrosły, stanowisko ojca dało im wiele przywilejów, jakich nie miały inne dzieci. Coś takiego wywiera zły wpływ na dorastającą młodzież, wywołując poczucie wyższości i odruchową pogardę dla innych. Ja także byłam przedmiotem pogardy. Moje dzieci od ojca nauczyły się, jak skutecznie postępować z ludźmi i realizować swoje zamierzenia – podpatrzony u niego sposób działania stał się dla nich środkiem do realizowania własnych ambicji. Próbowałam pokazywać im, jak być dobrym człowiekiem, wykorzystując własne myśli i doświadczenia, z nadzieją, że moja macierzyńska miłość je zmieni. Ale one mierzyły wartość człowieka pozycją, jaką osiągnął w świecie, a sukces ich ojca dowodził, że to on jest wart naśladowania. Jeśli mój własny mąż nie uważał mnie za godną szacunku i miłości, jakie szanse miałam u dzieci? Nie wierzyły, że kiedyś też miałam swoją wartość.

Westchnęła z rezygnacją.

– Czterdzieści lat temu byłam niewinną, romantyczną dziewczyną i skończyłam liceum dla dziewcząt w małym miasteczku. Miałam więcej szczęścia niż wiele innych dziewcząt w moim wieku: rodzice studiowali za granicą i byli bardzo otwarci. Nigdy nie przejmowałam się małżeństwem, jak moje koleżanki z klasy. Dla większości z nich wszystko zostało zaplanowane, gdy jeszcze leżały w kołysce. Pozostałe zaręczały się w gimnazjum. Jeśli mężczyzna bardzo tego chciał albo jeśli tak dyktowała rodzinna tradycja, wychodziły za mąż jeszcze przed ukończeniem szkoły. W naszych oczach największego pecha miały te, które zostawały najmłodszymi żonami lub konkubinami.

Większość dziewcząt, które rzucały szkołę, by wyjść za mąż, była właśnie w tej sytuacji – wydane za mężczyzn, którzy chcieli spróbować „czegoś świeższego”. Wiele filmów ukazuje konkubiny jako oczka w głowie mężczyzn, korzystające ze swojej pozycji, by manipulować rodziną – jest to jednak dalekie od prawdy. Każdy mężczyzna, którego było stać na wiele żon, był jednocześnie synem dużej, znacznej rodziny, gdzie rządziło mnóstwo zasad i domowych tradycji. Istniało na przykład ponad dziesięć sposobów powitania i wyrażania szacunku – najmniejsze odstępstwo od reguł mogło sprawić, że rodzina traciła twarz. Przeprosiny nie wystarczały – młodsze żony były surowo karane za wszystkie zauważone uchybienia. Wymierzenie policzka przez starszą żonę, zakaz jedzenia przez dwa dni, zmuszanie do ciężkiej fizycznej pracy lub do klęczenia na tarze do prania. Proszę sobie wyobrazić, jak moje koleżanki z nowoczesnej szkoły w zachodnim stylu mogły znosić coś takiego! Nie mogły nic na to poradzić: od najmłodszych lat miały świadomość, że w wyborze małżonka ostateczna decyzja należy do rodziców.

Wiele dziewcząt zazdrościło mi, że mogę wyjść z domu i pójść do szkoły. W tamtych czasach kobiety przestrzegały trzech posłuszeństw i czterech cnót: posłuszeństwa ojcu, mężowi, a po jego śmierci – synowi, cnoty wierności, urody, powściągliwości w mowie i uczynkach oraz pracowitości w domu. Od tysięcy lat uczono kobiety, by szanowały starszych, spełniały swoje obowiązki wobec mężów, zajmowały się paleniem w piecu i szyciem, nie wychodząc z domu nawet na krok. Edukacja kobiet, nauka pisania i czytania, wypowiedanie się o sprawach państwowych na równi z mężczyznami czy udzielanie im rad dla większości ówczesnych Chińczyków było herezją. Moje koleżanki i ja doceniałyśmy swoją wolność i szczęście, lecz czu-

łyśmy się zagubione, gdyż brakowało nam jakichkolwiek wzorców.

Mimo że pochodziłyśmy z liberalnych rodzin, w których doceniało się znaczenie edukacji, społeczeństwo wokół nas i bezwład tradycji utrudniały nam wszystkim wybór własnej, niezależnej drogi życiowej.

Byłam niezmiernie wdzięczna rodzicom, którzy nigdy nie wymagali ode mnie posłuszeństwa wobec tradycyjnych reguł narzucanych kobietom. Nie tylko pozwolono mi pójść do szkoły, co prawda żeńskiej – mogłam także jeść przy tym samym stole, co rodzice i ich przyjaciele, rozmawiać z nimi o polityce i bieżących sprawach. Mogłam uczestniczyć w każdym spotkaniu, uprawiać sport, zajmować się tym, na co miałam ochotę. Różne „życzliwe osoby” w mieście upominały mnie za te nowoczesne zwyczaje. Dzieciństwo i lata szkolne były dla mnie okresem bardzo szczęśliwym. Przede wszystkim byłam wolna – mówiła cicho – wolna...

Pochłaniałam wszystko wokół. Nic nie stało na przeszkodzie moim wyborom. Tęskniłam za jakimś śmiałym przedsięwzięciem na wielką skalę. Chciałam zadziwić świat jakimś genialnym pomysłem, marzyłam o byciu piękną u boku jakiegoś bohatera. Kiedy przeczytałam książkę o rewolucji zatytułowaną *Czerwona gwiazda*, odnalazłam świat, który znałam z podręczników historii. Czyż nie za taką przyszłością tęskniłam? Byłam niezwykle podekscytowana. O dziwo moi rodzice zajęli stanowisko odbiegające od ich zwykłego liberalizmu. Zakazali mi wyjazdu, tłumacząc, że moje decyzje nie są ani rozsądne, ani oparte na faktach. Mówili, że takie niedojrzałe idee okazują się gorzkie i kwaśne. Potraktowałam to jako osobistą krytykę i zareagowałam bardzo ostro. Powodowana młodzieńczym uporem postanowiłam pokazać im, że nie jestem zwykłą dziewczyną.

Przez kolejnych czterdzieści lat ich przestrogi często rozbrzmiewały mi w uszach. Zrozumiałam, że rodzicom nie chodziło tylko o mnie – mówili o przyszłości całych Chin.

Pewnego letniego dnia zapakowałam dwie zmiany ubrania i kilka książek i opuściłam swoją rodzinę, szczęśliwą, spokojną rodzinę, niczym bohaterka jakiejś powieści. Do dziś pamiętam, co myślałam, wychodząc przez bramę: „Mamo, tato, bardzo mi przykro. Sprawię, że napiszą o mnie w książkach, a wy będziecie ze mnie dumni”.

I rzeczywiście, później rodzice często widywali moje nazwisko w książkach i relacjach, ale tylko jako nazwisko czyjejs żony – i nic poza tym. Nie wiem, dlaczego matka ciągle pytała: Czy jesteś szczęśliwa? Aż do jej śmierci nigdy nie odpowiedziałam na to pytanie wprost. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale jestem przekonana, że matka znała odpowiedź.

Zamilkła na kilka sekund, po czym ciągnęła dalej, zmieszonym tonem:

– Czy byłam szczęśliwa? – zapytała. – Co to jest szczęście? Czy jestem szczęśliwa? Tak, byłam bardzo szczęśliwa wtedy, kiedy dotarłam na tereny wyzwolone przez partię. Wszystko było takie nowe i niezwykłe: na polach nie można było odróżnić chłopów od żołnierzy, na placu defilad gwardia cywilna stała ramię w ramię z wojskową. Mężczyźni i kobiety nosili takie same ubrania i robili to samo; przywódców nie poznawało się po symbolach ich rang. Wszyscy rozprawiali o przyszłości Chin; codziennie krytykowano i potępiano stary system. Roilo się od doniesień o rannych i zabitych w walce. W tej atmosferze studentki traktowane były jak księżniczki, cenione za żywy sposób bycia i urodę. Mężczyźni, którzy ryczeli i walczyli wściekle na polu bitwy, na zajęciach siedzieli obok nas pokorni jak cielęta.

Na terenach wyzwolonych pozostałam tylko przez trzy miesiące. Potem przydzielono mnie do brygady pracującej przy realizacji reformy rolnej na północnym brzegu Huanghe. Moim „zakładem pracy” był zespół, który podlegał głównemu zwierzchnictwu i zajmował się przekazywaniem ludziom idei Partii Komunistycznej poprzez muzykę, taniec i inną działalność kulturalną. Były to bardzo biedne tereny: oprócz gry na trąbce na ślubach i pogrzebach życie kulturalne tu nie istniało, więc cieszyliśmy się dużym powodzeniem. .

W zespole byłam jedną z kilku dziewcząt, które potrafiły śpiewać, tańczyć, odgrywać role i grać na instrumentach. Szczególnie w tańcu okazałam się najlepsza. Na każdym przyjęciu z wyższymi urzędnikami wszyscy chcieli ze mną tańczyć. Byłam towarzyska i wciąż się śmiałam, więc nazywali mnie skowronkiem. Byłam szczęśliwym ptaszkiem, bez żadnych trosk.

Zna pani to powiedzenie: „Kura w kurniku ma ziarno, lecz w końcu trafi do garnka; żuraw nie ma nic, lecz czeka go szeroki świat”. Los skowronka w klatce nie różni się od życia kury. Wieczorem w dniu moich osiemnastych urodzin zespół wyprawił mi przyjęcie urodzinowe. Nie mieliśmy tortu ani szampana, tylko kilka herbatników zaoszczędzonych przez moich towarzyszy z racji żywieniowych oraz odrobinę rozpuszczonego w wodzie cukru. Warunki były skromne, ale dobrze się bawiliśmy. Kiedy tańczyłam i śpiewałam, dowódca pułku dał mi znak, żebym poszła za nim. Niechętnie towarzyszyłam mu do gabinetu, gdzie zadał mi poważne pytanie:

– Czy jesteś gotowa podjąć się każdej misji, jaką wyznaczy ci organizacja partyjna?

– Oczywiście! – odpowiedziałam bez wahania. Zawsze chciałam wstąpić do partii, lecz ponieważ moja rodzina nie

miała rewolucyjnego pochodzenia, musiałam postarać się o to znacznie bardziej niż inni.

– Czy jesteś gotowa bezwarunkowo wypełnić każde zadanie, bez względu na jego charakter?

Byłam zdumiona. Dowódca pułku zawsze był taki bezpośredni, dlaczego więc wyraża się w tak niejasny sposób? Mimo to odpowiedziałam szybko:

– Oczywiście, gwarantuję, że wypełnię zadanie!

Nie wyglądał wcale na zadowolonego z mojej zdecydowanej postawy, ale polecił mi natychmiast, nocą, wyruszyć na „pilną misję” do siedziby regionalnych władz.

Chciałam pożegnać się z przyjaciółmi, ale powiedział, że nie ma takiej potrzeby. Ponieważ była wojna, przyjęłam tę odpowiedź bez zastrzeżeń i wyszłam w towarzystwie dwóch żołnierzy, którzy zostali przysłani specjalnie po mnie. Milczeli przez całą naszą dwugodzinną podróż, a mnie nie wolno było zadawać pytań – taka była zasada. W siedzibie władz regionu przedstawiono mnie umundurowanemu oficerowi wyższej rangi. Zmierzył mnie wzrokiem i rzekł:

– Nieźle, całkiem nieźle... No dobrze. Od dzisiaj jesteś moją sekretarką. Musisz się więcej uczyć, pracować nad sobą i postarać się jak najszybciej wstąpić do partii.

Następnie rozkazał komuś, by zaprowadził mnie do mojego pokoju, żebym mogła odpocząć. Pokój był bardzo komfortowy, na kangu leżała nawet nowiutka kołdra. Praca w dowództwie to jednak co innego, pomyślałam. Byłam jednak tak wykończona, że nie zaprzętałam sobie tym długo głowy i zasnęłam.

Późną nocą obudził mnie mężczyzna, który wślizgnął się do mojego łóżka. Chciałam krzyknąć z przerażenia, ale zatkał mi usta dłonią i szepnął:

– Cicho, sza, nie budź innych towarzyszy. To właśnie jest twoja misja.

– Misja?

– Tak jest. Od dzisiaj właśnie na tym polega.

Nieczuły głos należał do starszego oficera, któremu przedstawiono mnie wcześniej. Nie miałam siły się bronić, zresztą nie wiedziałam jak. Potrafiłam tylko płakać.

Następnego dnia partia poinformowała mnie, że wieczorem odbędzie się skromne przyjęcie weselne. Ten oficer został właśnie moim mężem.

Długo zadawałam sobie pytanie, jak to się mogło stać. Jak mogłam zostać wyswatana przez rewolucję? Przez ostatnich czterdzieści lat żyłam w otępieniu i upokorzeniu. Dla mojego męża kariera jest wszystkim. Kobiety zaspokajają tylko jego potrzeby fizjologiczne, nic więcej. Mówi: „Jeśli nie używasz kobiety, po co ci ona?”

Odebrano mi młodość, moje nadzieje legły w gruzach, a wszystko, co miałam w sobie pięknego, zużył jakiś mężczyzna.

Zamilkła.

– Przepraszam panią, Xinran. Tyle gadam, myśląc tylko o sobie. Czy pani urządzenie to wszystko nagrało? Wiem, że kobiety mówią za dużo, ale ja rzadko mam okazję i chęć, żeby coś powiedzieć; żyję jak automat. Przynajmniej mogłam się wygadać bez obaw. Jest mi lżej. Dziękuję pani. Proszę w moim imieniu podziękować całej rozgłośni i kolegom. Do usłyszenia.

Po tym pożegnaniu moi koledzy dobrą chwilę stali wraz ze mną jak wryci – poruszeni i zaszokowani opowieścią. Kiedy ubiegałam się o pozwolenie wyemitowania jej na antenie, zwierzchnicy odmówili, ponieważ mogłoby to zniekształcić obraz naszych przywódców w społeczeństwie.

第九章⁹

moja matka

Wśród kolegów stłoczonych wokół magnetofonu i zasłuchanych w opowieść żony prowincjonalnego przywódcy był między innymi Stary Chen. Potem powiedział mi, że wcale nie zaskoczyła go ta historia. Wielu mężczyzn, przystępując do rewolucji, zostawiało swoje żony i dzieci, by podążać za partią. Kiedy osiągnęli wyższe stanowiska, partia żeniła ich na nowo, ponieważ ich pierwsze żony były uwięzione na terenach okupowanych przez wroga.

Większość nowych żon rekrutowała się spośród studentek, które wierzyły żarliwie w partię i otaczały czcigłównie jej bohaterów – mężczyzn z karabinem na ramieniu. Wiele z nich pochodziło z bogatych rodzin – były to wykształcone młode kobiety. Różniły się diametralnie od pierwszych żon, które przeważnie były chłopkami. Ich ogłada miała dla oficerów urok nowości, a wykształcenie czyniło z nich dobre nauczycielki i pracownice.

W 1950 roku, kiedy większością Chin rządziła partia komunistyczna, nowe władze stanęły przed problemem: co zrobić z pierwszymi żonami przywódców? Żony wielu

mężczyzn, którzy awansowali na funkcjonariuszy wyższego szczebla, ruszały teraz do Pekinu wraz z dziećmi, licząc na to, że odnajdą mężów. Rząd głosił wyzwolenie kobiet, równość płci i monogamię, powstał więc prawdziwy dylemat. Urzędnicy partyjni rozpoczęli już nowe życie z innymi partnerkami: które żony i dzieci miały zostać przy nich? Nie istniały żadne przepisy mogące stanowić podstawę jakichkolwiek decyzji.

W kwestii która z rodzin przyniesie większe korzyści ich karierze i pozycji społecznej, nie było wątpliwości. Ale postawieni twarzą w twarz z pierwszymi żonami, które dla nich przez całe lata znosiły mnóstwo przeciwności, mężczyźni nie byli wcale pewni, co począć. Każda z tych niepiśmiennych kobiet, które nie znały nawet najprostszych znaków pisma, wiedziała jedno: że należy do mężczyzny, którzy zdjął welon z jej twarzy i zmienił ją z młodej dziewczyny w żonę.

W końcu rząd wydał decyzję, która uznawała znaczenie polityczne tych kobiet. Przyznano im kilka specjalnych przywilejów i dożywotnią gwarancję utrzymania. Posłuszne rozkazom, które ledwie rozumiały, kobiety te wróciły do swoich wiosek z dziećmi, a one z kolei, dorastając, miały żal do obojga rodziców.

Wieśniacy nie śmieli potępiać ani wyszydzać opuszczonych żon, ponieważ znajdowały się pod ochroną władzy. Ale bardzo niewiele z tych prostych, uczciwych kobiet korzystało ze swojej wyjątkowej pozycji i przywilejów, by ułatwić sobie życie. Przyjmowały jedynie rządowy zasiłek – niewielką sumę, która niemal nie powiększała się wraz z inflacją – i wychowywały dzieci samodzielnie. Bardzo niewiele wyszło ponownie za mąż.

Stary Chen mówił, że jedna z takich kobiet powiedziała mu: „Po co mam korzystać z przywilejów? To byłoby jak po-

sypywanie rany solą. Ludzie tylko by gadali o moim mężu, a ja przez to jeszcze bardziej bym za nim tęskniła”.

Potem dowiedziałam się, że podobnie jak w przypadku tamtej kobiety, która dzwoniła do mojego programu, wiele nowych małżeństw było nieszczęśliwych: czy wiedza o tym pocieszyłaby pierwsze żony? Podobnie jak u mojej anonimowej rozmówczynie, wielu żonom przydzielono małżonka, o którym nic wcześniej nie wiedziały. Ich wykształcenie, wychowanie, poziom kultury i romantyczne, zachodnie podejście do małżeństwa, których nauczyły się w postępowych szkołach, były początkowo atrakcyjne dla ich mężów, ale ostatecznie nie zyskały akceptacji. Mężowie dorastali na polu walki, wśród okrucieństw wojny. Starsze pokolenie nauczyło ich, że kobieta powinna być posłuszna i żyć w zamknięciu. Przepaść między oczekiwaniami mężów i ich nowych żon była częściowo zasypywana dzięki ustępliwości kobiet, ale mężczyźni szybko tracili zainteresowanie nimi i zaczęli traktować je wyłącznie jako narzędzia do zaspokajania swych potrzeb.

Kiedy w pewien weekend odwiedziłam rodziców, oznajmiłam matce, że według mnie prawie nie ma różnicy między życiem w jałowym emocjonalnie małżeństwie a siedzeniem w więzieniu. Matka rzuciła obojętnie: „Ilu ludzi w Chinach zawarło małżeństwo z miłości?” Kiedy zapytałam, czemu tak mówi, wykręciła się czymś i wyszła z pokoju. Wiedziałam, że matka słucha mojej audycji prawie codziennie, ale rzadko rozmawiałyśmy o uczuciach. Przez całe życie tęskniłam do jej objęć: kiedy byłam dzieckiem, nigdy mnie nie przytulała ani nie całowała, a gdy dorosłam, tego rodzaju przejawy uczuć były już niestosowne z punktu widzenia tradycyjnej chińskiej powściągliwości. Między 1945 a 1985 rokiem, kiedy podróżowanie po kraju znów stało się możliwe, wiele chińskich rodzin zostało rozdzie-

lonych. Nie stanowiliśmy wyjątku – z własnymi rodzicami spędziłam bardzo niewiele czasu. Bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o matce, kobiecie, która dała mi życie i sprawiła, że zadaję sobie niezliczoną ilość pytań na temat kobiet. Moja rosnąca dziennikarska pewność siebie pomogła mi zacząć układać w całość to, co wiem o jej losach.

Moja matka pochodzi z dużej kapitalistycznej rodziny z Nankinu, gwarnege, lecz spokojnego i pełnego harmonii miasta, tak różnego od rozpolitykowanego Pekinu, handlowego Szanghaju czy hałaśliwego Kantonu. Sun Yat-sen, założyciel nowoczesnych Chin, chciał spocząć tu po śmierci, a Kuomintang miał tu kiedyś swoją stolicę.

Położony na brzegach Jangcy w południowo-wschodnich Chinach, u podnóży dostojnej góry Zijin, Nankin jest miastem jezior i zieleni. We wszystkich kierunkach rozchodzą się cieniste, obsadzone drzewami bulwary, a zażytkowe pałace, mury miejskie i nowoczesna zabudowa nad rzeką świadczą o bogactwie dziedzictwa kulturowego tego miasta. Chińczycy mawiają, że człowieka kształtuje ziemia i woda wokół niego. To, co wiem o rodzinie mojej matki, przekonuje mnie, że to prawda.

Niegdyś do rodziny mojej matki należały tu spore tereny: wszystko na południe od linii poprowadzonej od Zachodniej Bramy ku centrum miasta, które znajdowało się trzy kilometry na wschód, należało do nich. Mój dziadek ze strony matki kierował całym przemysłem konopnym w trzech prowincjach: Jiangsu, Zhejiang i Anhui, był także właścicielem wielu innych fabryk. W bogatych południowych Chinach najważniejszą rolę odgrywał transport wodny. Dziadek produkował wszystko, od brezentu do okrętów wojennych po liny kotwiczne do małych łódek rybackich.

Ten wyjątkowo zdolny przedsiębiorca i menedżer nie był człowiekiem wykształconym. Mimo to rozumiał znaczenie kultury i edukacji – posłał swoich siedmioro dzieci do najlepszych szkół, sam też założył szkołę w Nankinie. Mimo iż za jego czasów powszechnie uważano, że brak wykształcenia u kobiety stanowi cnotę, jego córki odebrały najstaranniejszą edukację.

Od wujków i ciotek dowiedziałam się, że w domu mojego dziadka panowały surowe zwyczaje. Jeśli ktoś wydał jakikolwiek dźwięk podczas jedzenia, odsunął lewą rękę od miseczki z ryżem czy też złamał jakąś inną zasadę, dziadek odkładał pałeczki i odchodził od stołu. Nikomu nie było wolno jeść dalej – wszyscy głodowali aż do następnego posiłku.

Po utworzeniu nowego rządu w 1949 roku dziadek, by ochronić swoją rodzinę, musiał przekazać państwu cały swój majątek. Być może w ramach buntu przeciwko surowemu wychowaniu wszystkie jego dzieci wzięły aktywny udział w rewolucyjnej działalności Partii Komunistycznej, walcząc z kapitalistami, do których należał ich ojciec.

Dziadek dzielił się swoim ogromnym majątkiem z rządem trzykrotnie: w 1950, 1959 i 1963 roku, lecz ofiary te nie uchroniły go przed kłopotami. Na początku „rewolucji kulturalnej” był prześladowany za to, że dwóch śmiertelnych wrogów Mao Zedonga wyrażało się o nim pochlebnie. Pierwszym był Chiang Kai-shek, który mówił o moim dziadku w samych superlatywach, ponieważ rozwijał przemysł narodowy w obliczu inwazji japońskiej. Drugim był Liu Shaoqi, były przyjaciel Mao, który chwalił dziadka za przekazanie sporego majątku państwu. Chiang został wypędzony na Tajwan, a Liu – uwięziony po tym, jak wypadł z łask.

Kiedy wtrącono dziadka do więzienia, miał już ponad siedemdziesiąt lat. Przeszedł tę próbę dzięki zdumiewa-

jąco silnej woli. Czerwonogwardziści pluli i smarkali do nędznego jedzenia i słabej herbaty, które zanoszono więźniom. Staruszek, który siedział z dziadkiem w jednej celi, zmarł z żalu, gniewu i wstydu, lecz dziadek znosił wszystko z uśmiechem na twarzy – wyrzucał flegmę i ślinę i jadł wszystko, co dało się zjeść. W końcu czerwonogwardziści zaczęli go podziwiać i przynosić mu trochę lepsze jedzenie niż innym.

Kiedy pod koniec „rewolucji kulturalnej” dziadka uwolniono, pewien współwięzień, by uczcić to wydarzenie, zaprosił go na specjalność kuchni nankińskiej, kaczkę marynowaną w soli. Kiedy podano przysmak, znajomy dziadka padł zemdlony i zmarł na wylew krwi do mózgu, spowodowany nadmiernym podnieceniem.

Dziadek nie okazywał ani radości z odzyskanej wolności, ani smutku z powodu śmierci przyjaciół, utraty rodziny czy majątku. Wydawało się, że na zawsze zobojętniał. Dopiero gdy przy okazji moich odwiedzin w Chinach w marcu 2000 roku pozwolił mi przeczytać swoje pamiętniki, dowiedziałam się, że nawet na chwilę nie przestał odczuwać tragizmu zmieniających się czasów. Jego doświadczenie i wiedza o życiu sprawiły, że czuł się niezdolny do wyrażania emocji za pomocą tego niedoskonałego środka, jakim jest język, lecz, mimo że nie robił tego w swoich dziennikach otwarcie, jego najskrytsze uczucia są w tych zapiskach widoczne.

Matka w wieku czternastu lat zapisała się do Ligi Młodzieży Komunistycznej, a jako szesnastolatka wstąpiła do armii i do partii. Przedtem cieszyła się w Nankinie powodzeniem dzięki szkolnym osiągnięciom oraz talentowi do śpiewu i tańca. W armii błyszczała dalej. Najlepsza w szkoleniu praktycznym i w teorii, znalazła się w czołówce ogólnokrajowych zawodów wojskowych. Inteligentna i urodziwa,

miała powodzenie u mężczyzn na wysokich stanowiskach w armii i w partii, którzy konkurowali o nią na dancinгах. Wiele lat później matka powiedziała, że czuła się jak Kopuszek, na którego stópkę idealnie pasował pantofelek rewolucji i że stanowiło to spełnienie wszystkich jej marzeń. Otoczona aurą sukcesu nie przypuszczała, że pochodzenie kiedyś stanie się jej przekleństwem.

We wczesnych latach pięćdziesiątych w armii przeprowadzono pierwszą czystkę w stylu stalinowskim. Matkę zaliczono do „czarnej” klasy potomków kapitalistów i wyrzucono z zaczarowanego kręgu najbardziej poważanych rewolucjonistów. Pracowała w fabryce broni, gdzie wspólnie z ekspertami ze wschodnich Niemiec udało jej się skonstruować nową obrabiarkę, stosowaną w produkcji wyposażenia wojskowego. Kiedy robiono zdjęcie grupowe dla uczczenia tego osiągnięcia, matce powiedziano, że ze względu na pochodzenie nie może stać w pierwszym rzędzie i wciśnięto ją na tyły.

W trakcie rozłamu chińsko-sowieckiego matka stała się przedmiotem inwigilacji. Jej kapitalistyczne pochodzenie usprawiedliwiała ciągłe wątplenie w jej lojalność wobec partii. Pod koniec „rewolucji kulturalnej” prowadziła niewielką grupę techniczną, która zaprojektowała narzędzie wyraźnie zwiększające wydajność produkcji. Nie mogła jednak przypisać sobie żadnych osiągnięć. Nie mogła zbierać laurów jako główny projektant, ponieważ osoba z jej pochodzeniem nie mogła zostać uznana za prawdziwie lojalną wobec partii.

Przez ponad trzydzieści lat moja matka walczyła o to, by traktowano ją i doceniano tak samo, jak kolegów z podobnymi osiągnięciami, lecz niemal za każdym razem ponosiła klęskę. Nic nie mogło przecież zmienić faktu, że była córką kapitalisty.

Przyjaciel rodziny powiedział mi pewnego razu, że najlepszym dowodem silnego charakteru matki była jej decyzja o małżeństwie z moim ojcem. Kiedy wzięli ślub, ojciec był szanowanym wykładowcą w akademii wojskowej. Uczył matkę, wiele studentek bardzo go podziwiała. Matka miała wśród wykładowców wielu zalotników, lecz wybrała mojego ojca, który nie grzeszył urodą, był za to najinteligentniejszy ze wszystkich. Koledzy i koleżanki matki uważali, że nie wyszła za niego z miłości, lecz by udowodnić swoją wartość.

Intelekt ojca rzeczywiście stanowił dla matki prywatne uzasadnienie jej decyzji. Kiedy o nim opowiadała, mówiła zawsze, jaki był niesamowicie zdolny: był najlepszym w kraju ekspertem od mechaniki i technik obliczeniowych, znał kilka obcych języków. Nigdy nie opisywała go jako dobrego męża czy ojca. Mnie i mojemu bratu trudno było pogodzić wizję matki z obrazem tego nieprzytomnego faceta, którego w dzieciństwie prawie nie widywaliśmy i mówiliśmy do niego wujku.

Roztargnienie mojego ojca objawiało się na najróżniejsze sposoby: wiele z nich w rodzinnych wspomnieniach zamieniło się w zabawne anegdoty. Pewnego razu w mesie oficerskiej wetknął sobie brudny talerz pod pachę, po czym zaniósł gruby słownik do zlewu i na oczach zdumionych kolegów wyplukał go pod kranem. Innym razem, czytając książkę, wszedł przez otwarte drzwi do cudzego mieszkania, położył się na kanapie i zasnął. Zdziwionej rodzinie szkoda było go budzić.

Chcąc udowodnić, że w praktycznych, codziennych umiejętnościach nie jest gorszy od matki, próbował kiedyś ugotować coś do jedzenia. Przyniósł wagę i dwadzieścia odważników, by móc bardzo dokładnie stosować się do przepisu. Kiedy ważył sól, olej w woku się zapalił.

Matka opowiadała, jak pewnego dnia przedzierał się przez tłumy na placu Tiananmen, żeby się z nią spotkać pod Pomnikiem Bohaterów Ludowych. Wielce podekscytowany, oświadczył, że jego zakład pracy właśnie wydał mu przydział w postaci dwóch butelek oleju sezamowego. Podniósł ręce i dopiero w tej chwili zorientował się, że butelki rozbiły się po drodze i trzyma w dłoniach tylko nakrętki.

Współczucie często mylone jest z miłością, przez co wielu ludzi wpada w pułapkę nieszczęśliwego małżeństwa. Stało się tak z wieloma parami, które wzięły ślub między 1950 a 1980 rokiem. Wielu mężczyzn i wiele kobiet sporniewieranych przez zamęt polityczny i trudy życia, czując presję tradycji, zawierało związki małżeńskie, kierując się litością, być może pożądaniem, lecz nie miłością. Dopiero po ślubie okazywało się, że to, co wcześniej wzbudzało w nich litość, zaczyna powodować odrazę, i tak w życie rodzinne wkradała się uczuciowa pustka.

Oboje rodzice mieli „czarne”, kapitalistyczne pochodzenie – dziadek ze strony ojca przez trzydzieści pięć lat pracował dla brytyjskiej firmy GEC w Szanghaju – toteż bycie towarzyszami niedoli z pewnością odgrywało w ich małżeństwie ważną rolę. Sądzę, że z upływem lat zaczęli się nawzajem potrzebować i żywić do siebie przywiązanie.

Czy się kochali? Czy byli szczęśliwi? Nigdy nie odważyłam się o to pytać, nie chcąc przywoływać złych wspomnień – wspomnień o rozstaniach, więzieniu, podzielonej rodzinie.

Kiedy miałam miesiąc, zostałam oddana na wychowanie babce. Z własną matką mieszkałam wszystkiego mniej niż trzy lata. Nie pamiętam ani jednych urodzin, które cała rodzina spędziłaby w komplecie.

Słyszac gwizd parowej lokomotywy, zawsze myśle o matce. Przeciagly, swidrujacy odglas wywoluje we mnie poczucie bezradnosci na zmianę z nadzieja, przypominajac mi tamten dzien, gdy skonczylam piec lat. Babcia zaprowadzila mnie na dworzec kolejowy w Pekinie. Kiedy stalismy na peronie, trzymala mnie za reke. Dworzec nie byl nawet w polowie tak zatloczony jak teraz, nie oferowal tez zadnych atrakcyjnych widokow, jak kolorowe tablice czy reklamy. Nie mialam pojecia, po co tam przyszlismy. Pamietam tylko czekanie w milczeniu i bawienie sie sztywnymi palcami mojej babki, ktore staralam sie zlozyc razem w ksztalt zlobkowanego brzegu chińskiego pierozka.

Przeciagly zalobny gwizd wydawal sie popychac ogromny pociag. Kiedy zatrzymal sie ze szczekiem, sapiac glosno, wygladal, jakby zmeczył sie przewozeniem tylu ludzi z tak daleka, z tak wielka prędkoscia.

W naszym kierunku szla jakaś piekna kobieta. Walizka w jej reku kołysala sie z kazdym krokiem. Wszystko plynelo, jak we snie. Babcia wziala mnie za reke i pokazala ja palcem, mowiac: „To twoja matka. No, powiedz mama!”

– Ciociu – zwrócila sie do pieknej kobiety, tak samo jak do kazdej innej.

– To twoja mama. Powiedz mamu, nie ciociu – rzekla zawstydzona babcia.

W milczeniu wpatrywalam sie w kobieta szeroko otwartymi oczyma. Oczy miala pelne łez, lecz zmusila sie do zmeczonego, smutnego usmiechu. Babcia juz nic mi nie podpowiadala. Obie kobiety staly nieruchomo.

To wspomnienie przesladuje mnie nieustannie. Najwiekszych cierpien przysparza mi, odkad sama zostalam matka i doswiadczyłam atawistycznej, nierozzerwalnej wzzi matki z dzieckiem. Cóz mogla powiedziec moja matka na widok córki, która nazwala ja ciocia?

Przez wiele lat matka musiała tłumić swoją kobiecą naturę. Gdy współzawodniczyła z mężczyznami i walczyła ze skazą rodzinnego pochodzenia, by odnieść sukces zawodowy i partyjny, czuła, że dzieci są dla niej tylko brzemieniem, a rodzina zrujnowała jej życie. Niegdysiejsza królowa balu w armii przestała przywiązywać wagę do ubioru czy wyglądu.

Pewnego razu zadzwoniłam do niej z Anglii, w chwili gdy życie w obcej kulturze stało się dla mnie szczególnie ciężkie.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Najważniejsze, że masz czas odkrywać, jak to jest być kobietą.

Byłam zdumiona. Moja matka, już dobrze po sześćdziesiątce, przyznała się do tego, że niegdyś stłumiła jakąś ważną część siebie, i ostrzegła mnie przed popełnieniem tego samego błędu.

Gdy odwiedziłam Chiny po raz drugi od czasu wyjazdu do Anglii, zdumiał mnie widok matki umalowanej szminką z okazji spotkania z moim brytyjskim przyjacielem. Ojciec z trudem powstrzymywał entuzjazm wywołany tym nagłym powrotem elegancji: moja matka nie robiła makijażu od ponad czterdziestu lat.

第十章

10

kobieta, która czekała czterdzieści pięć lat

Mieć rodzinę bez uczuć albo uczucia bez rodziny – to charakterystyczne dla współczesnych Chińczyków. Warunki życia powodują, że dla młodych ludzi zawierający małżeństwo praca i mieszkanie stają się kluczowe. Dla ich rodziców, którzy żyli w czasach przewrotów politycznych, pewność i materialne bezpieczeństwo stanowiły podstawę budowania rodziny. Obydwa pokolenia w pierwszym rzędzie stawiały kwestie praktyczne, a uczucia rodzinne miały pojawić się później. Większość kobiet tęskni i dąży do stworzenia rodziny opartej na uczuciach. Dlatego w historii Chin można znaleźć tyle opowieści o nieszczęśliwych miłościach – z których nic dobrego nie wynikło.

W 1994 roku mój ojciec wybrał się na uroczystość z okazji osiemdziesiątej trzeciej rocznicy powstania Uniwersytetu Qinghua, jednej z najlepszych uczelni w Chinach. Kiedy wrócił, opowiedział mi o spotkaniu dwojga swoich dawnych znajomych z grupy, Jingyi i Gu Da, którzy w czasach studenckich byli w sobie zakochani. Gdy skończyli stu-

dia, posłano ich w różne strony Chin, by pracowali „dla potrzeb Rewolucji”. Podczas dziesięcioletniego koszmaru „rewolucji kulturalnej”, która uniemożliwiła jakąkolwiek komunikację, stracili ze sobą kontakt. Kobieta, Jingyi, czekała i szukała ukochanego przez czterdzieści pięć lat. Ich pierwsze spotkanie po latach miało miejsce właśnie na tym uniwersyteckim zgromadzeniu. Nie mogła jednak rzucić się w ramiona ukochanego: obok stała jego żona. Zmusiła się do uśmiechu, podania ręki i uprzejmego powitania, ale z całą pewnością była głęboko wstrząśnięta. Wyszła jako pierwsza.

Dawni koledzy, którzy byli świadkami tego bolesnego spotkania, siakali płaczkliwie nosami, a oczy poczerwieniały im ze wzruszenia. Tych dwoje było bohaterami najśłynniejszej historii miłosnej w grupie. Wszyscy wiedzieli, że przez całe cztery lata na uniwersytecie byli w sobie szaleńczo zakochani. Wspominali, jak Gu Da szukał dla Jingyi kandyzowanych owoców głogu w czasie największej pekińskiej śnieżycy i jak Jingyi czuwała przy nim przez dziesięć nocy, gdy zachorował na zapalenie płuc. Mój ojciec opowiadał o tym melancholijnie i wzdychał, rozmyślając nad losem i przemijaniem.

Spytałam ojca, czy Jingyi wyszła za męża. Odpowiedział, że nie, ponieważ cały czas czekała na ukochanego. Niektórzy koledzy twierdzili, że to głupota – być aż tak zauroczonym dawną miłością: któż przez te wszystkie burzliwe lata miałby jeszcze nadzieję? Na ich niedowierzanie Jingyi reagowała tylko uśmiechem. Powiedziałam ojcu, że była niczym piękna i czysta lilia wodna, wyrastająca pośród błota. Matka, która przysłuchiwała się temu z boku, wtrąciła uwagę, że lilie wodne więdną znacznie szybciej niż inne kwiaty, gdy się je złamie. Byłam bardzo ciekawa, czy Jingyi została złamana.

W spisie dawnych kolegów uniwersyteckich ojca znalazłam dane jej zakładu pracy, nie było tam jednak ani prywatnego telefonu, ani adresu zamieszkania. Praco-
wała w fabryce sprzętu wojskowego, w której tworzo-
no specjalne projekty, położonej daleko w górach, gdzie
warunki życia były skromne, a dojazd bardzo utrudniony.
Zadzwoiłam do fabryki, ale powiedziano mi, że jeszcze
nie wróciła z Pekinu. Poproszono mnie o potwierdzenie,
że wyjechała. Zgodziłam się i poprosiłam jej kolegów, by
postarali się ją odnaleźć. W ciągu kolejnych paru tygodni
wypytywałam jej uniwersyteckich znajomych, czy kontak-
towała się z nimi bądź z innymi przyjaciółmi czy rodziną,
lecz nigdzie nie było po niej śladu. Zadzwoniono do mnie
z jej zakładu pracy, by zawiadomić, że telefonowała z Peki-
nu z prośbą o urlop, ale nie kontaktowała się ponownie, by
dowiedzieć się, czy został przyznany. Byłam ciekawa, czy
przebywa z dawnym ukochanym, lecz kiedy zadzwoniłam
do wielkiej fabryki broni w Jiangxi w południowo-zachod-
nich Chinach, Gu Da tylko spytał bezradnie: „Co się stało?
Gdzie ona jest?”

Przez kolejnych kilka tygodni Jingyi stała się jedynym te-
matem moich rozmów telefonicznych z rodziną. Wszyscy
byliśmy bardzo zaniepokojeni, ale nie mogliśmy nic zrobić.
Jingyi gdzieś się zapodziała.

Pewnego wieczoru odebrałam telefon od słuchaczki,
która przedstawiła się jako pracownica hotelu nad jezio-
rem Taihu w Wuxi. Opowiedziała mi o pewnym dziwnym
gościu hotelowym. Osoba ta nie opuszcza w ogóle pokoju,
nie pozwala też wejść sprzątacze. Personel wie, że wciąż
żyje, wyłącznie dzięki temu, że odbiera telefon. Słuchacz-
ka była zaniepokojona i miała nadzieję, że pomogę tej za-
gadkowej kobiecie.

Po programie zadzwoniłam do hotelu i poprosiłam, by połączono mnie z ową samotniczką. Kobieta szybko odebrała telefon, lecz rozmawiała bardzo niechętnie. Spytała, w jaki sposób się o niej dowiedziałam. Kiedy odpowiedziałam, że wiele osób w hotelu się o nią martwi, poprosiła, bym przekazała im podziękowania. Byłam zdumiona, że prosi kogoś z tak daleka o przekazanie podziękowań ludziom, którzy znajdują się tuż obok niej. Wiem z doświadczenia, że osoby, które aż tak unikają kontaktów międzyludzkich, prawdopodobnie straciły chęć do życia. Moja rozmówczyni powiedziała, że nie słuchała mojej audycji i nie ma takiego zamiaru.

Nasza pierwsza rozmowa była krótka, ale wytrwale dzwoniłam do niej co wieczór po programie, traktując te telefony jako coś w rodzaju koła ratunkowego. Po kilku rozmowach w jej głosie zaczęła pobrzmiwać nutka akceptacji: od czasu do czasu zadawała mi jakieś pytanie, nie tylko obojętnie odpowiadała na moje.

Po dwóch tygodniach nie odebrała telefonu. Zaniepokojona, zadzwoniłam do personelu hotelowego, prosząc o zapukanie do jej drzwi, i odetchnęłam z ulgą na wieść, że odpowiedziała. Przez kolejnych kilka dni nadal nie odbierała, ale kontynuowałam rutynowe próby, chcąc okazać jej troskę.

Szczyśliwym zrządzeniem losu wkrótce potem wysłano mnie w delegację do Wuxi. Miałam co prawda robić reportaż o policjantach z drogowki, lecz skorzystałam z tej okazji, by odwiedzić kobietę, która zamknęła się przed światem.

Powiedziałam dyrektorowi rozgłośni, że ruszę w drogę do Wuxi natychmiast po zakończeniu wieczornego programu. Zdziwił się:

– Oszalała pani? Jeśli pani wyjedzie tak późnym wieczorem, wyląduje pani w Wuxi wcześniej rano i nie będzie miał kto pani odebrać.

Nauczona doświadczeniem, starałam się jak najmniej wyjaśniać.

Kierowca, którego wyznaczono mi na podróż do Wuxi, nie znosił prowadzić w dzień, w czasie największego ruchu, i był bardzo zadowolony, gdy poprosiłam o zawieszenie mnie nocą do hotelu nad jeziorem Taihu. Dotarliśmy o czwartej nad ranem. Recepcjonistki były senne i ślamazarne. Kierowca, człowiek z natury niecierpliwy, pokrzykiwał:

– Proszę się obudzić! Ta pani to Xinran. Przyjechała tu od razu po audycji o północy i musi zacząć robić reportaże o ósmej rano. Czy nie można by przyspieszyć tych formalności?

– Xinran? Ta od „Słów na wieczornym wietrze”? Słuchałam pani audycji parę godzin temu.

– Tak, to ona. Jest zmęczona, proszę nam pomóc!

– Pani naprawdę jest Xinran? Tak, tak! Widziałam panią w gazecie, jak to wspaniale poznać panią osobiście. Zawołam koleżanki! – powiedziała recepcjonistka i zerwała się z miejsca.

– Proszę się nie fatygować – powstrzymałam ją pośpiesznie. – Zatrzymam się tutaj na parę dni, niech pani nie zakłóca snu koleżanek. Naprawdę jestem już zmęczona.

– Ach, przepraszam, oczywiście. Dam pani zaraz pokój z widokiem na jezioro. Panu też – zwróciła się do kierowcy – o pana też zadbamy.

– Cieszę się, że nie czuje się pani urażona.

– Nie ma o czym mówić. Ma pan ostry język, ale serce miękkie, jak to mówią. Zresztą ja takie rzeczy jednym uchem wpuszczam, a wypuszczam drugim.

Kiedy recepcjonistka zaprowadziła mnie do pokoju, spytałam, czy wie coś o tej niezwyklej kobiecie, która mieszka w hotelu.

– Słyszałam, że w budynku numer cztery mają taką dziwną osobę. Chyba mieszka tu już od paru tygodni, ale nie wiem dokładnie. Jutro na zebraniu, kiedy skończy się zmiana, zapytam kierowniczkę.

– Dziękuję pani. Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

– To pani naraża się na kłopoty dla swoich słuchaczy, a ilu z nich ma okazję osobiście się pani odwdzięczyć?

Chińczycy mówią, że należy bać się rąk mężczyzny i słów kobiety. Najwyraźniej jednak ze strony tej osoby mogłam liczyć na łagodniejsze traktowanie.

Kiedy zostałam sama w pokoju, postanowiłam nie kłaść się jeszcze spać, lecz najpierw się wykapać, a potem zaplanować wywiady na następny dzień. Ledwie się rozebrałam, zadzwonił telefon.

– Halo, czy to pani Xinran? Jestem operatorką centrali. Recepcjonistka z głównego gmachu powiedziała mi, że właśnie pani przyjechała. Przepraszam, że przeszkadzam, ale podobno pytała pani o pewnego gościa. Ta pani dzwoniła do mnie wieczorem, niedługo po pani audycji, i pytała, czy słuchałam. Odpowiedziałam, że tak, i spytałam, czy czegoś potrzebuje, ale odłożyła słuchawkę. Z dyżurki widać okno jej pokoju. W tym tygodniu pracuję na nocną zmianę i widuję ją, jak siedzi całymi nocami przy oknie, patrząc na jezioro. Może sypia w dzień?

– Przepraszam, mogę pani przerwać? Czy widzi ją pani teraz? Czy teraz też patrzy na jezioro?

– Hmm... właśnie patrzę. Tak, widzę ją... Bardzo wyraźnie – zdaje się, że nigdy nie zaciąga zasłon.

– Bardzo pani dziękuję. Czy mogę spytać o numer jej pokoju?

– Mieszka pod 4209, na drugim piętrze budynku numer cztery.

– Dziękuję bardzo. Czy mogłabym coś dla pani zrobić?

– Nie, nic... A czy mogłabym prosić o pani autograf?

– Oczywiście, może jutro uda mi się wpaść do pani. Dobrze?

– Och, naprawdę? To by było wspaniale. Do widzenia pani.

– Do widzenia.

Rozmawiając, zaczęłam się z powrotem ubierać, postanowiłam bowiem odwiedzić tę panią od razu – czas jest bardzo cenny.

Stojąc pod drzwiami jej pokoju, nagle poczułam się zbита z tropu i ościagałam się kilka minut, zanim wreszcie zapukałam i zawołałam:

– Halo, tu Xinran, ta z drugiego końca linii telefonicznej. Przyszłam się z panią zobaczyć. Proszę otworzyć.

Nie było odpowiedzi. Drzwi pozostały zamknięte. Nie zapukałam ponownie, tylko czekałam w milczeniu, pewna, że usłyszała mnie w ciszy wczesnego poranka. Z pewnością stała tuż za drzwiami, czułyśmy nawzajem swoją obecność. Po około dziesięciu minutach zza drzwi dobiegł głos:

– Xinran, jest pani tam?

– Tak, czekam, aż pani mi otworzy – odparłam łagodnie, lecz zdecydowanie.

Drzwi otwarły się cicho. Nerwowa, zmęczona kobieta zaprosiła mnie do środka. W pokoju panowała czystość i porządek. O tym, że jest zajęty, świadczyła jedynie duża torba podróżna stojąca pod ścianą. Z ulgą zauważyłam w niej paczki z makaronem instant – jej właścicielka przynajmniej nie głoduje.

Usiadłam obok niej w milczeniu, czując, że słowa napotkają tylko opór. Poczekam, aż zacznie mówić, a zanim

będzie do tego gotowa, postaram się stworzyć atmosferę zaufania. Siedziałyśmy tak, wsłuchując się w łagodny plusk wody uderzającej o brzeg. Moje myśli zaczęły krążyć wokół jeziora i jego otoczenia.

Taihu jest trzecim co do wielkości jeziorem w Chinach. Leży na południe od prowincji Jiangsu, na północ od Zhejiangu, i jest znaną atrakcją turystyczną delty Jangcy. Otaaczają je ogrody, pełne stawków i strumieni. Taihu jest znane także z produkowanej w okolicy herbaty Źródło Biluo. Według legendy piękna dziewczyna imieniem Biluo podlewała sadzonkę własną krwią, a z jej delikatnych listków parzyła herbatę dla śmiertelnie chorego ukochanego. Czyniła tak dzień po dniu, aż młodzieniec wyzdrowiał, ona zaś zachorowała i umarła.

Siedząc obok kobiety i wsłuchując się w łagodny rytm pluskającej wody, rozmyślałam o tej i innych tragicznych historiach miłosnych. Lampy w pokoju były wciąż zapalone, lecz ich światło ginęło w blasku świtu. Wczesnoporanne słońce nadało naszemu milczeniu nowy smak.

Nagle między nas wdarł się dzwonek telefonu. Była już za piętnaście siódma i kierowca miał zawieźć mnie do Wuxi na spotkanie w biurze propagandowym policji drogowej o ósmej trzydzieści.

Podaliśmy kobiecie rękę na pożegnanie, ale powiedziałam tylko: „Niech pani zje trochę więcej i odpocznie, proszę zrobić to dla mnie”.

Po drodze do Wuxi zasnąłam na tylnym siedzeniu samochodu. Mój życzliwy kierowca nie obudził mnie, kiedy dotarliśmy na miejsce, tylko zaparkował i sam poszedł szukać ludzi z biura propagandy. Nikogo jeszcze nie było w pracy, więc zyskałam całą godzinę spokojnego snu. Kiedy się obudziłam, okazało się, że ludzie, z którymi miałam się spo-

tkać, stali obok samochodu, gawędząc i czekając na mnie. Byłam zażenowana i nie miałam żadnego usprawiedliwienia. Jeden z policjantów zażartował:

– Pani Xinran, jeśli będzie pani zawsze zasypiać w drodze, roztyje się pani!

Dzień mijał w szalonym tempie, jak to w pracy dziennikarza: zbierałam materiały w kilku różnych miejscach i dyskutowałam o swoim reportażu. Na szczęście sporo czasu spędziłam w samochodzie, więc udało mi się wyrwać kilka drzemek.

Kiedy wieczorem wróciłam do hotelu, znalazłam na łóżku listę jego pracowników, którzy prosili mnie o autografy. Odłożyłam ją, wzięłam prysznic i poszłam odwiedzić kobietę w pokoju 4209. Nawet jeśli nadal nie będzie chętna do rozmowy, miałam nadzieję, że przynajmniej będąc przy niej, okażę się pomocna. Musiała stać za drzwiami i czekać na mnie, bo otworzyły się dokładnie w momencie, gdy się zatrzymałam.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie z pewnym wysiłkiem, lecz milczała dalej. Znowu usiadłyśmy przy oknie, spoglądając na oświetlone księżycem jezioro. Było nieruchome, a my dotrzymywałyśmy sobie towarzystwa w tej spokojnej atmosferze.

O świcie dałam do zrozumienia, że muszę iść do pracy. Kobieta uścisnęła mi dłoń słabo, lecz z uczuciem. Wróciłam do pokoju, pospiesznie przekartkowałam notatki, które ze sobą przywiozłam, i napisałam podziękowanie dla operatorki centrali. Nabrałam zwyczaju wożenia ze sobą wizytówek, żeby móc rozdawać autografy chętnym słuchaczom, których przypadkiem spotykałam na swojej drodze. Podpisałam kilka z nich dla pracownic hotelu i zostawiłam je dyżurnej pokojowce na piętrze.

Mój krótki pobyt zaczął upływać w stałym rytmie: w ciągu dnia przeprowadzałam wywiady w Wuxi, a noce spędzałam w milczeniu, patrząc na jezioro w towarzystwie tamtej kobiety. Dzień po dniu nasze wspólne milczenie zyskiwało coraz więcej głębi i ładunku emocjonalnego.

Ostatniego wieczoru powiedziała mojej towarzyszce, że jutro wyjeżdżam, ale będę do niej dzwonić. Nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się blado i słabo uściśnięła mi dłoń. Dała mi połowę przedartej fotografii zrobionej w czasach studenckich, w latach czterdziestych. Dziewczyna na zdjęciu promieniowała młodością i szczęściem. Z tyłu widniała wyblakła część napisu: „Woda nie może...”, a obok zdanie, które wyglądało na dopisane później: „Kobieta jest jak woda, mężczyzna jak góra”. Domyślałam się, że osoba na brakującej połówce fotografii jest przyczyną cierpienia mojej znajomej.

Wyprowadziłam się z hotelu nad jeziorem Taihu, lecz wcale nie czułam, że go opuszczam.

Po powrocie do Nankinu pojechałam prosto do rodziców, żeby zawieźć im specjalności miasta Wuxi, które dla nich kupiłam: słynne tamtejsze żeberka oraz gliniane figurki. Kiedy kierowca otwierał mi drzwi, oświadczył:

– Pani Xinran, jeśli będzie się pani wybierała w następną podróż, proszę nie przychodzić do mnie. Umierałem z nudów w tym samochodzie, bo pani ciągle spała. Przez panią nie miałem do kogo gęby otworzyć!

Kiedy dojechałam do rodziców, było już późno i oboje poszli już spać. Postanowiłam tylko wśliznąć się do gościnnego pokoju i zobaczyć się z nimi rano. Mama zawołała z sypialni:

„Wszystko dobrze?”, a donośne chrapanie ojca upewniło mnie, że u nich też wszystko w porządku.

Nazajutrz o świcie mój ojciec, który jest „skowronkiem”, obudził mnie jak zwykle atakiem kichania. Tak było każdego ranka – pewnego razu naliczyłam dwadzieścia cztery kichnięcia pod rząd. Niewyspana i zmęczona zasnąłam z powrotem, lecz wkrótce obudziło mnie głośne pukanie do drzwi i wołanie ojca:

– Wstawaj szybko, to pilne!

– Co jest? Co się stało? – Denerwowałam się, bo w domu moich rodziców emerytów zawsze panował błogi spokój.

Ojciec stał za drzwiami sypialni, trzymając w ręku połowę przedartej fotografii. Zostawiłam ją wieczorem na stole w salonie.

– Skąd masz to zdjęcie? – dopytywał się podekscytowany. – To ona!

– Co? Jaka ona?

– Jingyi, ta moja koleżanka. Ta, która czterdzieści pięć lat czekała na ukochanego! – Ojciec był zniecierpliwiony moją niedomyślnością.

– Naprawdę? Jesteś pewien, że to ta sama osoba? A może wzrok cię zawodzi? To już czterdzieści pięć lat, a fotografia jest stara. – Nie mogłam mu uwierzyć.

– Na pewno się nie mylę. Była najładniejsza w grupie, wszystkim chłopakom się podobała, wielu się do niej zalecało.

– Ty też?

– Cicho! Mów ciszej. Jeśli matka usłyszy, zaraz przyjdą jej jakieś głupstwa do głowy. Szczerze mówiąc, podobała mi się, ale dla mnie to za wysokie progi – powiedział ojciec, zmieszany.

– Niemożliwe! Zawsze się przechwalałeś, jakim to byłeś przystojniakiem za młodu – żartowałam, pakując bagaże.

– Już wyjeżdżasz? Dlaczego? – spytał ojciec, przyglądając mi się.

– Jadę zaraz z powrotem do Wuxi. Tyle czasu starałam się ją odnaleźć, aż w końcu, czystym przypadkiem, udało się!

– Gdybym wiedział, wcale bym cię nie budził – odparł ojciec z żalem.

Jeden z szefów rozgłośni mieszkał w pobliżu moich rodziców, toteż popędziłam do niego, żeby poprosić o nieplanowany urlop. Skłamałam, że odwiedziła mnie krewna i potrzebuję paru dni, żeby ją oprowadzić po okolicy. Nie znoszę kłamać, ponieważ wierzę, że kłamstwo skracca życie, ale obawa przed powiedzeniem szefowi prawdy przeważyła. Otrzymawszy jego pozwolenie, zadzwoniłam do mojej zastępczyni, żeby popracowała za mnie jeszcze przez kilka dni.

Spóźniłam się na południowy pociąg do Wuxi i musiałam czekać aż do wieczora, niespokojna i niecierpliwa, a pytania o Jingyi kłębiły mi się pod czaszką. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Mniej więcej w porze, gdy zaczynała się moja audycja, czyli około dziesiątej wieczorem, wróciłam do hotelu nad jeziorem Taihu. Recepcjonistka poznała mnie i zagadnęła:

– To pani w końcu nie wyjechała?

– Zgadza się – odparłam, nie chcąc tracić czasu na wyjaśnienia.

Kiedy stanęłam pod drzwiami pokoju 4209, pytania, których miałam pełną głowę, nagle zniknęły i znowu zaczęłam się wahać. Podnosiłam i opuszczałam rękę dwa razy, zanim w końcu zapukałam.

– Jingyi, to ja, Xinran! – zawołałam. Chciało mi się płakać. Siedziałam przy niej tyle nocy, nie mając o niczym pojęcia. Wyobraziłam sobie ją siedzącą w milczeniu przez czterdzieści pięć lat i serce mi się ścisnęło.

Zanim się pozbierałam, drzwi się otwały.

Jingyi stanęła jak wryta, po czym spytała:

– To pani nie wyjechała? Skąd pani wie, jak się nazywam?

Zaciągnęłam ją z powrotem do okna, ale tym razem już nie milczałam. Opowiedziałam spokojnie, czego się o niej dowiedziałam od ojca. Jingyi płakała, słuchając mnie, nie próbowała nawet ocierać łez. Aż krztusiłam się od pytań, ale udało mi się zadać tylko jedno:

– Czy myśli pani wciąż o Gu Da?

Zemdląła.

Okropnie się wystraszyłam i zadzwoniłam do centrali, żeby wezwali pogotowie. Telefonistka była niezdecydowana.

– Pani Xinran, jest środek nocy...

– Umierającym ludziom jest wszystko jedno, czy jest dzień, czy noc. Chce pani, żeby ta kobieta umarła na pani oczach? – spytałam wzburzona.

– Dobrze, niech się pani nie martwi, zaraz zadzwonię.

Telefonistka była bardzo sprawna. Po niedługim czasie usłyszałam krzyk na korytarzu:

– Gdzie jest Xinran?

– Tu jestem! – odpowiedziałam czym prędzej.

Kierowca karetki na mój widok stanął jak wryta.

– To pani jest Xinran? Ale pani nic nie dolega!

– Zgadza się, nic mi nie jest. – Zdziwiłam się, ale domyśliłam się, że operatorka centrali skorzystała z tego, że jestem osobą znaną, by jak najszybciej wezwać karetkę.

Towarzyszyłam Jingyi w drodze do szpitala wojskowego. Personel nie pozwolił, bym była obecna przy badaniu, mogłam tylko zerkać na nią przez małe okienko w drzwiach. Leżała nieruchomo pośród szpitalnej bieli, a ja martwiłam się coraz bardziej, wyobrażając sobie najgorsze. Nie mogłam powstrzymać płaczącego okrzyku:

– Jingyi! Niech się pani obudzi!

Lekarz poklepał mnie po ramieniu.

– Niech się pani nie martwi, nic jej nie jest. Jest zwyczajnie osłabiona. Wygląda na to, że przeżyła duży wstrząs, ale badania funkcji życiowych nie wykazują żadnego pogorszenia. Jak na swój wiek jest w dobrej kondycji. Na późniejszej diecie dojdzie do siebie.

Słuchając tych prognoz, uspokajałam się, lecz wciąż dotkliwie odczuwałam cierpienie Jingyi.

– Tyle wycierpiała – mamrotałam bezradnie do lekarza. – Nie wiem, jak ona przeżyła tych ponad piętnaście tysięcy nocy...

Doktor pozwolił mi położyć się w dyżurce. Kłębiło mi się w głowie mnóstwo chaotycznych myśli, w końcu ze znużenia zapadłam w sen. Śniły mi się płaczące i szamoczące się kobiety i obudziłam się zmęczona.

Następnego dnia cztery czy pięć razy odwiedzałam Jingyi, ale cały czas spała. Lekarz powiedział, że będzie tak spać przez kilka dni, ponieważ jest bardzo wyczerpana.

Wynajęłam łóżko w dużej sali w szpitalnym domu gościnnym. Nie było mnie stać na osobny pokój, a poza tym i tak prawie z niego nie korzystałam. Nie chcąc, by Jingyi zostawała sama, czuwałam nocą przy jej łóżku, a w ciągu dnia trochę drzemałam. Przez kilka kolejnych dni była nieprzytomna i nie poruszała się, z wyjątkiem nieznacznych drgań powiek.

Piątego dnia o świcie nareszcie odzyskała przytomność. Nie zdawała sobie sprawy, gdzie się znajduje, i z wysiłkiem próbowała coś powiedzieć. Przyłożyłam jej palec do ust i spokojnie opowiedziałam, co się wydarzyło. Słuchając, chwyciła mnie za rękę gestem wdzięczności i udało jej się wypowiedzieć pierwsze słowa:

– Co słyhać u pani ojca?

Tego wieczoru tama została przerwana i opowieść leżącej w bieli szpitalnych poduszek Jingyi popłynęła swobodnie. Mówiła spokojnym, równym głosem.

W 1946 roku Jingyi zdała egzaminy wstępne na Uniwersytet Qinghua. Pierwszego dnia rejestracji po raz pierwszy zobaczyła Gu Da. Nie wyróżniał się spośród innych studentów ani urodą, ani zdolnościami. Kiedy zobaczyła go wtedy pierwszy raz, w milczeniu pomagał innym nosić bagaże i wyglądał jak uniwersytecki tragarz. Jingyi i Gu Da trafili do tej samej grupy, gdzie wielu młodych ludzi zabiegało o jej względy, zachwyconych jej urodą i ujmującym charakterem. Gu Da wręcz przeciwnie – często siadywał samotnie w kącie sali wykładowej albo zaszywał się daleko w ogrodzie i czytał. Jingyi odnotowała tylko, że jest mołem ksiązkowym, i nie zwracała na niego uwagi.

Była wesołą dziewczyną i miała ciekawe pomysły na różne zabawy. Pewnego słonecznego zimowego dnia, po dużej śnieżycy, kiedy studenci wybiegli radośnie na dwór lepić bałwana, zaproponowała, żeby ulepić dwa i zrobić im nosy z kandyzowanych owoców głógu. Podzieliwszy się na dwie grupy, męską i żeńską, wszyscy mieli całować bałwany z zawiązanymi oczyma. Szczęśliwcom uda się zjeść owoc, a pozostali najedzą się śniegu.

W tamtych czasach transport publiczny czy rowery nie były powszechne. Jedynym sposobem, by zdobyć kandyzowany głóg do tej gry, była kilkugodzinna wędrówka w śniegu do centrum Pekinu, zwanego wtedy Beipingiem. Studenci, którzy zazwyczaj starali się zwrócić na siebie uwagę Jingyi, nie kwapili się wcale do tego przedsięwzięcia. Kilku po cichu wymknęło się do akademika. Jingyi była zawiedziona ich brakiem entuzjazmu, ale nie nalegała.

Następnego dnia spadło jeszcze więcej śniegu, przykrywając ziemię grubą warstwą, i większość studentów spędziła dzień na czytaniu w sali wykładowej. Mniej więcej w połowie wieczornego czasu przeznaczanego na samodzielną naukę w słabym świetle lamp do sali wszedł oszroniony młody mężczyzna. Podeszedł do Jingyi i z pewnym wysiłkiem wyciągnął z kieszeni dwa patyczki z nabitymi na nie kandyzowanymi owocami głógu, specjalnością Beipingu. Były zamrożone na kość. Zanim ktokolwiek rozpoznał tego człowieka śniegu, mężczyzna odwrócił się i wyszedł.

Zdumiona Jingyi rozpoznała Gu Da. Kiedy jej zachwycone koleżanki trajkotały o tym, jak następnego dnia zagrają w wymyśloną przez nią grę, stała rozkojarzona, spoglądając to na głóg, to na padający za oknem biały puch i wyobrażała sobie Gu Da maszerującego pośród śnieżycy.

Gu Da nie wziął udziału w zabawie. Koledzy z akademika mówili, że śpi jak zabity, jakby wypił jakiś magiczny napój. Jingyi zaniepokoiła się, że rozchorował się z wyczerpania. W czasie wieczornej nauki odetchnęła jednak z ulgą, widząc, jak siada w kącie i jak zwykle zabiera się do czytania. Gdy Jingyi skończyła się uczyć, zatrzymała się po drodze do wyjścia i podziękowała mu. Gu Da uśmiechnął się nieśmiało i rzekł: „Drobiazg, w końcu jestem facetem”.

Niewymuszona odpowiedź Gu Da poruszyła Jingyi. Po raz pierwszy w życiu miała okazję odczuć męską siłę i hart. Poczuli się jak bohaterka jakiejś powieści i całą noc rozmyślała, nie mogąc zasnąć.

Zaczęła się bacznie przyglądać Gu Da. Jego małowówność sprawiała, że snuła najróżniejsze domysły i bez końca roztrząsała jego zachowanie. Oprócz momentu, gdy przyniósł jej kandyzowany głóg, Gu Da wydawał się zupełnie nią niezainteresowany, w przeciwieństwie do innych młodych mężczyzn, którzy o nią zabiegali. Zapragnęła, by zwrócił

na nią uwagę, i szukała pretekstów do nawiązania rozmowy. Odpowiadał obojętnie, nie przejawiając większego zaangażowania ani w słowach, ani w sposobie mówienia. Zamiast ją zniechęcić, jego rezerwa tylko rozbudzała nadzieje Jingyi.

Upodobanie Jingyi do Gu Da drażniło wielu jej zalotników. Żartowali sobie z jego drętwej pozy, nazywając go żabą marzącą o pocałunku księżniczki i oskarżając o zabawę uczuciami Jingyi. Nie wygłaszali tych uwag w obecności Jingyi, lecz koleżanka o wszystkim jej opowiedziała, komentując: „Ten Gu Da musi być prawdziwym sztywniakiem. Powiedział tylko: Ci, których to dotyczy, wiedzą, co jest prawdą, a co kłamstwem”.

Jingyi podziwiała obojętność Gu Da wobec drwin kolegów, czując, że tak właśnie powinien się zachowywać prawdziwy mężczyzna. Jednocześnie nie mogła powstrzymać zniecierpliwienia, że Gu Da tak długo zachowuje wobec niej chłodną rezerwę.

Tuż przed sesją egzaminacyjną przez dwa dni z rzędu Gu Da nie przyszedł na wykłady. Jego współlokatorzy twierdzili, że śpi. Jingyi nie wierzyła w ten sen, ale nie mogła go odwiedzić, ponieważ nie miała wstępu do męskiego akademika. Na trzeci dzień jednak wymknęła się z sali, podczas gdy inni byli zajęci nauką, i poszła do niego. Otworzyła cicho drzwi i zobaczyła śpiącego Gu Da. Miał mocno zarumienioną twarz. Kiedy ostrożnie ujęła jego dłoń, by schować ją pod kołdrę, okazało się, że jest rozpalona. Mimo że były to czasy, gdy jakkolwiek kontakt fizyczny między mężczyzną a kobietą niebędącymi małżeństwem był nie do pomyślenia, bez wahania dotknęła jego głowy i twarzy. Okazały się równie gorące. Jingyi zawołała go po imieniu, ale Gu Da nie odpowiedział.

Jingyi pobiegła z powrotem do sali, wołając o pomoc. Koledzy, zaalarmowani jej paniką, rozbiegli się we wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś wykładowcy albo lekarza. Lekarz stwierdził potem, że Gu Da miał szczęście, że znaleziono go w porę: kolejne pół dnia bez pomocy lekarskiej skończyłoby się zgonem na ostre zapalenie płuc. W tamtych czasach na terenie Uniwersytetu Qinghua nie było przychodni lekarskiej. Lekarz przepisał kilkanaście dawek ziół i zalecił, by ktoś z rodziny troskliwie zajął się pacjentem, aplikował mu chłodne kompresy i nacierał lodem dłonie i stopy.

Gu Da nigdy nie wspominał o żadnych krewnych czy przyjaciółach w Beipingu. Pochodził z południowych Chin, lecz kolej była wtedy odcięta, toteż kontakt z jego rodziną był niemożliwy. Tak czy owak i tak nie byliby w stanie przybyć na czas i pielęgnować go w najcięższym stadium choroby. Lekarz, zbierając się do wyjścia, był w prawdziwej rozterce: nie miał pewności, czy Gu Da przeżyje pod opieką tych niedoświadczonych młodych ludzi. W środku burzliwej dyskusji między studentami Jingyi podeszła do doktora i powiedziała cicho: „Ja się nim zajmę. Gu Da jest moim narzeczonym”.

Dziekan był życzliwym człowiekiem. Zorganizował przeprowadzkę chłopców, którzy mieszkali z Gu Da, do innego pokoju, by zapewnić Gu Da spokój oraz opiekę Jingyi w ciągu dnia. Nie wolno jej było jednak tam spać.

Przez ponad dziesięć dni Jingyi przykładła do czoła Gu Da chłodne kompresy, myła go i karmiła, przyrządzała mu ziołowy napar. Światło paliło się w pokoju Gu Da przez całą noc. W akademiku rozchodził się gorzki zapach chińskich ziół i słabe echo głosu Jingyi, która śpiewała mu południowo-chińskie piosenki, z nadzieją, że melodie z rodzinnych stron przywrócą go do życia. Koleżanki i koledzy, złasz-

cza chłopcy, wzdychali na myśl o subtelnej Jingyi niestrudzenie pielęgnowanej Gu Da.

Pod troskliwą opieką Jingyi Gu Da wyzdrowiał. Lekarz stwierdził, że cudem wyrwał się śmierci.

Miłość obojga została przypieczętowana: po ofiarach, jakie ponieśli, nikt już nie miał żadnych wątpliwości. Mimo to niektórzy komentowali na boku, że wydać Jingyi za Gu Da to jak wrzucić świeży kwiat w krowie łajno.

W ciągu kolejnych czterech lat studiów Jingyi i Gu Da wspierali się wzajemnie w nauce i w życiu codziennym. Każdy mijający dzień był dowodem ich miłości – dla obojga była pierwsza, a siła tego uczucia nie słabła nawet przez chwilę. Zaangażowani ideologicznie, razem wstąpili do podziemnej Partii Komunistycznej i marzyli o nadejściu nowej ery i nowego życia, wyobrażali sobie swoje przyszłe dzieci i planowali złote gody.

Ukończenie studiów zbiegło się z powstaniem nowego państwa chińskiego, a ich nowy status polityczny sprawiał, że oboje byli powszechnie szanowani. Armia zaprosiła ich niezależnie na rozmowy kwalifikacyjne. Oboje studiowali mechanikę, a nowo narodzona ojczyzna potrzebowała ich wiedzy do wykorzystania w obronności. To były poważne czasy: wszelkie działania przenikało poczucie misji, wszystko przebiegało tak szybko. Doświadczenia Jingyi i Gu Da w podziemnej działalności partyjnej nauczyły ich, że mają obowiązek przyjąć każde zadanie i doprowadzić je do końca. Musieli być bezwarunkowo gotowi nawet na rozstanie.

Jingyi została wydelegowana do bazy wojskowej na północnym wschodzie, a Gu Da do jednostki w Mandżurii. Zanim się rozstali, zaplanowali spotkanie w ogrodach Uniwersytetu Qinghua: tam opowiedzą sobie nawzajem, co osiągnęli, a potem wybiorą się do centrum Pekinu na

kandyzowany głóg. Potem wystarają się w partii o pozwolenie na małżeństwo, pojedą do rodzinnego domu Gu Da nad jeziorem Taihu na południu i tam zamieszkają i założą rodzinę. Taki scenariusz zapisał się na trwałe w umyśle Jingyi.

Wbrew wszelkim planom przez cały kolejny rok po wybuchu wojny koreańskiej nie wolno było im opuszczać jednostek, do których byli przypisani. W trzecim roku po rozstaniu Jingyi została tymczasowo przeniesiona do specjalnego wojskowego instytutu badań i rozwoju w środkowych Chinach, bez pozwolenia na wizyty przyjaciół ani rodziny. W czwartym roku osobnego życia Gu Da został przeniesiony do bazy lotniczej we wschodniej części kraju. Zmieniające się adresy na listach miłosnych dowodziły, że Jingyi i Gu Da byli niezastąpieni w budowaniu nowych Chin i krajowego przemysłu wojskowego.

Niechęć do rezygnacji z planów wspólnego życia była oczywista, ale coraz trudniej było im zorganizować jakiegokolwiek spotkanie. Służba partii była przyczyną odkładania zaplanowanych spotkań w nieskończoność, często też zakłócała ich korespondencję. W czasie politycznego chaosu pod koniec lat pięćdziesiątych Jingyi poddano przesłuchaniom w związku z jej niepewnym pochodzeniem, a następnie wysłano na wieś do prowincji Shaanxi na „reedukację”. W tamtych czasach nawet budowa obronności narodowej była czymś drugorzędnym wobec walki klas. Jingyi straciła wolność osobistą, nie mogła korespondować ani podróżować. Odchodziła od zmysłów z tęsknoty, a chłopci, którzy nadzorowali jej „reedukację”, nie chcieli jej pomóc. Nie wolno im było sprzeciwiać się rozkazom przewodniczącego Mao i pozwolić jej wyjechać: mogłaby przecież zostać szpiegiem albo wejść w komitwę z kontrrewolucjonistami. Później pewien szczerzy funkcjonariusz partyjny zas-

gerował jej wyjście z sytuacji: może zmienić swój status i odzyskać wolność, wychodząc za mąż za chłopca. Wciąż zakochana w Gu Da, Jingyi nie mogła tego zaakceptować.

Spędziła dziewięć lat, pracując fizycznie na wsi. Przez wioskę przepływał strumień, niezbędne źródło wody. Jego brzegi były nieoficjalnym miejscem spotkań, gdzie wymieniano wieści i plotki z dalszych rejonów. Jingyi traktowała go jako środek łączności z Gu Da. Prawie co wieczór siadywała nad strumieniem i po cichu wypowiadała słowa tęsknoty, z nadzieją, że rwący nurt zanieśnie je ukochanemu. Niestety strumień nigdy nie przyniósł jej żadnych wieści.

Z upływem lat Jingyi przestała być dla wieśniaków kimś szczególnym. Wyglądała jak zwykła chłopka, różniła się od innych tylko tym, że była jedyną niezamężną kobietą w swoim wieku.

Pod koniec lat sześćdziesiątych do wsi przybył urzędnik powiatowy, by przekazać Jingyi polecenie władz dotyczące przeniesienia. Aktualne dyrektywy brzmiały: „Chwytać rewolucję i dalej rozwijać produkcję”. Rozpoczęła się kampania antysowiecka.

Po powrocie do swojej bazy wojskowej Jingyi zabrała się za dwie rzeczy. Po pierwsze musiała udowodnić, że wcale się nie zmieniła. Lata pracy na roli postarzyły ją i bardzo zmieniły jej wygląd. Koledzy bali się ją przyjąć i nie mogli uwierzyć, że nie utraciła dawnych zdolności. Kazali jej przeprowadzać różne testy i eksperymenty, analizować problemy i opisywać dawne wydarzenia. Po tygodniu doszli do wniosku, że poziom jej inteligencji nie spadł.

Po drugie, co było dla niej osobiście ważniejsze, musiała skontaktować się z Gu Da. Koledzy byli wzruszeni jej oddaniem i każdy z nich we własnym zakresie starał się czegoś o nim dowiedzieć. Po trzymiesięcznych poszukiwaniach odkryli tylko tyle, że Gu Da po wybuchu „rewolucji

kulturalnej” został uwięziony jako reakcjonista podejrzany o bycie tajnym agentem Kuomintangu. Wypytywanie we wszystkich możliwych więzieniach, do których mógł zostać wtrącony, przyniosło mało zadowalające rezultaty: Gu Da przez pewien czas przebywał w każdym z tych miejsc, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało potem. Jingyi była zrozpaczona, ale nie zrezygnowała. Póki nie było wieści o śmierci Gu Da, póty miała nadzieję, która nadawała jej życiu sens.

W kolejnych latach „rewolucji kulturalnej” Jingyi miała więcej szczęścia niż większość jej kolegów z pracy i ze studiów. Ze względu na umiejętności zapewniono jej specjalną ochronę. Dowództwo bazy wojskowej zrzeczenie ukrywało ją przed czerwonogwardzistami. Rozumiała niebezpieczeństwo, jakie groziło zwierzchnikom za chowanie jej, i odpłaciła im kilkoma znacznymi osiągnięciami naukowymi.

Nigdy nie zaprzestała poszukiwań Gu Da. Odwiedziła każdą wioskę i miasteczko, w którym mógł kiedykolwiek przebywać, pojechała nawet nad jezioro Taihu, o którym tak marzyli. Dzięki pomocy przyjaciół w ciągu dwóch tygodni objechała dokoła całe jezioro, szukając ukochanego, ale nie było po nim śladu.

W latach osiemdziesiątych, po kampanii „reform i otwarcia”, ludzie wreszcie obudzili się z niekończącego się koszmaru politycznego i chaosu społecznego i odbudowywali wszystko, co zostało zniszczone. Jingyi była jedną z mnóstwa osób, które poszukiwały zaginionych krewnych i przyjaciół, pisząc listy, telefonując i wypytując. Gorliwość jej poszukiwań często była dla innych niezrozumiała, ale w końcu był to jej ukochany, nie ich. „Rewolucja kulturalna” stępiła uczucia wielu ludzi, którzy, nauczeni gorzkim doświadczeniem, przedkładali podstawowe potrzeby

materialne i bezpieczeństwo polityczne nad współczucie i emocje.

W 1994 roku, kiedy Jingyi otrzymała listę uczestników obchodów rocznicy założenia Uniwersytetu Qinghua, gorliwie szukała na niej nazwiska Gu Da. Bezskutecznie. Jadąc do Pekinu, zabrała kilkadziesiąt kopii listu z prośbą o pomoc, zamierzając je rozdać dawnym kolegom.

Pierwszego dnia obchodów na kampusie Qinghua zebrali się ludzie ze wszystkich stron Chin. Młodszy witali się z entuzjazmem. Upływ czasu jeszcze ich nie zmienił. Starsi byli ostrożniejsi: większość z nich dopiero po wejściu do sali wyznaczonej dla ich rocznika i grupy zaczynała rozpoznawać dawnych kolegów.

Nikt nie poznał Jingyi w początkowym ścisku, jej także nie udało się nikogo zidentyfikować. Ktoś z personelu uniwersytetu skierował ją do sali przypisanej do jej rocznika i grupy. Wchodząc, zobaczyła mężczyznę odwróconego do niej plecami. Jego sylwetka na zawsze pozostanie jej znana, bez względu na upływ czasu – był to Gu Da. Jingyi była wstrząśnięta. Zaczęła drżeć, tętno waliło jej jak szalone i zrobiło jej się słabo. Młody człowiek przytrzymał ją pod ramię i zapytał troskliwie, co się stało. Czy uskarża się na serce? Nie była w stanie wydobyć słowa – zrobiła tylko gest ręką, dając mu do zrozumienia, że nic jej nie jest, pokazując jednocześnie w kierunku Gu Da.

Zmusiła się do zrobienia kilku kroków w jego kierunku, lecz jej serce było tak wzburzone, że ledwie mogła się poruszać. Zanim zdążyła go zagadnąć, usłyszała jego głos:

– To moja żona Lin Zhen, moja najstarsza córka Nianhua, druga córka Jinghua i trzecia córka Yihua. Właśnie przyjechalśmy...

Jingyi stanęła jak wryta.

W tym momencie Gu Da odwrócił się i oniemiał na jej widok. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Zaniepokojona żona spytała, co się stało, a on odpowiedział jej drżącym głosem:

– To jest... Jingyi.

– Jingyi? To niemożliwe... – Najwidoczniej już kiedyś słyszała to imię.

Troje starszych ludzi milczało przez kilka chwil, zmagając się z gwałtownymi uczuciami. W końcu żona Gu Da ze łzami w oczach powiedziała Jingyi, że wzięli ślub dopiero po usłyszeniu wiadomości o jej śmierci. Potem chciała zostawić ją i Gu Da samych, lecz Jingyi zatrzymała ją.

– Niech pani nie odchodzi. To wszystko działo się w przeszłości, kiedy byliśmy młodzi, ale teraz jesteście rodziną. Nie chciałabym, żeby tej rodzinie stała się jakaś krzywda. Świadomość, że Gu Da jest szczęśliwy, będzie dla mnie największym pocieszeniem.

Jingyi nie mówiła prawdy, lecz jej słowa brzmiały szczerze.

Kiedy najmłodsza córka usłyszała imię Jingyi, powiedziała:

– Pierwsze znaki naszych imion, mojego i sióstr, układają się w zdanie „Nian jing yi”, czyli „Na pamiątkę Jingyi”. Moi rodzice mówią, że to dla uczczenia pani pamięci. „Rewolucja kulturalna” zamieniła życie wielu ludzi w chaos. Proszę postarać się wybaczyć moim rodzicom.

Jingyi nagle poczuła się spokojniejsza. Znalazła w sobie siłę, by wstać, podać rękę żonie Gu Da i oświadczyć:

– Dziękuję za pamięć o mnie i za to, że dała mi pani szczęśliwą rodzinę. Od dziś będę spokojniejsza, bo będę miała jedno zmartwienie mniej. A teraz chodźmy na spotkanie.

Na sygnał Jingyi wszyscy skierowali się w stronę sali konferencyjnej. Kiedy usiedli na swoich miejscach, Jingyi wymknęła się i wróciła do hotelu, gdzie spaliła wszystkie listy z prośbą o pomoc, które ze sobą zabrała. Wraz z nimi jej długo pielęgnowane nadzieje i chwilowy spokój zamieniły się w popiół.

Po kilku dniach zdobyła się na telefon do swojego zakładu pracy i poprosiła o przedłużenie urlopu. Kolega poinformował ją, że przyszedł do niej telegram od kogoś nazwiskiem Gu Jian, z prośbą o pilny kontakt. Jingyi rozumiała, że z nieznanых jej powodów Gu Da zmienił nazwisko na Gu Jian – to dlatego jej poszukiwania były bezowocne.

Jingyi wsiadła w pociąg na południe, nad jezioro Taihu. Chciała znaleźć sobie dom, taki jak ten, o jakim marzyli niegdyś z Gu Da, nie miała jednak ani dość siły, ani pieniędzy, zamieszkała więc w hotelu nad jeziorem. Nie chciała się z nikim widzieć. Żywiąc się wyłącznie makaronem instant zalewanym wrzątkiem, spędzała całe dnie i noce na rozmyślaniach.

Jingyi prawie skończyła swoją opowieść. Słabym ruchem dłoni narysowała w powietrzu krąg.

– Przez czterdzieści pięć lat nieustannej tęsknoty wylałam całe jezioro łez. Codziennie czekałam nad tym jeziorem, z wiarą i miłością. Wierzyłam, że mój ukochany wyłoni się z niego i weźmie mnie w ramiona – lecz gdy w końcu go ujrzałam, u jego boku stała inna kobieta. Ich kroki zmały gładką powierzchnię jeziora. Fale zakłóciły odbicie słońca i księżyca – moja nadzieja odeszła.

Żeby żyć dalej, muszę porzucić Gu Da i swoje uczucia. Miałam nadzieję, że jezioro Taihu mi w tym pomoże, ale nie jest łatwo przekreślić czterdzieści pięć lat...

Przysłuchiwałam się pustce w głosie Jingyi, smutna i bezradna. Nawet najgłębsze współczucie nie wydawało się wystarczające.

Musiałam wrócić do Pan Pana i do pracy, ale nie chciałam zostawić Jingyi samej, więc wieczorem zadzwoniłam do ojca z pytaniem, czy oboje z matką nie przyjechaliby do Wuxi, żeby dotrzymać Jingyi towarzystwa przez kilka dni. Przyjechali nazajutrz. Odprowadzając mnie do wyjścia ze szpitala, moja matka powiedziała:

– W młodości Jingyi musiała być bardzo piękna.

Po tygodniu rodzice wrócili do Nankinu. Ojciec powiedział, że za zgodą Jingyi skontaktował się z jej zakładem pracy. Szukali jej i gdy dowiedzieli się o wszystkim, wysłali kogoś do Wuxi, żeby się nią zajął. Ojciec mówił też, że bez jej wiedzy opowiedział jej koledze w zarysie całą historię, a ten szorstki mężczyzna wzruszył się i z łkaniem odrzekł: „Wszyscy wiemy, jak Jingyi cierpiała, szukając narzeczonego, ale nikt nie jest w stanie w pełni zrozumieć głębi jej uczucia”.

Ojciec dowiedział się, dlaczego Gu Da zmienił tożsamość i opowiedział o wszystkim Jingyi. Dowódca czerwonogwardzistów w drugim z kolei więzieniu, w którym przebywał, nazywał się dokładnie tak samo, więc Gu Da został zmuszony do zmiany. Czerwonogwardziści zmienili jego nazwisko na Gu Jian we wszystkich dokumentach, choć nie mieli do tego prawa. Gu Jian starał się u władz lokalnych o przywrócenie starego imienia, ale w odpowiedzi usłyszał tylko: „W czasie «rewolucji kulturalnej» popełniono tak wiele błędów, któż może je wszystkie naprawić?” Później ktoś poinformował Gu Da, że Jingyi, której poszukiwał od lat, dwadzieścia lat wcześniej zginęła w wypadku samochodowym, toteż postanowił, że imię Gu Da umrze także.

Jingyi mówiła, że kobiety są jak woda, a mężczyźni – jak góry. Czy to dobre porównanie? Zadałam to pytanie swoim słuchaczom i w ciągu tygodnia dostałam prawie dwieście odpowiedzi. Kilkaście pochodziło od moich kolegów. Duży Li napisał: „Chińscy mężczyźni potrzebują kobiet, by ujrzeć w ich oczach swój obraz – tak jak góry odbijają się w powierzchni strumienia. Lecz strumienie spływają z gór. Więc jak to w końcu jest?”

第十一章

11

córka kuomintangowskiego generała

Tematy poruszane w mojej audycji wywoływały niekiedy ożywione dyskusje wśród moich słuchaczy, a w dodatku, ku mojemu zaskoczeniu, następnego dnia koledzy często chcieli te dyskusje kontynuować. Następnego ranka po programie na temat niepełnosprawności, który wywołał szczególnie różnorodne opinie, jechałam windą ze Starym Wu, dyrektorem administracyjnym. Kiedy winda, skrzypiąc i dygocząc, pięła się na szesnaste piętro, skorzystał z okazji i poruszył temat audycji z poprzedniego wieczoru. Był moim wiernym słuchaczem i miał wielką ochotę podzielić się ze mną swoimi poglądami i pomysłami. Byłam miło zaskoczona jego zainteresowaniem. Polityka zdusiła w Chińczykach tak wiele życiowego entuzjazmu, że rzadko spotykało się mężczyzn w średnim wieku, takich jak Stary Wu, którzy wciąż byli ciekawi świata. Rzadko też zdarzało się, by ludzie pracujący w chińskich środkach masowego przekazu oglądali, słuchali bądź czytali medium, w którym sami pracowali: i tak wiedzieli, że wszystkie media są podporządkowane partii.

– Sądzę, że wczoraj poruszyła pani w swoim programie bardzo ciekawy temat – powiedział Stary Wu. – Wszyscy słuchacze zgodzili się, że powinniśmy traktować niepełnosprawnych ze współczuciem i zrozumieniem. Współczucie jest łatwe, ale wydaje mi się, że zrozumienie przedstawia już pewną trudność. Jak wielu ludzi potrafi wykroczyć poza swój „sprawny” punkt widzenia i postawić się w położeniu inwalidy? Poza tym trzeba odróżnić doświadczenia ludzi z wrodzoną niepełnosprawnością od przeżyć tych, którzy utracili sprawność w ciągu życia. Rzecz jasna... Co się dzieje? Czerwona lampka się pali?

Winda szarpnęła i stanęła, paliło się światło alarmowe, ale nikt nie wpadł w panikę – awarie zdarzały się często. Na szczęście winda zatrzymała się raczej na piętrze niż pomiędzy, i nasz pan mechanik (jedna z najbardziej znanych osób w całym budynku) szybko otworzył drzwi. Wysiadając, Stary Wu wypowiedział ostatnie zdanie rozkazującym tonem:

– Pani Xinran, niech pani koniecznie znajdzie chwilę, żeby ze mną pogadać. Niech pani nie myśli tylko o swoich słuchaczach. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – krzyknęłam za nim, kiedy odchodził.

– Xinran, no i co, słyszała pani? – kierownik programowy zagadnął mnie na korytarzu.

– Co miałam słyszeć? Rozmawiałam z dyrektorem Wu – odparłam.

– Myślałam, że słyszała pani o sporze, który wybuchł wczoraj w dziale redakcyjnym, na temat pani programu.

Znając ostre języki moich kolegów, zaczęłam się bronić.

– A o co się spierali? O temat? O coś, co powiedział słuchacz? A może ja coś powiedziałam?

– Klócili się, czy gorzej jest urodzić się inwalidą, czy nim zostać – odparł kierownik i poszedł, nie oglądając się za siebie.

Wyglądało na to, że dział redakcyjny kontynuował wieczorne spory dziś rano. Kiedy weszłam do biura, siedem albo osiem osób dyskutowało z sobą zażarcie. Dołączyło się też dwóch techników. Byli mocno zaangażowani: niektórzy zarumienili się z podniecenia, inni gestykulowali albo postukiwali ołówkami w biurka.

Po tych wszystkich trudnych rozmowach, jakie toczyłam na temat niepełnosprawności z moimi słuchaczami, nie miałam wielkiej ochoty dać się wciągnąć w wir dyskusji. Koledzy trzymali mnie w studiu jeszcze długo po emisji, więc do domu wróciłam dopiero o trzeciej nad ranem. Starając się, jak tylko mogłam, nie rzucać się w oczy, złapałam listy, po które przyszłam, i popędziłam do wyjścia. Kiedy byłam już w drzwiach, Stary Chen zawołał:

– Xinran, poczekaj! To ty wywołałaś ten pożar i ty musisz go ugasić!

– Wrócę później, szef chce się ze mną widzieć – wymamrotałam wymówkę i wybiegłam, zamierzając schronić się w dyrektorskim biurze. Okazało się, że tylko na to czekał.

– O wilku mowa! – wykrzyknął.

Zesztywniałam, obawiając się najgorszego.

– Tu jest rejestr rozmów przychodzących. Myślę, że może być z tego naprawdę ciekawy wywiad. Niech pani to przejrzy i wymyśli coś sensownego do popołudnia – oświadczył kategorycznym tonem.

W rejestrze była wiadomość do mnie: córka generała broni armii Kuomintangu przebywa w szpitalu psychiatrycznym, a ja mam się skontaktować z doktorem Li. Nie było żadnych szczegółów wskazujących na potencjalnie

ciekawą historię, ale znałam przenikliwość dyrektora – jeśli twierdził, że to dobry trop, to pewnie miał rację. Miał talent do zauważania ważnych, wartych poruszenia spraw wśród wielu mniej istotnych. Często myślałam, że w warunkach wolności prasy zrobiłby wielką karierę.

Zadzwoiłam do doktora Li. Był oszczędny w słowach:

– Ta kobieta jest córką kuomintangowskiego generała, ma objawy niedorozwoju umysłowego, ale nie jest to choroba wrodzona. Podobno jako dziecko zdobyła jakąś wielką nagrodę w dziecięcym konkursie wypracowań w prowincji Jiangu, ale teraz... – przerwał nagle. – Przepraszam, czy mógłbym z panią porozmawiać osobiście?

Zgodziłam się natychmiast i umówiliśmy się, że odwiedzę szpital o wpół do drugiej.

Po wymianie uprzejmości doktor Li zaprowadził mnie do tej kobiety. Błada, pusta twarz zwróciła się w naszą stronę, gdy weszliśmy do cichego, białego pokoju.

– Shilin, to jest pani Xinran. Przyszła się z tobą zobaczyć – powiedział doktor Li.

Shilin milczała, jej twarz pozostała bez wyrazu.

Doktor zwrócił się do mnie:

– Prawie na nic nie reaguje, ale mimo to uważam, że należy ją traktować z szacunkiem. Nie urodziła się psychicznie chora – kiedyś rozumiała ludzką mowę i uczucia. – Spojrzał na zegarek. Wczoraj ktoś z rodziny Shilin słuchał pani audycji i poprosił mnie, żebym panią umówił. Mam teraz dyżur, ale proszę chwileczkę poczekać. Krewni Shilin powinni tu zaraz być.

Po raz pierwszy w życiu zostałam sam na sam z osobą niepełnosprawną umysłowo. Próbowałam porozmawiać z Shilin. Wydawało się, że mnie słyszy, ale w ogóle nie reagowała. Nie wiedząc, co robić, wyjęłam szkicownik i za-

częłam ją rysować. Siedziała nieruchomo i nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi.

Shilin była piękną kobietą. Przypuszczałam, że ma około czterdziestki, ale skóra wokół jej oczu była jasna i niepomarszczona. Miała regularne, proporcjonalne rysy, prosty nos uwydatniał duże oczy o wydłużonym kształcie i lekko uniesionych w górę zewnętrznych kącikach, jakby ich właścicielka za chwilę miała się uśmiechnąć. Jej wąskie wargi przywodziły na myśl twarze kobiet ze starochińskich obrazów.

Zanim ukończyłam rysunek, przybyli krewni Shilin: ciotka i kuzynka – matka i córka. Wang Yue, ciotka Shilin, była elokwentną osobą o nienagannych manierach. Wang Yu, kuzynka, kobieta po trzydziestce, pracowała jako księgowa w wydawnictwie prasowym.

Wang Yue oświadczyła, że poprzedniego wieczoru cała rodzina przed pójściem spać jak zwykle włączyła radio. Słuchali mojej audycji co wieczór, ponieważ ułatwiała im zasypianie. Zastanawiałam się, czy mój program jest faktycznie aż tak ogłupiający, i nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy gniewać.

Córka Wang Yue najwyraźniej zauważyła wyraz mojej twarzy i szturchnęła matkę, ale Wang Yue to zignorowała. Powiedziała, że głos jednej ze słuchaczek, która orzekła, że urodzić się upośledzonym umysłowo to dużo większa tragedia niż stracić władzę umysłową w ciągu życia, bardzo ich wszystkich poruszył. Rodzina Shilin sądzi, że jest to całkowita nieprawda, i czuje złość na tych wszystkich słuchaczy, którzy zgodzili się z tym błędnym poglądem.

Wang Yue przemawiała z pasją. Czyż można zapomnieć ból utraty czegoś, co się kiedyś posiadało? Oczywiście, że większą tragedią jest mieć wiedzę i inteligencję, a potem stracić to wszystko nieodwołalnie, niż od samego po-

czątku żyć w nieświadomości. Wang Yue powiedziała, że cała rodzina tak zaangażowała się w temat, że nikt nie był w stanie zmrużyć oka, aż w końcu postanowili udowodnić swoje racje, opowiadając mi o życiu Shilin. Kiedy snuła swoją opowieść o siostrzenicy, twarz Shilin pozostawała obojętna i bez wyrazu.

Shilin była córką kuomintangowskiego generała, najmłodszego syna w rodzinie. W przeciwieństwie do dwóch najstarszych siostr i starszego brata, była zawsze chroniona i rozpieszczana. Kiedy w 1945 roku wybuchła w Chinach wojna domowa, jej ojciec został awansowany na generała w armii Chiang Kai-sheka. Kuomintang stracił poparcie chłopów. Zyskali je komuniści. Była to prawdziwa katastrofa, ponieważ chłopci stanowili ponad dziewięćdziesiąt osiem procent ludności. Mimo wsparcia Wielkiej Brytanii i USA, które dostarczały im broni, sytuacja nacjonalistów szybko się pogarszała. Kilkumilionowa armia Chiang Kai-sheka wkrótce została rozgromiona przez komunistów i wypędzona na Tajwan. Uciekającym na wschód wielu przywódcom Kuomintangu nie udało się na czas przygotować ucieczki dla swoich krewnych – jedną z takich osób była Shilin.

Wiosną 1949 roku Shilin miała siedem lat, a od dwóch mieszkała w Beipingu u babki. Była gotowa do powrotu do domu rodziców w Nankinie i pójścia tam do szkoły. Jej matka napisała w liście, że ojciec Shilin wyjeżdża na kampanię, w związku z czym ona musi zostać w Nankinie i zająć się innymi dziećmi, nie może więc przyjechać do Beipingu po Shilin. Babka była słabego zdrowia, niezdolna do podróży, postanowiono więc, że Wang Yue, młoda ciotka Shilin, odwiezie ją do Nankinu.

Był to czas decydujących bitew między Kuomintangiem a komunistami. Kiedy Wang Yue i Shilin dotarły nad brzegi Jangcy, prom, jedyny środek transportu łączący północ z południem, został właśnie chwilowo zamknięty. Na obu brzegach piętrzyły się stopy towarów.

Czekając, usłyszały, że w Nankinie szykuje się bitwa. Ludowa Armia Wyzwoleńcza miała przeprowić się przez rzekę. Mimo to najlepsze, co mogły zrobić, to kontynuować podróż do Nankinu. Kiedy wraz z mnóstwem innych ludzi przybyły do miasta, zobaczyły czerwoną flagę łopoczącą na domu Shilin. Do środka wprowadził się tłum żołnierzy Ludowej Armii Wyzwoleńczej.

Wang Yue nie zatrzymała się przed domem, lecz ponagliła Shilin i poszła szukać wieści o jej krewnych w pobliskich sklepikach i herbaciarniach. Niektórzy widzieli wynoszenie pudeł i ładowanie ich na samochody należące do rodziny, słyszeli też, że zwolniono wielu służących. Inni twierdzili, że cała rodzina zniknęła bez śladu w przeddzień przekroczenia Jangcy przez komunistów. Nikt nie był w stanie podać żadnej pewnej informacji, lecz wyglądało na to, że rodzina Shilin uciekła na Tajwan bez niej.

Niedługo potem do Wang Yue dotarła wieść, że jej matka zmarła podczas rewizji dokonywanej w jej domu w Beipingu (przemianowanym przez nowy rząd na Pekin), w związku z pokrewieństwem z ojcem Shilin. Powrót do Beipingu był więc niemożliwy. Nie wiedząc, co począć, Wang Yue zamieszkała z Shilin w małej gospodzie w Nankinie. Pewnego dnia życzliwy gospodarz rzekł: „Mówiła pani, że umie czytać i pisać? Nowy rząd poszukuje nauczycieli do nowych szkół – niech się pani postara o pracę”. Wang Yue nie całkiem mu dowierzała, ale zgłosiła się i została zatrudniona.

Wang Yue, która miała tylko dwadzieścia lat – trzynaście lat więcej od Shilin – kazała małej zwracać się do siebie mamą, by ukryć ich tożsamość. Jako matce i córce przydzielono im pokój przy nowej szkole państwowej, która dała im również trochę wyposażenia. Shilin zapisano do szkoły.

Wang Yue robiła sobie taki makijaż i fryzurę, by wyglądać na osobę w wieku matki Shilin. Każdego ranka przypominała Shilin, żeby pod żadnym pozorem nie wspominała nazwisk rodziców i nikomu nie opowiadała o swoim dawnym domu. Shilin, dobrze pamiętając ostrzeżenia ciotki, nie zdawała sobie jednak w pełni sprawy z konsekwencji ujawnienia tych faktów. Dzieci lubią się popisywać przed sobą nawzajem. Raz, gdy Shilin grała z dziećmi w ciupy, używając maleńkich woreczków wypełnionych fasolką, powiedziała im, że sama miała kiedyś takie woreczki, ale wyszywane maleńkimi klejnocikami. Jedna z jej koleżanek wspomniała o tym w domu, i wśród dorosłych zaczęły się rozchodzić plotki.

W tamtych czasach każdy starał się uzyskać jakąś polityczną korzyść, żeby umocnić swoją pozycję w nowym komunistycznym porządku. Wkrótce przedstawiciel lokalnego garnizonu poinformował Wang Yue, że będzie musiała podać wszelkie informacje o swoim „zmarłym mężu”, czyli ojcu Shilin.

Pewnej nocy dyrektorka szkoły, w której pracowała Wang Yue, przybiegła do ich pokoju bardzo wzburzona.

– Musicie stąd uciekać, bo was zaaresztują. Uciekajcie czym prędzej i nie wracajcie do Nankinu, cokolwiek się stanie. Mówią, że Shilin jest córką generała Kuomintangu, a ty popełniłaś zbrodnię ukrywania kontrrewolucjonisty. Nie chcę słyszeć żadnych wyjaśnień, w dzisiejszych czasach im mniej się wie, tym lepiej. Uciekajcie natychmiast!

Nie pakujcie się, w każdej chwili mogą zamknąć nabrzeże. Szybciej, szybciej! Jeśli będziecie czegoś potrzebowały w przyszłości, przyjdźcie do mnie. Muszę już iść. Jeśli ALW mnie złapie, zamkną całą moją rodzinę.

Prawie płacząc ze strachu, Wang Yue z na wpół śpiącą Shilin opuściła Nankin. Nie miała pojęcia, dokąd iść, ale nie mogła prosić nikogo o pomoc. Bała się myśleć, co się stanie, jeśli zostaną złapane. Szły już prawie trzy godziny, rozwidniało się, a Nankin wciąż wydawał się być tuż za nimi. Kiedy Shilin nie mogła już ustać na nogach, Wang Yue ukryła się z nią w krzakach przy drodze. Ziemię pokrywała rosa. Obie były zziębnięte i głodne. Mimo to wyczerpana Shilin zasnęła natychmiast, przytulona do ciotki. Zmęczona, zapłakana i wystraszona Wang Yue też usnęła.

Po pewnym czasie obudziły ją jakieś głosy. Stała nad nią para w średnim wieku i wysoki, młody mężczyzna. Wyglądali na zaniepokojonych.

– Czemu tu śpicie? – spytała starsza kobieta. – Jest zimno i mokro. Wstawajcie zaraz i znajdźcie sobie jakiś dom czy inne miejsce do spania, bo się rozchorujecie.

– Dziękuję pani, ale nie możemy iść dalej. Dziecko jest zbyt zmęczone – odparła Wang Yue.

– Dokąd podróżujecie? – spytała kobieta, gestem dając do zrozumienia młodzieńcowi, żeby podniósł Shilin.

– Nie wiem. Aby jak najdalej od Nankinu. – Wang Yue nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ucieka pani przed wymuszonym małżeństwem, co? Ciężka sprawa, gdy ma się dziecko przy sobie – powiedziała życzliwie kobieta. – Niech pani poczeka. Wymyślimy coś z mężem. To jest mój syn, Guowei, a to mój mąż.

Starszy mężczyzna stojący z boku wyglądał na dobrodusznego mola ksiązkowego. Mówił szybko, ale serdecznym tonem:

– Nie ma czasu na rozmowy. Spieszmy się, więc proszę pójść z nami. Łatwiej się podróżuje w grupie. Poza tym jak moglibyśmy pozostawić was, wdowę i sierotę, własnemu losowi? Chodźcie, pomogę wam nieść bagaże. Guowei może się zająć małą. Ting, pomóż pani wstać.

Po drodze Wang Yue dowiedziała się, że starszy pan nazywa się Wang Duo i był niegdyś dyrektorem szkoły w Nankinie. Jego żona, Liu Ting, skończyła postępową szkołę dla dziewcząt, dzięki czemu mogła służyć mężowi pomocą w nauczaniu i prowadzeniu szkolnej księgowości. Wang Duo pochodził z Yangzhou, gdzie jego przodkowie nauczali kanonu konfucjańskiego w prywatnej akademii. Szkoła, którą zamknięto w czasach wojen i chaosu minionych dziesięcioleci, stała się mieszkaniem dla całej rodziny. Kiedy Wang Duo ożenił się, rodzinny fach i dom przypadł w udziale jemu. Chciał założyć szkołę, ale trudno mu było zrealizować ten plan w małym miasteczku Yangzhou. Ponieważ chciał, by jego jedyny syn otrzymał dobre wykształcenie, przeprowadził się z rodziną do Nankinu, gdzie mieszkali przez dziesięć lat.

W niespokojnych czasach prowadzenie szkoły w Nankinie wiązało się z mnóstwem problemów. Wang Duo kilkakrotnie zastanawiał się nad powrotem do Yangzhou, by poświęcić się pisaniu, ale Liu Ting, która chciała, by Guowei dokończył edukację w Nankinie, zawsze udawało się namówić go do pozostania. Teraz, gdy Guowei już skończył liceum, wracali do Yangzhou.

Wang Yue nie odważyła się opowiedzieć prawdy o sobie, wspominała tylko niejasno o jakiejś tajemnicy, której nie da się przekazać słowami. W tamtych czasach wykształceni ludzie mieli świadomość, że wiedza jest niebezpieczna. Po upadku dynastii Qing w Chinach rozpoczął się długi okres anarchii i rządów feudalnych. Największy chaos panował

w ciągu czterdziestu pięciu lat przed ustanowieniem nowego rządu komunistycznego: rządy i dynastie zmieniały się niemal z dnia na dzień. Nikt nie znał jeszcze praw nowej republiki, więc powtarzano popularną maksymę: „Milcz o sprawach państwowych, nie mów wiele o sprawach rodzinnych: lepiej powiedzieć mniej niż więcej”. Wangowie nie nalegali więc, by Wang Yue zdradzała im jakiegokolwiek szczegóły.

Yangzhou jest malowniczym miasteczkiem nad rzeką, położonym w pobliżu Nankinu. Tutejsze specjalności: pierożki z warzywami gotowane na parze, suszona rzepa i płyty tofu duszone z imbirem słyną na cały kraj. Dziewczęta z Yangzhou są znane z urody i pięknej cery. Wiejska sceneria i pejzaż okolicznych gór przyciągały tu wielu członków wykształconych elit i rządu. Mei Lanfang, mistrz opery pekińskiej, oraz słynny poeta ze szkoły Księżycy w Nowiu, Xu Zhimo, pochodzili z Yangzhou, podobnie Jiang Zemin, obecny prezydent Chińskiej Republiki Ludowej*.

Dom Wanga Duo i Liu Ting był tradycyjnie zbudowanym domostwem z dziedzińcem i mieścił się na zachodnich przedmieściach Yangzhou, nad jeziorem Shouxi. Wieki oczyszczania wód z mułu oraz pielęgnacji ogrodów i lasów dookoła uczyniły zeń jedno z najpiękniejszych jezior Chin.

Pod nieobecność gospodarzy domem opiekowała się para starszych ludzi, panowała więc czystość i porządek. Wszystko było tam bardzo stare, lecz siedziba emanowała przyjemną, „uczoną” atmosferą. Wkrótce po przybyciu do Yangzhou Wang Yue i Shilin dostały wysokiej gorączki. Liu Ting bardzo się zaniepokoiła, więc czym prędzej wezwała zielarza, który orzekł szok i przeziębienie wywołane wy-

* W 2003 roku zastąpił go na tym stanowisku Hu Jintao (przyp. tłum.).

czepaniem, a następnie przepisał lecznicze napary z ziół. Liu Ting przyrzadzała je troskliwie.

Wang Yue i Shilin wyzdrowiały po tygodniu czy dwóch, lecz Shilin nie była już tą samą żywą dziewczynką co dawniej. Kiedy rodzina Wang zabrała ją w odwiedziny do dzieci z sąsiedztwa, chowała się za dorosłymi. Wang Yue sądziła, że są to wciąż skutki ich ucieczki z Nankinu i że wkrótce Shilin dojdzie do siebie.

Niedługo potem Liu Ting rzekła do Wang Yue:

– Mój mąż mówi, że ma pani smykałkę do pisania. Jeśli pani zechce, może pani zostać z nami i pomóc nam w papierkowej robocie. Może nas pani nazywać wujkiem i ciotką, a do Guoweia zwracać się jak do starszego brata. Pomożemy pani w opiece nad Shilin.

Wang Yue z ogromną wdzięcznością przyjęła tę propozycję.

Atmosfera polityczna w Yangzhou w latach pięćdziesiątych była dużo mniej napięta niż w większych miastach. Mieszkańcy miasteczka nie interesowali się szczególnie polityką, a tutejsza tradycja nakazywała wszystkim żyć i pracować w pokoju. Szczerłość i dobroć rodziny Wang pomogła Wang Yue zapomnieć o lękach i poczuciu zagrożenia ostatnich kilku miesięcy.

Guowei zaczął uczyć w nowo wybudowanej szkole podstawowej, dokąd codziennie zabierał Shilin. Wśród rówieśników Shilin stopniowo się otwierała i coraz bardziej przypominała dawną siebie.

Guoweiowi podobała się nowa praca, panująca w szkole żywa, twórcza atmosfera oraz brak podziału na biednych i bogatych. Szkoła doceniała jego zaangażowanie i umożliwia mu uczestniczenie w wielu zajęciach i wydarzeniach pozaszkolnych. Kiedy Guowei z entuzjazmem opowiadał w domu o swojej pracy, rodzice często studzili jego zapał.

Wang Yue natomiast była jego wierną słuchaczką, okazywała wiele zainteresowania i zrozumienia dla jego pasji. Zakochali się w sobie i zaręczyli w trzecim roku pobytu Wang Yue w Yangzhou.

W dniu zaręczyn Wang Yue wyjawiała rodzinie Wang całą prawdę o sobie i Shilin. Słyszac to, Liu Ting wzięła ją za rękę i powtarzała:

– Tak wiele przeszłaś...

– Shilin jest dzieckiem twojej siostry, ale jest też naszym dzieckiem – powiedział Wang Duo. – Od dziś jesteś córką rodziny Wang, a Shilin – naszą wnuczką.

Shilin już i tak zwracała się do Wang Duo i Liu Ting jak do dziadków, a do Wang Yue jak do matki, ale wciąż trudno było jej nazywać Guoweia ojcem. Miała już dziesięć lat i zmiana sposobu zwracania się do Guoweia przy innych dzieciach stanowiła dla niej nie lada trudność. Na ślubie Wang Yue i Guoweia jednak nazwała go tatą z własnej inicjatywy. Guowei był tak uradowany i zaskoczony, że chwycił ją w ramiona i mocno objął, aż Liu Ting krzyknęła:

– Postaw ją z powrotem, zrobisz jej krzywdę!

Shilin była bystra i pracowita, wspierała ją też rodzina, która składała się z samych nauczycieli. W szkole radziła sobie tak doskonale, że przeskoczyła jedną klasę i z trzeciej poszła od razu do piątej. W szóstej reprezentowała szkołę w regionalnym konkursie wypracowań prowincji Jiangsu. Wang Yue i Guowei na tę wieść wybuchli wielkim entuzjazmem i chwycili w objęcia Shilin, swoje pierwsze dziecko, nie bacząc na jej okrzyki protestu. Cała rodzina pękała z dumy, a sąsiedzi gratulowali wszystkim inteligencji dziewczynki.

Następnego dnia, kiedy Guowei pisał sentencje na czerwonym, przynoszącym szczęście papierze, by zawiesić je

z okazji Dnia Dziecka, podbiegła do niego jakaś uczennica i wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech:

– Panie Wang, szybko, proszę tam pójść! Chłopcy przezywają Shilin, a ona kłóci się z nimi. Jest wykończona, ale my, dziewczynki, boimy się jej pomóc, bo chłopaki mówią, że pobiją każdego, kto się odważy!

Biegnać w kierunku niewielkiego boiska, Guowei usłyszał krzyki chłopców:

– Oszustka!

– Bękart!

– Bękarty są zawsze najbystrzejsze!

– Zapytaj mamę, kim był twój tata. Może pijakiem, którego znalazła w rowie?

Guowei ruszył naprzód, odpychając pięściami chłopców otaczających Shilin. Chwycił małą w objęcia i ryknął:

– Kto mówi, że Shilin nie ma ojca? Kto śmie powiedzieć jeszcze słowo, nie da rady nawet pisać, póki z nim nie skończę! Nie wierzycie? Niech no który spróbuje!

Wystraszeni dręczyciele rozpierzchli się w mgnieniu oka. Shilin drżała w ramionach Guoweia, blada jak płótno, ze spotniałym czołem i zagryzioną do krwi wargą.

W domu dostała wysokiej gorączki i majaczyła, powtarzając bezustannie: „Nie jestem bękartem, mam mamę i tatę”. Liu Ting i Wang Yue czuwały przy niej na zmianę.

Lekarz oświadczył całej rodzinie, że Shilin doznała szoku. Jej serce biło nieregularnie. Powiedział, że jeśli nie uda się jak najszybciej obniżyć gorączki, może dojść do uszkodzenia mózgu. Dziwił się, jak to się stało, że dwunastoletnia dziewczynka mogła doznać tak wstrząsającego przeżycia.

– W tym kraju pogarsza się z dnia na dzień – rzekł gniewnie Wang Duo. – Jak te dzieci mogły zrobić coś takiego? To równie niegodziwe jak morderstwo.

Guowei nieustannie przeproszał całą rodzinę za to, że nie dopilnował Shilin, ale wszyscy wiedzieli, że nie ma w tym jego winy. Później dowiedział się, jak się rozpoczęła awantura na boisku. Starszy chłopak chciał objąć Shilin, lecz ona odmówiła i zbeształa go. Rozzłoszczony i zawstydzony, pokazał ją palcem i krzyknął:

– Za kogo ty się masz? Kto jest twoim ojcem? Nie ma w tobie nic z Wanga Guoweia. Idź do domu i zapytaj matkę, z kim spała, żeby urodzić takiego bękarta jak ty. Nie udawaj skromnisi!

Kazał stojącym w pobliżu młodszym chłopcom przyłączyć się do wyzwisk, grożąc, że pobije każdego, kto nie posłucha. Guowei był wściekły: nie bacząc na swoją nauczycielską godność ani możliwe konsekwencje, dopadł chuligana i spuścił mu porządne lanie.

Shilin wróciła do zdrowia, lecz stała się małomówna, rzadko wychodziła i często zostawała w domu sama. Zbliżały się egzaminy do gimnazjum, więc wszyscy sądzili, że się uczy i nie chce, by jej przeszkadzano. Tylko Wang Yue wciąż niepokoiła się o małą. Miała wrażenie, że z Shilin jest coś nie tak, ale nie odważyła się z nikim podzielić tymi obawami, by nie ściągać na rodzinę kłopotów. Różne ruchy polityczne, takie jak Ruch Antyprawicowy, zyskiwały w Yangzhou na popularności i wielu ograniczonych, niewykształconych ludzi uznało, że przyszedł czas na wyrównanie różnic majątkowych – poprzez napadanie na bogatsze domy i podział łupów między biedniejszych, praktykę znaną od czasów dynastii Ming. Zaczęto sporządzać listy bogatych rodzin, z zamiarem zaszkodzenia im pod przykrywką rewolucji. Wangowie znajdowali się na granicy – nie byli ani szczególnie zamożni, ani biedni, toteż nie znali dnia ani godziny – ktoś, kto żywił do nich urazę, mógł w każdej chwili zakwalifikować rodzinę do bogaczy.

Shilin nie uzyskała na egzaminach do gimnazjum tak świetnych wyników, jak można się było spodziewać przed wydarzeniami na boisku, ale poszło jej na tyle dobrze, że dostała się do jednej z najlepszych szkół. Wybrała szkołę blisko domu, co uspokoiło Wang Yue.

W szkole była milcząca i zamknięta w sobie, lecz w domu stawała się bardziej rozmowna. Zaczęła wypytywać Wang Duo o przyczyny tych wszystkich politycznych zawirowań, jakie miały miejsce w Chinach, i o powód wrogości między Kuomintangiem a komunistami. Często pytała ciotkę o własnych rodziców, lecz z powodu różnicy pokoleń Wang Yue nie wiedziała zbyt dużo o siostrze. Wang Yue była jeszcze mała, gdy jej siostra wyjechała z domu do szkoły na południu, a gdy wyszła za mąż, miała dopiero trzy albo cztery lata. Shilin zaś sądziła, że Wang Yue umyślnie unika odpowiedzi na pytania, ponieważ nie chce, by Shilin żyła przeszłością.

Na początku „rewolucji kulturalnej”, kiedy to związki pozamałżeńskie uważano za zbrodnię przeciwko rewolucji, czerwonogwardziści okrzyknęli Wang Yue przestępczynią, ponieważ urodziła Shilin bez ślubu. Będąc w ciąży z kolejnym dzieckiem, Wang Yue często była przedmiotem publicznego potępienia. Nie zdradziła jednak ani słowa o przeszłości. Wang Duo, Liu Ting i Guowei byli kolejno więzieni i przesłuchiwani, lecz wszyscy troje utrzymywali, że nic nie wiedzą o Wang Yue i przeszłości Shilin. Jednym z czerwonogwardzistów, którzy prowadzili brutalne przesłuchania, był ten sam nastolatek, który wcześniej chciał objąć Shilin i dostał w skórę od Guoweia. Upokarzał bezlitośnie całą trójkę, a Guoweia pobił tak dotkliwie, że trwale uszkodził mu lewą stopę.

Czerwonogwardziści zmuszali Shilin do patrzenia przez okno na przesłuchania i tortury rodziny Wang. Ciągali ją

za włosy i szczyпали w powieki, by nie pozwolić jej zasnąć przez kilka dni i nocy, a ona patrzyła na pokrwawioną stopę Guoweia, Wang Yue trzymającą się za brzuch, Wang Duo i Liu Ting trzęsących się ze strachu, maleńkiego synka Wang Yue kryjącego się w kącie z płaczem. Twarz Shilin pozostała bez wyrazu, lecz dziewczynka pociła się i drżała. Gdy czerwonogwardziści już mieli zmiażdżyć prawą stopę Guoweia ciosami pałek i kijów, Shilin nagle wykrzyknęła wysokim, nienaturalnym głosem:

– Mój ojciec nazywa się Znang Zhongren, moja matka – Wang Xing, oboje są na Tajwanie!

Wszyscy zamilkli z wrażenia, po czym Wangowie rzucili się do okna z krzykiem:

– To nieprawda! Ona zwariowała, nie wie, co mówi!

Shilin przysłuchiwała się, jak wykrzykują zaprzeczenia, a następnie wybuchła śmiechem:

– Wiem, że jestem podrzutkiem, mam innego ojca i matkę – powiedziała, po czym piana wystąpiła jej na usta. Shilin zemdląca.

Czerwonogwardziści rozpracowali nazwiska, które zdradziła im Shilin. Na podstawie informacji o rodzicach Shilin i innych miażdżących dowodów, jakie rzekomo odkryli, uwięzili całą rodzinę Wang. Wang Duo był wątłego zdrowia, często chorował, aż w końcu zmarł. Liu Ting z powodu spania na zimnej podłodze celi nabawiła się jednostronnego paraliżu. Wang Yue urodziła w więzieniu drugie dziecko, córkę, którą nazwała Wang Yu – znak Yu (jadeit) zapisuje się poprzez dodanie kropki do ideogramu Wang, całość symbolizowała więc dodatek do rodziny Wang. Nazywali ją Xiao Yu (mały jadeit), bo była tak maleńka i słaba. Kiedy po dziesięciu latach wszyscy opuścili więzienie, Guo-wei chodził o lasce.

W późnych latach osiemdziesiątych Wang Yue i Guowei spotkali przypadkiem jednego z czerwonogwardzistów, którzy ich prześladowali. Przyznał, że z wyjątkiem nazwisk rodziców Shilin i zbiorowej fotografii przywódców Kuomintangu cała reszta dowodów przeciwko Shilin i Wangom została spreparowana.

Shilin była chora psychicznie, lecz jej stan podlegał wahaniom: w niektóre dni czuła się znacznie lepiej niż w inne. Czerwonogwardziści wysłali ją do wsi położonej w górskich rejonach prowincji Hubei na „reedukację” wśród chłopów. Z uwagi na niestabilne zachowanie nie mogła pracować w polu, przydzielono jej więc względnie łatwe zadanie pasania bydła. Wkrótce mężczyźni w wiosce zaczęli szukać pretekstów, by wspiąć się na odległe trawiaste zbocza, gdzie Shilin pasła swoje krowy. Odkryli, że do utraty kontaktu z rzeczywistością doprowadza ją pytanie: „Kim jest twój ojciec?”

Shilin wybuchała wtedy śmiechem i niekontrolowanym krzykiem, po czym mdlała. Kiedy była nieprzytomna, mężczyźni ją gwałcili. Kiedy zaczynała się wyrywać, pokrzykiwali raz po raz: „Kim jest twój ojciec? Jesteś bękartem?”, wytrącając ją z równowagi tak, że stawała się znowu posłuszna.

Pewna dobroduszna staruszka dowiedziała się o wszystkim, podsłuchawszy kłótnię któregoś mężczyzny z żoną. Stała na środku wioski, wykrzykując:

– Wy bestie bez serca! Z kobiet się nie rodziście? Nie macie matek? Zapłacicie za to!

Staruszka przyjęła Shilin do siebie, lecz dziewczyna do końca straciła kontakt z otoczeniem.

Na początku 1989 roku Wang Yue i jej rodzina odnaleźli Shilin w wiosce w Hubei i zabrali ją ze sobą. Shilin nie poznała ich, oni także ledwie ją rozpoznali po dziesięciu

latach wiejskiego życia. Wang Yue zabrała Shilin do szpitala na kompleksowe badania. Kiedy poznała wyniki, rozchorowała się. W raporcie napisano, że na klatce piersiowej Shilin widnieją blizny po ugryzieniach, część sutka została odgryziona całkowicie, a wargi sromowe są ponaddzierane. Szyjka i nabłonek macicy zostały poważnie uszkodzone, a z wnętrza wydobyto ułamaną gałązkę. Lekarze nie potrafili stwierdzić, jak długo się tam znajdowała.

Kiedy Wang Yue wróciła do zdrowia, zatelefonowała do urzędników partyjnych wioski, w której mieszkała Shilin, i oznajmiła, że pozwie ich do sądu za znęcanie się nad nią. Urzędnicy prosili:

– To bardzo biedny rejon. Jeśli wsadzimy do więzienia wszystkich mężczyzn w wiosce, dzieci będą chodziły głodne.

Wang Yue zrezygnowała z wnoszenia pozwu. Odkładając słuchawkę, myślała: „Bóg ich pokarze”.

Mimo obawy, że odzyskanie pamięci sprawi Shilin wielki ból, Guowei sugerował, by postarać się pomóc jej w odzyskaniu jakiegokolwiek kontaktu z rzeczywistością. Przez siedem czy osiem lat Wang Yue i Guowei kilkakrotnie poddawali ją różnym terapiom, które nie odniosły żadnego skutku. Pomysł, by pobudzić jakąkolwiek reakcję, pytając Shilin o ojca, także przyszedł im do głowy, lecz za bardzo obawiali się konsekwencji.

Wang Yue udało się nawiązać kontakt z siostrą i bratem Shilin, mieszkającymi na Tajwanie, i oboje przyjechali odwiedzić swoją dawno zaginioną krewną. Nie potrafili doszukać się w tej obojętnej kobiecie o martwym spojrzeniu żadnych cech inteligentnej, żywej dziewczynki, o której mówili im rodzice, lecz Shilin była tak podobna do matki, że jej tożsamość nie ulegała wątpliwości.

Wang Yue nie zdradziła im prawdziwych przyczyn choroby Shilin. Nie obawiała się, że będą ją obwiniali o brak opieki nad nią, wiedziała jednak, że nikt, kto nie przeżył „rewolucji kulturalnej”, nie jest w stanie wyobrazić sobie ani pojąć, co się wtedy działo. Wang Yue nie chciała siać nienawiści, unikała więc rozmów o szczegółach losów Shilin. Powiedziała im, że Shilin straciła władze umysłowe po wypadku samochodowym. Kiedy brat i siostra pytali, czy Shilin cierpiała, Wang Yue zapewniła ich, że nie – straciła pamięć wkrótce po wypadku.

Wang Yue nigdy nie przestała zadawać sobie pytania, jak wiele cierpienie Shilin zniosła świadomie, zanim popadła w obłąd. Z przykrością powiedziałam jej, że podobnie jak u wielu innych ludzi, zapadających na chorobę psychiczną w wieku dorosłym, najprawdopodobniej stało się to właśnie na skutek wielkiego cierpienia. Cierpienie Shilin narastało się – od tamtej nocy, kiedy uciekła z Nankinu, poprzez jej trudne dzieciństwo, i nie znalazło nigdy ujścia, ponieważ Shilin nie chciała sprawiać przykrości rodzinie Wang. Lata udręk w wiosce w Hubei zniszczyły jej świadomość do końca.

Kiedy po spędzeniu popołudnia w szpitalu wróciłam do rozgłośni na swoją audycję, biuro było puste. Na biurku znalazłam szklanekę soku wraz z karteczką od Mengxing, która zostawiła sok specjalnie dla mnie, spodziewając się, że będę bardzo zmęczona. Mengxing miała opinię twardej kobiety, która nigdy niczego nikomu nie dała, więc wzruszył mnie ten gest. Dyrektor rozgłośni zostawił mi notatkę, prosząc o oddanie nazajutrz sprawozdania z wywiadu z córką generała Kuomintangu.

Rano opowiedziałam mu o Shilin i oznajmiłam, że nie będę robić programu na jej temat. Był zaskoczony.

– Co się stało? Zazwyczaj błaga pani o pozwolenie na wyemitowanie czegoś.

– Nic się nie stało – odrzekłam. – Ale nie zdobędę się na to, by opowiedzieć o tym jeszcze raz ani by zrobić o tym audycję. To dla mnie za trudne.

– Po raz pierwszy słyszę od pani, że coś jest za trudne. Z tego wniosek, że faktycznie ciężko by się tego słuchało. Mam nadzieję, że uda się pani o tym zapomnieć.

Już nigdy nie udało mi się porozmawiać ze Starym Wu o problemach niepełnosprawnych. W kolejny weekend zmarł podczas przyjęcia na dolegliwości wątrobowe. W czasie ceremonii żałobnych w myślach przedstawiłam mu swoje zdanie, pewna, że mnie słyszy. Opuściwszy ten świat, ludzie żyją we wspomnieniach innych. Czasami można poczuć ich obecność, zobaczyć ich twarze, usłyszeć głosy.

第十二章

12

dzieciństwo, którego nigdy nie zapomnę

Poszukiwania opowieści chińskich kobiet rozpoczęłam pełna młodzieńczego entuzjazmu, lecz z bardzo skromną wiedzą. Wraz z jej nabywaniem coraz więcej rozumiałam i coraz większego bólu mi to przysparzało. Czasem te wszystkie cierpienia, z którymi miałam do czynienia, powodowały u mnie coś w rodzaju odrętwienia, jakbym twardniała od środka. Potem słyszałam kolejną historię, która pobudzała moje emocje na nowo.

Mimo że w moim życiu prywatnym panował chaos, pod względem zawodowym odnosiłam coraz większe sukcesy. Zostałam mianowana dyrektorem planowania i rozwoju, co oznaczało, że byłam odpowiedzialna za tworzenie strategii dla całej rozgłośni. Wraz ze wzrostem mojego statusu i wpływów mogłam spotykać się z kobietami, które normalnie byłyby dla mnie niedostępne: żonami przywódców partyjnych, wojskowymi, działaczkami instytucji religijnych, więźniarkami. Jedno z takich spotkań miało miejsce przy okazji ceremonii wręczania nagród Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Miałam pewien wkład w organizowanie przez

Urząd różnych przedsięwzięć edukacji publicznej i w rezultacie nagrodzono mnie tytułem Kwiat Służby Policyjnej. Nagroda ta nie miała większego znaczenia, ale byłam jedyną kobietą w całej prowincji, którą uhonorowano w ten sposób, i bardzo mi się to przydało w moich staraniach, by dotrzeć do jeszcze większej liczby kobiet.

Chińczycy nieustannie szukają pretekstu, by urządzić jakieś przyjęcie: żyjemy zgodnie z zasadą „jedzenie to cud niebiański”, przepijając i przejadając niewyobrażalny majątek. Mimo że nagrody otrzymały tylko cztery osoby, na bankiet zaproszono ponad czterystu gości. Bardzo niewiele kobiet zyskuje uznanie i nagrody w kręgach policyjnych, zwłaszcza tych całkowicie spoza służb bezpieczeństwa, toteż byłam tamtego wieczoru na ustach wszystkich. Męczył mnie tłok i konieczność nieustannego odpowiadania na pytania, więc wymknęłam się na kuchenny korytarz z zamiarem ucieczki. Biegający tam i z powrotem kelnerzy na mój widok pokrzykiwali:

– Z drogi, proszę się odsunąć, proszę nie blokować przejścia!

Przycisnęłam się do ściany. Mimo wszystko wolałam niewygodę tego miejsca od badawczych spojrzeń bankietowych gości. W chwilę potem przyszedł szef policji, komisarz Mei, żeby podziękować kelnerom, i ze zdumieniem zauważył mnie. Zapytał, co tutaj robię.

Znałam komisarza Mei od dawna i miałam do niego zaufanie, więc odpowiedziałam szczerze. Zachichotał i rzekł:

– Nie ma sensu, żeby się pani kryła w tej okropnej ciasnocie. Zabiorę panią w lepsze miejsce. – I wyprowadził mnie.

Do sali bankietowej, słynnej w całym mieście, przylegało kilka bocznych salonów i salek, o których istnieniu

nie miałam pojęcia. Komisarz Mei zaprowadził mnie do jednego z tych pomieszczeń, opowiadając, że salę tę urządzono na wzór Hali Ludowej w Pekinie, specjalnie dla przywódców rządu centralnego, którzy przyjeżdżali do miasta na inspekcję. Byłam pod wrażeniem zaproszenia do tego wewnętrznego sanktuarium, obawiałam się też złośliwych plotek na temat naszego sam na sam.

Widząc moje wahania, Mei rzekł:

– Niech się pani nie martwi o plotki. Za drzwiami stoi strażnik. Ależ jestem zmęczony... – Ziewnął i padł na kanapę.

Do drzwi zapukał policjant i cicho zapytał:

– Komisarzu, czy potrzebuje pan czegoś?

– Nie, to wszystko – rzucił Mei lakonicznym, chłodnym tonem. Wszyscy urzędnicy wyższego szczebla w Chinach przemawiali do swoich podwładnych w taki sposób. Zastanawiałam się, na ile warunkuje to u Chińczyków postawy wyższości i podległości.

Komisarz Mei masował oburącz skronie, rozwalając się na kanapie.

– Pani Xinran, właśnie wróciłem z podróży po Hunanie, gdzie odwiedziłem kilka więzień. Słyszałem o jednej więźniarce, która mogłaby panią zainteresować. Była kilkakrotnie karana pod zarzutem dewiacji seksualnej i życia w nielegalnym konkubincie. Zdaje się, że ma tragiczną historię rodzinną. Gdyby miała pani ochotę przeprowadzić z nią wywiad, mogę to zorganizować i wysłać po panią samochód.

Skinęłam głową i podziękowałam mu. Pokręcił głową ze znużeniem, mówiąc:

– Chinki mają naprawdę ciężkie życie. Słuchałem pani audycji parę razy. Jest smutna, bardzo wzruszająca. Ile szczęścia doznały kobiety żyjące w ciągu ostatnich dzie-

sięcioleci? Moja żona mówi, że kobiety rozdają uśmiechy innym, a smutki zachowują dla siebie. Bardzo lubi pani program, ale nie chcę, żeby za dużo go słuchała, bo jest bardzo wrażliwa i jedna taka historia potrafi dręczyć ją przez wiele dni – przerwał. – Nie chcę, żeby umarła przede mną, nie zniósłbym tego.

Komisarz Mei był postawnym, twardym mężczyzną z Shandongu. Znałam go od wielu lat, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że jest taki wrażliwy. Chińscy mężczyźni są wychowywani w przekonaniu, że powinni wzbudzać respekt, i wielu z nich niechętnie pokazuje się z tej drugiej, emocjonalnej strony. Po raz pierwszy od początku naszej znajomości rozmawialiśmy nie o pracy, ale o mężczyznach, kobietach i związkach między nimi.

Po dwóch tygodniach policyjny dżip zawiózł mnie do kobiecego więzienia w górach zachodniego Hunanu. Zabudowania przypominały wszystkie inne więzienia: ogrodzenie pod napięciem, strażnicy i reflektory zamontowane na szarym murze potęgowały atmosferę lęku. Główna brama, przez którą mogły przejeżdżać tylko wozy przedstawicieli władzy, była zamknięta; wjechaliśmy przez boczną.

Patrząc na ogromny budynek, domyślałam się z rozmiarów i kształtów okien, co znajduje się za nimi. Za dużymi, wysokimi, potłuczonymi oknami poruszały się szare postacie i rozlegał się huk maszyn. Więźniowie z reguły pracują: naprawiają samochody, ciężarówki albo obrabiarki, szyją i produkują wyroby włókiennicze. Niektórych kieruje się do ciężkich prac w kamieniołomach czy kopalniach. Przez średnie okna widać było mundury i meble. Zdarzały się plamy koloru – to biura i sale edukacji politycznej. Najmniejsze okienka na najwyższych piętrach należały do pomieszczeń, w których sypiali skazani, oraz do stołówek.

Główny budynek tworzył podkowę otaczającą mniejszy, w którym znajdowały się sypialnie strażników i pomieszczenia służbowe. W Zachodniohunańskim Żeńskim Zakładzie Karnym uderzyły mnie dwie rzeczy, które odróżniały go od innych: pierwsza to ciemnozielone porosty i mech na murach, co powodowała wilgoć panująca w tym rejonie, a druga – dziwny widok kobiet policjantek pokrzykujących na kobiety więźniarki. Smutki, radości i miłości kobiet w mundurach z pewnością nie różniły się zanadto od życiowych doświadczeń tych w więziennych uniformach.

List polecający komisarza Mei zadziałał jak edykt cesarski: przeczytawszy go, kierowniczka więzienia przydzieliła mi prywatny pokój do rozmowy z Hua'er, więźniarką, o której wspomniał Mei.

Hua'er była drobną kobietą mniej więcej w moim wieku. Kręciła się niespokojnie w swoim więziennym uniformie, jakby walcząc z własną bezsilnością. Mimo że jej niewprawnie ostrzyżone włosy były postrzępione i nierówne, fryzura mojej rozmówczyni przypominała mi jakiś awangardowy styl prosto z modnych salonów. Była piękna, a jej twardy, zamknięty wyraz twarzy przypominał skazę na drogocennym porcelanowym naczyniu.

Nie pytałam o szczegóły jej wyroku ani powody, dla których raz po raz łamała zakaz życia w nielegalnym konkubinacie. Zamiast tego poprosiłam, żeby opowiedziała mi o swojej rodzinie.

– A kim pani właściwie jest? – zaripostowała. – Z jakiej racji mam pani cokolwiek opowiadać?

– Bo jesteśmy takie same. Jesteśmy kobietami i żyjemy w tych samych czasach – powiedziałałam powoli i wyraźnie, patrząc jej w oczy.

Moje słowa zamknęły jej usta.

Po chwili spytała kpiąco:

– Skoro tak – czy jest pani pewna, że pani to zniesie?

Przyszła kolej na moje milczenie. Jej pytanie trafiło w sedno: czy rzeczywiście będę potrafiła to znieść? Czyż sama nie staram się zapomnieć o własnych bolesnych przeżyciach?

Hua'er poczuła, że trafiła w czuły punkt. Zadowolona z siebie, poprosiła strażniczkę o otwarcie drzwi i pozwolenie na powrót do celi. Strażniczka rzuciła mi pytające spojrzenie, a ja machinalnie skinęłam głową. Wracając niepewnym krokiem do kwater strażników, gdzie miałam spać tej nocy, już pograżałam się we wspomnieniach. Bez względu na to, jak bardzo będę się starała, nigdy nie zdołam uciec od koszmaru mojego dzieciństwa.

Urodziłam się w Pekinie w 1958 roku, kiedy w Chinach panowała największa bieda, a dzienna racja żywniowa składała się z paru ziaren soi. Kiedy wiele innych dzieci w moim wieku cierpiało zimno i głód, ja jadłam importowaną czekoladę w domu mojej babki w Nankinie, gdzie w ogrodzie na dziedzińcu śpiewały ptaki. Chiny szykowały się jednak do zniesienia różnic między biednymi i bogatymi we własny, specyficzny sposób. Dzieci, które z trudem przeżyły biedę i niedostatek, pogardały mną i obrażały mnie, a wkrótce wszelkie dobra materialne, jakie kiedykolwiek posiadałam, zostały zniwelowane przez niedostatki uczuciowe. Zrozumiałam, że są w życiu rzeczy ważniejsze od czekolady.

Kiedy byłam mała, babcia codziennie czesała i zaplatała mi włosy, dbając, by moje warkoczki były równiutkie, po czym zawiązywała ich końce wstążkami. Uwielbiałam swoje warkoczki i potrzasałam dumnie główką, popisując się nimi na

spacerach czy w czasie zabawy. Kładąc się spać, nie pozwalałam babci rozwiązywać wstążek, a przed zaśnięciem układałam warkocze starannie po obu stronach poduszki. Czasami, kiedy obudziłam się rano z rozwiązanymi kokardami, pytałam z niezadowoleniem, kto mi je popsuł.

Rodzice stacjonowali w bazie wojskowej w pobliżu Wielkiego Muru. Kiedy miałam siedem lat, po raz pierwszy od urodzenia zamieszkałam z nimi. Nie minęły dwa tygodnie, a czerwonogwardziści zrobili nam w domu rewizję. Podejrzewali ojca o bycie „reakcyjnym autorytetem w dziedzinie techniki”, ponieważ był członkiem Chińskiego Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników i specjalistą elektromechanikiem. Uważano go także za „psa brytyjskich imperialistów”, gdyż jego ojciec przez trzydzieści pięć lat pracował w brytyjskiej spółce GEC. W dodatku, ponieważ w naszym domu było wiele przedmiotów związanych z kulturą, oskarżono go o bycie „zwolennikiem feudalizmu, kapitalizmu i rewizjonizmu”.

Pamiętam kręcących się wszędzie czerwonogwardzistów i wielkie ognisko na dziedzińcu, do którego wrzucano książki ojca, cenne tradycyjne meble dziadków i moje zabawki. Ojca aresztowano i zabrano. Wystraszona i smutna, wpatrując się w ogień, wpadłam w odrętwienie. Słyszałam wołania o pomoc dochodzące spośród płomieni. Strawiły wszystko: dom, który dopiero co stał się moim własnym, moje szczęśliwe dzieciństwo, moje nadzieje i dumę mojej rodziny z jej poziomu materialnego i umysłowego. Wypaliły we mnie żal, który pozostanie we mnie do śmierci.

W świetle płomieni podeszła do mnie dziewczyna z czerwoną opaską na ramieniu i wielkimi nożycami w dłoni. Złapała mnie za warkocze i powiedziała:

– To burżuazyjna fryzura!

Zanim zrozumiałam, o co jej chodzi, obcięła mi warkocze i wrzuciła je w ogień. Stałam z wytrzeszczonymi oczami, patrząc tępo, jak moje warkocze i piękne kokardy zamieniają się w popiół. Kiedy czerwonogwardziści opuszczali nasz dom, dziewczyna, która obcięła mi warkocze, powiedziała:

– Od dziś nie wolno ci wiązać włosów wstążkami. To imperialistyczna fryzura!

Po wtrąceniu ojca do więzienia matka rzadko miała czas, by się nami zajmować. Wracała późno, a po powrocie nieustannie pisała – nie miałam pojęcia co. Brat i ja mogliśmy kupować jedzenie tylko w stołówce zakładowej mojego ojca, gdzie serwowano biedne dania składające się z gotowanej rzepy albo kapusty. Olej był wtedy rzadkim luksusem.

Pewnego dnia matka przyniosła trochę boczku i dusiła go dla nas przez całą noc. Następnego ranka, wybierając się do pracy, powiedziała mi:

– Kiedy wrócisz do domu, poszturchaj węgle, żeby się rozżarzyły, i podgrzej wieprzowinę na obiad. Nie zostawiaj nic dla mnie. Oboje potrzebujecie zjeść coś pożywnego.

W południe, po wyjściu ze szkoły, poszłam po brata do domu sąsiadki, która się nim opiekowała. Kiedy powiedziałam mu, że dostanie coś dobrego do jedzenia, bardzo się ucieszył, usiadł grzecznie przy stole i przyglądał się, jak zabieram się do podgrzewania obiadu.

Nasza kuchenka należała do rodzaju używanego w północnych Chinach – była zrobiona z cegieł i większa ode mnie. Żeby poszturchać węgielki, musiałam stanąć na stołku. Po raz pierwszy w życiu robiłam to sama. Nie wiedziałam, że włożony w ogień pogrzebacz rozgrzeje się do czerwoności, i kiedy było mi ciężko wyciągnąć go prawą

ręką, chwyciłam niżej lewą. Skóra mojej dłoni natychmiast pokryła się pęcherzami i zaczęła schodzić, a ja krzyczałam z bólu.

Sąsiadka, usłyszawszy hałas, przybiegła do nas. Wezwała lekarza, ale ten, chociaż mieszkał w pobliżu, oświadczył, że nie odważy się przyjść, ponieważ do odwiedzin u członka rodziny poddawanej inwigilacji potrzebne jest specjalne pozwolenie.

Przybiegł też inny sąsiad, stary profesor. Nie wiadomo gdzie usłyszał, że w oparzenia należy wcierać sos sojowy, i wylał mi na dłoń całą butelkę. Ból był tak nieznośny, że wijąc się, upadłam na podłogę i w końcu zemdlałam.

Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam w łóżku, a obok siedziała matka. Trzymała oburącz moją zabandażowaną dłoń i robiła sobie wyrzuty, że pozwoliła mi samej dotknąć kuchenki.

Do dziś dnia nie potrafię zrozumieć, jak tamten lekarz mógł z powodu statusu politycznego mojej rodziny nie przyjść mi na ratunek.

Jako córka kapitalistycznego rodu moja matka wkrótce również została zatrzymana i nie pozwolono jej wrócić do domu. Mojego brata i mnie przeniesiono do kwater mieszkalnych dla dzieci, których rodzice siedzieli w więzieniu.

W szkole nie wolno mi było brać udziału w śpiewach i tańcach, ponieważ mogłam „zanieczyścić” arenę rewolucji. Mimo że byłam krótkowidzem, nie mogłam siedzieć w pierwszej ławce, ponieważ najlepsze miejsca były zarezerwowane dla dzieci chłopów, robotników i żołnierzy, którzy mieli „proste korzenie i czerwone pędy”. Nie wolno mi było stać w pierwszym rzędzie na lekcji wuefu, chociaż byłam najmniejsza w klasie, gdyż miejsca najbliższej nauczy-

ciela były przeznaczone dla „następnego pokolenia rewolucji”.

Wraz z dwanaściorcem innych „nieczystych” dzieci, w wieku od dwóch do czternastu lat, ja i mój brat musieliśmy po szkole uczestniczyć w lekcjach edukacji politycznej i nie mogliśmy brać udziału w zajęciach pozaszkolnych z rówieśnikami. Nie pozwalano nam oglądać filmów, nawet tych najbardziej rewolucyjnych – mieliśmy zajmować się wyłącznie „gruntownym zgłębianiem” reakcyjnej natury naszych rodzin. W stołówce dostawaliśmy jedzenie w ostatniej kolejności, ponieważ mój dziadek ze strony ojca niegdyś „pomagał brytyjskim i amerykańskim imperyalistom odejmować Chińczykom pożywienie od ust i zdeierać ubranie z ich grzbietów”.

Naszym planem dnia dyrygowali dwaj czerwonogwardziści, którzy wyszczekiwali polecenia:

- Wstawać z łóżka!
- Iść do szkoły!
- Iść do stołówki!
- Uczyć się myśli Przewodniczącego Mao!
- Iść spać!

Pozbawieni rodziny, która mogłaby nas chronić, dzień po dniu robiliśmy wszystko według tych samych mechanicznych procedur, pozbawieni zabaw i śmiechu dzieciństwa. Sami wykonywaliśmy prace domowe, starsze dzieci pomagały młodszym prać ubrania, myć codziennie twarze i stopy. Prysznic przysługiwał nam raz w tygodniu. Nocą wszyscy – dziewczęta i chłopcy razem – spali stłoczeni na słomianym materacu.

Jedyną maleńką radością były wyprawy do stołówki. Nikt tam nie rozmawiał ani się nie śmiał, ale dobrzy ludzie czasem po kryjomu wtykali nam paczuszki z jedzeniem.

Pewnego dnia postawiłam mojego braciszka, który nie miał jeszcze trzech lat, na końcu stołówkowej kolejki, która była niezwykle długa. To musiało być jakieś święto narodowe, bo po raz pierwszy sprzedawano piezzonego kurczaka, a w powietrzu rozchodził się smakowity zapach. Ślinka nam ciekła, bo od dłuższego czasu nie jedliśmy nic poza resztkami, ale wiedzieliśmy, że kurczaka i tak nie dostaniemy.

Mój braciszek nagle wybuchnął płaczem, krzycząc, że też chce piezzonego kurczaka. W obawie, że hałas rozłości czerwonogwardzistów i wyrzucą nas bez jedzenia, próbowałam go uspokoić, lecz on ciągle płakał, coraz bardziej smutny. Byłam tak przerażona, że o mało sama się nie rozplakałam.

W tym momencie przeszła obok nas kobieta o matczynym wyglądzie. Oderwała kawałek swojego kurczaka, wręczyła mojemu bratu i odeszła bez słowa. Kiedy braciszek przestał płakać i zabrał się do jedzenia, podbiegł do nas czerwonogwardzista, wyrwał mu kurze udko z buzi, rzucił na ziemię i rozdeptał na miazgę.

– Wy szczeniaki, potomstwo imperialistycznych psów, też byście chcieli pojeść kurczaka, co? – pokrzykiwał.

Mój braciszek był tak wystraszony, że bał się poruszyć. Tego dnia nic nie jadł, długo po tym zdarzeniu nie zdarzyło mu się marudzić ani płakać o piezzonego kurczaka ani jakikolwiek inny smakołyk. Wiele lat później spytałam brata, czy pamięta to zdarzenie. Cieszę się, że zapomniał, sama jednak wciąż mam je w pamięci.

Mieszkaliśmy z bratem w tym domu około pięciu lat. Mieśliśmy szczęście w porównaniu z innymi dziećmi, które żyły tam lat prawie dziesięć.

Dzieci ufały i pomagały sobie wzajemnie. Wszyscy byliśmy sobie równi. Lecz poza domem nie było dla nas miejsca. Dokądkolwiek zmierzała nasza grupka, ludzie cofali się, jakbyśmy byli dotknięci zarazą. Dojrzali, dorośli ludzie w milczeniu okazywali nam współczucie, ale dzieci upokarzały nas i obrażały. Nasze ubrania były upstrzone plwociną i flegmą, ale nie potrafiliśmy się bronić, nie mówiąc już o odwecie. Nasze serca były naznaczone znamieniem pogardy wobec siebie samych.

Pierwszą osobą, która mnie opluła, była moja najlepsza przyjaciółka. Powiedziała:

– Moja mama mówi, że twój dziadek pomagał tym okropnym Anglikom, którzy zjadają Chińczyków i piją chińską krew. Był bardzo, bardzo zły, najgorszy ze wszystkich złych ludzi. Jesteś jego wnuczką, więc też nie możesz być dobra.

Splunęła na mnie, odeszła i nigdy więcej się do mnie nie odezwała.

Pewnego dnia kuliłam się w kącie klasy, płacząc, po tym jak „czerwone” dzieciaki znowu mnie pobiły. Myślałam, że jestem sama, i wystraszyłam się, kiedy jeden z nauczycieli stanął za mną i poklepał mnie po ramieniu. W słabym świetle lamp załzawionymi oczyma nie widziałam dobrze wyrazu jego twarzy, ale dostrzegłam, że gestem przywołuje mnie, żebym za nim poszła. Ufałam mu, bo wiedziałam, że poza szkołą pomaga różnym biednym ludziom.

Zaprowadził mnie do chaty na skraju szkolnego dziedzińca, gdzie przechowywano różne śmieci. Szybko otworzył zamek i zaprosił mnie do środka. Okno było zaklezione gazetą, toteż wewnątrz panował gęsty mrok. Pokój był cały zastawiony rozmaitymi rupieciami, pachniało pleśnią i zgnilizną. Zatrzymałam się z niesmakiem, ale nauczyciel

zaczął przeciskać się między starociami z wielką wprawą. Przedarłam się za nim.

Wewnątrz znajdował się pokój, w którym ze zdumieniem odkryłam starannie utrzymaną i uporządkowaną biblioteczkę. Na połamanych półkach ustawiono kilkaset książek. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam znaczenie słynnego fragmentu wiersza: „W najciemniejszym cieniu wierzb niespodzianie napotkałem barwny kwiat wioski”.

Nauczyciel powiedział, że ta biblioteczka jest tajemnicą, którą zamierzał przekazać w darze przyszłym pokoleniom. Bez względu na to, jak bardzo popierają rewolucję, ludzie nie mogą żyć bez książek, mówił. Bez książek nie rozumielibyśmy, jak działa świat, nie moglibyśmy się rozwijać. Bez książek natura nie będzie służyła ludzkości. Perorował z coraz większym zapałem, a ja coraz bardziej się bałam. Wiedziałam, że są to te same książki, do których zniszczenia dążyła „rewolucja kulturalna”. Nauczyciel dał mi klucz do chaty i powiedział, że w każdej chwili mogę się tam zaszyść i czytać.

Chata stała za jedyną toaletą w szkole, więc było mi łatwo wymknąć się tam niepostrzeżenie, kiedy inne dzieci brały udział w niedozwolonych dla mnie zajęciach.

Za pierwszym razem, kiedy tam poszłam, zrobiło mi się duszno od tej ciemności i nieprzyjemnej woni, więc w gazecie pokrywającej okno zrobiłam dziurkę wielkości ziarnka grochu. Zerkałam przez nią na bawiące się dzieci, marząc o tym, że kiedyś będzie mi wolno do nich dołączyć.

Kiedy gwar na dziedzińcu zasmucił mnie do tego stopnia, że nie chciałam już patrzeć przez okno, zaczęłam czytać. Niewiele było tam książek wystarczająco łatwych dla dziecka ze szkoły podstawowej, więc miałam ogromne trudności z nieznanymi słowami. Na początku nauczyciel

odpowiadał mi na pytania i tłumaczył różne rzeczy, kiedy zaglądał do mnie sprawdzić, jak sobie radzę. Później przyniósł mi słownik, którym się pracownicy posługiwaliśmy, choć i tak udawało mi się zrozumieć najwyżej połowę z tego, co czytam.

Fascynowały mnie książki o historii Chin i historii powszechnej. Nauczyłam się z nich o różnych sposobach życia: poznałam nie tylko dramatyczne opowieści, które znają wszyscy, ale i historie zwykłych ludzi. Dowiedziałam się także, że wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

Nauczyłam się dużo z encyklopedii, co oszczędziło mi wielu kłopotów i wydatków w dalszym życiu – potrafię wykonywać różne prace manualne i zreperować wszystko, od roweru po niewielkie urządzenia elektryczne. Marzyłam, że zostanę dyplomata, prawniczką, dziennikarką albo pisarką. Po dwudziestu latach, kiedy już miałam możliwość wyboru zajęcia, zrezygnowałam z pracy administracyjnej w wojsku i zostałam dziennikarką. Wiedza, którą przyswoiłam sobie w dzieciństwie, znowu mi się przydała.

Moje marzenie, by dołączyć do bawiących się na dziedzińcu dzieci, nigdy się nie spełniło, ale możliwość czytania w tajnej bibliotece o różnych krwawych bitwach pocieszała mnie. Czytając wojenne historie, cieszyłam się, że żyję w czasach pokoju; pomagały mi one zapomnieć o sztyderstwach, które czekały na mnie na zewnątrz.

Pierwszą osobą, która pokazała mi, jak odnaleźć szczęście i piękno w otaczających mnie ludziach i świecie był Yin Da.

Yin Da był sierotą. Wydaje się, że nie znał przyczyn śmierci swoich rodziców. Wiedział tylko, że wyrósł pod opieką sąsiadów z wioski, gdzie mieszkał w chatce o powierzchni półtora metra na metr dwadzieścia, w całości zajętej przez

łóżko. Jadł ryż ze stu gospodarstw i nosił ubrania stu rodzin, nazywając każdego wieśniaka mamą lub tatą.

Pamiętam, że Yin Da miał tylko jedno ubranie. Zimą po prostu zarzucał grubą pikowaną kurtkę na swoją letnią odzież. Wszyscy wokół byli biedni, toteż posiadanie pikowanej zimowej kurtki całkowicie mu wystarczało.

Chociaż Yin Da był prawdopodobnie pięć lub sześć lat starszy ode mnie, chodziliśmy do tej samej klasy w wojskowej szkole. W czasie „rewolucji kulturalnej” prawie wszystkie instytucje edukacyjne były zamknięte; tylko szkołom i gimnazjom wojskowym wolno było nauczać młodych ludzi tajników obrony narodowej. By okazać poparcie dla chłopów i robotników z miasta, moja szkoła przyjęła miejscowe dzieci i pozwoliła im się kształcić razem z dziećmi wojskowych. Wiele z nich, zaczynając szkołę podstawową, miało czternaście czy piętnaście lat.

Kiedy byłam bita, opluwana czy przezywana przez dzieci z „czerwonych” rodzin, a Yin Da był w pobliżu, zawsze stawał w mojej obronie. Czasami, kiedy znajdował mnie płaczącą w kącie, mówił czerwonogwardzistom, że zabiera mnie ze sobą, żebym poznała życie chłopów, i prowadził na spacer po miasteczku. Pokazywał mi domy bardzo biednych ludzi i opowiadał, co czyni ich szczęśliwymi, mimo że zarabiają dużo poniżej stu juanów rocznie.

W czasie przerwy południowej Yin Da zabierał mnie na wzgórze za szkołą. Patrzyliśmy na drzewa i kwiaty. Mówił, że na świecie jest wiele drzew tego samego gatunku, ale nie istnieją dwa identyczne liście. Powiedział, że życie jest bezcenne i że woda jest źródłem życia, dając samą siebie.

Zapytał, co mi się podoba w miasteczku, gdzie mieściła się baza wojskowa. Powiedziałam, że nie wiem, bo nie ma w nim niczego ładnego – była to ciasna, nędzna, bezbarwna osada, pełna duszącego dymu z kuchennych kominów

oraz ludzi chodzących w tę i z powrotem w podartych kurtkach i zniszczonych koszulach. Yin Da nauczył mnie uważnie przyglądać się każdemu domowi w miasteczku, nawet tym skleconym z rupieci. Kto mieszka w tych domach? Co robi w środku? A co poza domem? Dlaczego drzwi są otwarte? Czy rodzina czeka na kogoś, czy też zapomniano zamknąć drzwi? Co może się stać z powodu takiego niedopatrzenia?

Zgodnie z radami Yin Da starałam się interesować swoim otoczeniem, dzięki czemu całe to opluwane i drwiny, które codziennie były moim udziałem, nie smuciły mnie już tak bardzo. Myślam byłam gdzie indziej, wyobrażając sobie życie ludzi. Kontrast między światem realnym a tym z wyobraźni z czasem stał się dla mnie źródłem pocieszenia i smutku zarazem.

Pod koniec lat sześćdziesiątych stosunki chińsko-sowieckie zostały zerwane, a na wyspie Zhenbao wybuchł konflikt zbrojny o północną granicę Chin. Każde miasto i miasteczko musiało kopać tunele służące jako schrony przeciwlotnicze. W niektórych wielkich miastach schrony potrafiły pomieścić całą ludność. Proste wyposażenie i zapasy żywności pozwoliłyby na przeżycie w podziemiach kilku dni. Każdy, od najstarszego do najmłodszego, musiał brać udział w kopaniu tych korytarzy, nawet siedmio-, ośmioletnie dzieci.

Dzieci z naszej szkoły kopały tunel w zboczu wzgórza za budynkiem szkolnym. Podzielono nas na dwie grupy – jedna pracowała w tunelu, druga na zewnątrz. Mimo że przypisano mnie do grupy wewnętrznej, przydzielono mi pracę u wyjścia z tunelu, ponieważ byłam dziewczynką, na dodatek słabą fizycznie.

Pewnego dnia, około pół godziny po rozpoczęciu pracy, rozległ się głośny huk: tunel się zawalił. Czterech chłopców zostało zasypanych, w tym Yin Da, który znajdował się najgłębiej. Kiedy ich wykopano, cztery dni po wypadku, ciała dało się rozpoznać wyłącznie po ubraniach.

Dzieciom i krewnym „czarnych” rodzin nie pozwolono nawet rzucić ostatniego spojrzenia na czterech chłopców, których uznano pośmiertnie za bohaterów. Mój ostatni obraz Yin Da to martwa ręka zwisająca z noszy.

Yin Da nauczył mnie kiedyś piosenki – motywu przewodniego z filmu *Przybysz na Lodowej Górze*. Miała bardzo piękną melodię, a jej słowa upamiętniały utraconego przyjaciela. Wiele lat później, kiedy w Chinach rozpoczęły się „reformy i otwarcie”, film ten pokazywano znowu. Ogarnęły mnie wtedy wspomnienia o Yin Da.

Moje piękne strony rodzinne leżą u podnóża Gór Niebiańskich.

Kiedy opuściłem dom, byłem jak melon zerwany z łądyżki.
Moja ukochana mieszkała pod białymi topolami,
Kiedy odszedłem, była jak lutnia zawieszona na ścianie.
Zerwane z łądyg melony pozostają słodkie,
Kiedy wróci grający na lutni, instrument znowu zaśpiewa.
Kiedy rozstałem się z przyjacielem,
Niczym góra usypana ze śniegu, znikł na zawsze, w jednej lawinie.

Drogi przyjacielu,
Nigdy już nie ujrzę twej mężnej postaci ni serdecznej twarzy.

Drogi przyjacielu,
Nigdy nie usłyszysz, jak śpiewam i gram na lutni.

Nie wiedziałam, czy śpiewając mi tę melancholijną pieśń, Yin Da przeczuwał, jak potoczą się jego losy, lecz w ten sposób zostawił po sobie własną melodię, dzięki której zawsze będę go pamiętać.

第十三章 ¹³

kobieta niepoznawana przez własnego ojca

Pierwszej nocy w Zachodniohunańskim Żeńskim Zakładzie Karnym nie miałam odwagi zmrużyć oka – bałam się powracających koszmarów. Nawet leżąc z otwartymi oczyma, nie potrafiłam powstrzymać napływających obrazów z dzieciństwa. O świcie powiedziałam sobie, że muszę odłożyć przeszłość na półkę i poszukać sposobu przekonania Hua'er, by mi zaufała, bym mogła podzielić się jej historią z innymi kobietami. Spytałam naczelniczkę więzienia, czy mogę jeszcze raz porozmawiać z nią w pokoju odwiedzin.

Kiedy weszła, okazało się, że jej drażliwość i opór z poprzedniego dnia zniknęły całkowicie, a na twarzy malowało się cierpienie. Z jej zaskoczonej miny wywnioskowałam, że sama także wyglądała inaczej, po tym, jak przez całą noc dręczyły mnie wspomnienia.

Hua'er rozpoczęła od opowieści o tym, jak matka wybierała imiona dla niej, jej siostry i braci. Matka Hua'er stwierdziła, że wszystkie istoty i rzeczy walczą o swoje miejsce

na ziemi, lecz drzewa, góry i skały są z nich wszystkich najsilniejsze, i dlatego najstarszą córkę nazwała Shu (drzewo), najstarszego syna Shan (góra), a młodszego Shi (skała). Kwitnące drzewa przynoszą owoce, a kwiecie porastające góry i skały upiększa je, toteż Hua'er otrzymała imię Hua (kwiat).

– Wszyscy mówili, że jestem najpiękniejsza... Może właśnie dzięki temu, że otrzymałam imię Hua.

Uderzyła mnie poetyckość tych imion i pomyślałam, że matka Hua'er musiała być bardzo wykształconą kobietą. Nalałam Hua'er szklankę wrzątku z termosu stojącego na stole. Chwyciła ją oburącz, wpatrując się w unoszącą się parę, i wymamrotała półgłosem:

– Moi rodzice byli Japończykami.

Zaskoczyła mnie. Nie było o tym ani słowa w policyjnej kartotece Hua'er.

– Oboje wykładali na uniwersytecie i traktowano nas wyjątkowo. Inne rodziny musiały mieszkać w pojedynczych pokojach, a my mieliśmy dwa. Rodzice sypiali w mniejszym, a my, dzieci, mieliśmy do dyspozycji ten większy. Moja siostra Shu często zabierała mnie i starszego brata Shana do domów swoich koleżanek. Ich rodzice byli dla nas mili, dawali nam różne smakołyki i namawiali, żebyśmy powiedzieli coś po japońsku. Byłam jeszcze mała, ale mówiłam bardzo dobrze i lubiłam uczyć dorosłych różnych słówek i zwrotów. Kiedy się tym zajmowałam, inne dzieci wszystko zjadały, ale siostra zawsze chowała trochę dla mnie. Zawsze mnie broniła.

Twarz Hua'er rozjaśniła się.

– Ojciec był dumny z Shu, bo świetnie się uczyła. Mówił, że przy niej kiedyś stanie się mądrzejszy. Moja matka też chwaliła siostrę za to, że pilnowała mnie i mojego starszego brata, dzięki czemu mama miała czas przygotowywać

się do lekcji i zajmować się młodszym braciszkiem, Shi, który miał trzy latka. Najszczęśliwsi byliśmy wtedy, gdy mogliśmy bawić się z ojcem. Przebierał się za różnych ludzi, żeby nas rozśmieszyć. Czasem bywał Dziadkiem Niosącym Górę z japońskiej bajki i nosił całą naszą czwórkę na grzbiecie. Przygniataliśmy go, aż z trudem łapał oddech, ale nie puszczał nas, wykrzykując: „Niosę... górę!”

Czasem owijał sobie głowę szalikiem mamy i udawał Babcię Wilczycę z chińskiej bajki. Kiedy bawił się z nami w chowanego, dawałam nura pod kołdrę i krzyczałam: „Hua'er nie ma pod kołdrą!”

Chował się w najbardziej pomysłowych miejscach. Kiedyś nawet ukrył się w wielkim kotle pełnym ziarna. Kiedy wygramolił się na zewnątrz, był cały w ziarnkach kukurydzy, gryki i ryżu – Hua'er zaśmiała się na to wspomnienie, a ja jej zawtórowałam. Pociągnęła łyk wody i delektowała się nim.

– Byliśmy bardzo szczęśliwi. Ale potem, w 1966 roku, zaczął się koszmar.

Płomienie wielkiego ogniska, które oznaczały dla mnie koniec szczęśliwego dzieciństwa, zatańczyły mi przed oczami. Głos Hua'er rozproszył ten obraz.

– Pewnego letniego popołudnia rodzice byli w pracy, ja odrabiałam lekcje pod opieką siostry, a mój mały braciszek siedział i bawił się zabawkami. Nagle dobiegł nas dźwięk skandowanych sloganów. Dorośli w tamtych czasach ciągle coś krzyczeli, więc nie zwróciliśmy na to uwagi. Hałas zbliżał się, aż zaczął rozbrzmiewać tuż za drzwiami. „Precz z pachółkami japońskich imperialistów! Zlikwidować obcych agentów!”

Siostra zachowała się po dorosłemu. Otworzyła drzwi i zapytała uczniów, którzy byli mniej więcej w jej wieku:

– Co wy wyprawiacie? Rodziców nie ma w domu.

Dziewczyna na czele tłumu rzekła:

– Słuchajcie, smarkacze, wasi rodzice są agentami japońskich imperialistów. Są już pod kontrolą proletariatu. Musicie się od nich całkowicie odciąć i ujawnić ich szpiegowską działalność!

Moi rodzice – agentami? W filmach tajni agenci zawsze byli źli. Zauważywszy, jaka jestem wystraszona, siostra szybko zamknęła drzwi i położyła mi dłonie na ramionach.

– Nie bój się. Zaczekamy, aż mama i tata wrócą i opowiemy im o wszystkim.

Mój starszy brat od jakiegoś czasu mawiał, że chciałby zostać czerwogwardzistą. Teraz powiedział cicho:

– Jeśli są agentami, to pojedę do Pekinu i przyłączę się do rewolucji przeciwko nim.

Siostra spiorunowała go wzrokiem i rzuciła:

– Nie opowiadaj bzdur!

Tamci przestali wrzeszczeć pod naszymi drzwiami, dopiero kiedy się ściemniło. Potem ktoś opowiadał, że ta grupka zamierzała przeszukać nasze mieszkanie, ale na widok mojej siostry stojącej w drzwiach i broniącej naszej trójki nie odważyli się. Zdaje się, że ich przywódca nieźle ich potem ochrzanił. Dużo czasu minęło, zanim znowu zobaczyliśmy się z ojcem.

Twarz Hua'er zastygła.

W czasie „rewolucji kulturalnej” ktokolwiek pochodził z zamożnej rodziny, miał wyższe wykształcenie, był specjalistą lub uczonym, miał znajomości za granicą albo pracował w administracji przed 1949 rokiem, był klasyfikowany jako kontrrewolucjonista. Tego rodzaju przestępców politycznych było tak wielu, że nie mieścili się w więzieniach. W tej sytuacji wysyłano intelektualistów daleko na wieś,

gdzie pracowali w polu, a wieczorami „wyznawali swoje przewiny” czerwonoogwardzistom lub „uczyli się od chłopów”, którzy nigdy nie widzieli samochodu ani nie słyszeli o elektryczności. Moi rodzice przeszli wiele takich okresów przymusowej pracy i „reedukacji”.

Chłopi uczyli intelektualistów piosenek, które śpiewali, siejąc zboże, albo zarzynania świń. Wychowani wśród wykształconych ludzi, otoczeni książkami, otrząsali się z obrzydzeniem na widok krwi i często zdumiewali chłopów brakiem praktycznych umiejętności i wiedzy.

Pewna profesorka uniwersytetu, z którą kiedyś przeprowadzałam wywiad, opowiadała mi, jak chłop, który ją nadzorował, popatrzył na młode źdźbła pszenicy, które przez pomyłkę wyrwała, i spytał litościwie: „Nie potrafisz nawet odróżnić pszenicy od chwastów. Czego uczyłaś te dzieci? Jak zdobywałaś ich szacunek?” Pani profesor mówiła, że chłopi w górskiej wiosce, do której ją wysłano, byli dla niej bardzo dobrzy i że nauczyła się bardzo wiele, obserwując ich skromne życie. Stwierdziła, że natura ludzka jest w gruncie rzeczy prosta i nieskomplikowana i że dopiero nauczysz się co nieco o społeczeństwie, można się naprawdę włączyć w jego życie. Było w tym wiele racji, lecz niewątpliwie miała szczęście, że tak właśnie wyglądało jej doświadczenie „rewolucji kulturalnej”.

Hua'er opowiadała dalej:

Pewnego dnia matka wróciła do domu wyjątkowo późno. Tylko moja siostra jeszcze nie spała. Obudziłam się z niespokojnej drzemki i usłyszałam, jak matka mówi:

– Tatę zamknęli w więzieniu. Nie mam pojęcia gdzie. Od tej pory codziennie muszę chodzić na specjalne lekcje i często będę wracała bardzo późno. Wezmę ze sobą

Shi, ale ty musisz się zająć Shanem i Hua. Shu, jesteś już dorosła i musisz mi zaufać: tata i ja nie jesteśmy złymi ludźmi. Musisz w to wierzyć, cokolwiek się stanie. Przyjechaliśmy do Chin, ponieważ chcieliśmy, żeby więcej ludzi zrozumiało japońską kulturę i po to, by pomagać im w nauce japońskiego, nie żeby robić coś złego... Pomóż mi opiekować się twoim bratem i siostrą. Wracając ze szkoły do domu, zrywaj zioła i dodawaj do gotowania. Namawiaj brata i siostrę, żeby więcej jedli; wszyscy rośnięcie, musicie się dobrze odżywiać. Pamiętaj, żeby przykryć kuchenkę pokrywą, zanim pójdziesz spać. Nie możecie otruć się czadem. Zamykaj okna i drzwi, kiedy wychodzisz z domu, i pod żadnym pozorem nie otwieraj nikomu. Jeśli czerwogwardziści przyjdą przeszukiwać dom, zabierz brata i siostrę na podwórko, żeby się nie bali. Od dziś chodź spać o tej samej porze, co brat i siostra, nie czekaj na mnie. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, napisz mi liścik, a ja odpiszę ci następnego ranka, zanim wyjdę. Ucz się dalej japońskiego i kultury japońskiej. Ta wiedza pewnego dnia bardzo ci się przyda. Ucz się potajemnie, ale nie bój się. Przyjdą kiedyś lepsze czasy.

Twarz mojej siostry była spokojna, lecz po obu policzkach cichutko popłynęły dwie strużki łez. Schowałam się pod kołdrą i płakałam cicho. Nie chciałam, żeby mama zobaczyła.

Mając wciąż w pamięci, jak mój brat płakał za matką, nie mogłam powstrzymać się od łez, gdy wyobraziłam sobie scenę opisywaną przez Hua'er. Hua'er była zasmucona, ale nie płakała.

Potem przez bardzo długi czas prawie nie widywaliśmy matki. Brat i ja wiedzieliśmy, że sypia z nami w pokoju, ale

jedynymi objawami jej istnienia były polecenia i informacje, które przekazywała nam przez Shu.

Potem odkryłam, że jeśli w nocy obudzę się, żeby pójść do toalety, mogę zobaczyć mamę. Zaczęłam pić przed snem jak najwięcej wody. Moja matka chyba nigdy nie spała: zawsze, gdy wstawałam, sięgała ręką, by mnie pogłaskać. Jej dłonie stawały się coraz bardziej szorstkie. Chciałam przytulać się do nich policzkiem, ale bałam się, że siostra powie, że zakłócam sen mamy.

Stawałam się coraz bardziej apatyczna i senna za dnia, ponieważ każdej nocy po kilka razy wstawałam, żeby zobaczyć mamę. Raz nawet zasnęłam w szkole, w czasie nauki najwyższych dyrektyw partii. Na szczęście moja nauczycielka była dobrą kobietą. Po lekcjach zabrała mnie w ustronne miejsce w okolicy boiska szkolnego i powiedziała:

– Zасыpanie w czasie nauki dyrektyw przewodniczącego Mao jest przez czerwonogwardzistów uważane za bardzo reakcyjne. Musisz być ostrożniejsza.

Nie rozumiałam do końca, co miała na myśli, ale wystraszyłam się, ponieważ mąż mojej nauczycielki był przywódcą lokalnego oddziału Czerwonej Gwardii. Czym prędzej wytłumaczyłam, dlaczego ostatnio źle sypiam. Nauczycielka milczała dłuższą chwilę, a ja jeszcze bardziej się zaniepokoiłam. W końcu pogłaskała mnie czule po głowie, mówiąc:

– Nie martw się, może już niedługo mama zacznie wcześniej wracać do domu.

Niedługo potem mama rzeczywiście zaczęła wracać wcześniej. Przychodziła w porze, gdy szykowaliśmy się spać. Widać było, że bardzo się zmieniła: mówiła mało, zachowywała się bardzo spokojnie. Wydawało się, że obawia się zachwiać naszym zaufaniem do niej i do naszego ojca. Mój starszy brat, który miał silną osobowość, nie potrafił

już spierać się z nią o wyjazd do Pekinu i przystąpienie do Czerwonej Gwardii przewodniczącego Mao. Z wolna życie wracało do normy. Pewnego dnia usłyszałam, jak mama wzdycha:

– Ach, gdyby wasz ojciec też mógł wrócić...

Nikt z nas nie cieszył się na myśl o spotkaniu z ojcem. Kochaliśmy go, ale jeśli był tajnym agentem, i tak musieliśmy udawać, że go nie znamy.

Jakiś czas później, jesienią 1969 roku, mojej siostrze polecono wziąć udział w wieczornych kursach, by mogła zająć twarde stanowisko po zwolnieniu ojca z więzienia i wyznaczyć wyraźną granicę między nim a nami.

Pierwszego wieczoru po kursie siostra wróciła bardzo późno. Matka czekała niespokojnie w oknie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ja też nie mogłam zasnąć, bo byłam bardzo ciekawa, jak jest na takim kursie. Czerwonogwardziści przyjmowali tam tylko tych, którzy mieli rewolucyjne poglądy. Wiedziałam, że po przyłączeniu się do takiej grupy wielu ludzi przestawano przesłuchiwać, nie robiono już rewizji w ich domach, wypuszczano też z więzień członków ich rodzin. Może nasz ojciec niedługo wróci?

Mama wysłała mnie do łóżka, ale ja co chwila tarłam oczy, wysypałam też na poduszkę stalówki od pióra, żeby tylko nie zasnąć. W końcu usłyszałam kroki i cichy męski głos za oknem, ale nie rozumiałam, co mówi. Kiedy siostra weszła do pokoju, matka podeszła do niej i spytała:

– Jak tam było?

W jej głosie był strach.

Shu położyła się bez słowa, w ubraniu. Kiedy matka próbowała pomóc jej się rozebrać, odtrąciła ją i odwróciła się, zawijając w kołdrę.

Byłam bardzo zawiedziona. Czekaliśmy tak długo i nic.

Tamtej nocy słyszałam, jak mama bardzo długo płacze. Zasnęłam, zastanawiając się, czy uraziło ją milczenie mojej siostry, czy może bała się, że jej nie kochamy. Przyśniło mi się, że mnie też przyjęli do grupy, ale w chwili, gdy podeszłam do drzwi klasy, obudziłam się.

Shu spędzała wyjątkowo dużo czasu na kursie i nigdy nic mi o tym nie mówiła. Przez kilka miesięcy wracała do domu bardzo późnym wieczorem, długo po moim zaśnięciu. Pewnego wieczoru jednak wróciła bardzo wcześnie. Mężczyzna, który ją przyprowadził, powiedział:

– Shu ciągle źle się czuje, a dzisiaj zemdląca. Instruktor polityczny kazał mi wysłać ją do domu.

Mama zbladła jak kreda i stanęła jak wryta, a siostra padła przed nią na kolana i powiedziała: – Mamo, nie mogłam nic na to poradzić. Chciałam, żeby tatę jak najszybciej wypuścili.

Mama zatrzęsała się i wyglądało na to, że zaraz padnie zemdlona. Mój starszy brat rzucił się, by ją podtrzymać, i posadził na łóżku. Potem wyprowadził mnie i młodszego braciszka do drugiego pokoju. Nie chciałam wychodzić, ale nie miałam odwagi zostać.

Następnego dnia, kiedy wychodziłam ze szkoły, czekał na mnie czerwonogwardzista. Powiedział, że instruktor polityczny polecił mi, żebym wzięła udział w kursie. Nie mogłam mu uwierzyć: przecież miałam tylko jedenaście lat. Pomyślałam, że może nauczycielka powiedziała im, że jestem grzeczna.

Byłam taka szczęśliwa, że chciałam iść do domu i powiedzieć o wszystkim mamie, ale mężczyzna rzekł, że matka została już o wszystkim poinformowana.

Klasa była niewielkim pomieszczeniem z domowym umeblowaniem, były tam łóżka, stół i kilka krzeseł, takich jak w szkole, ale większych. Stał tam też spory regał pełen

rewolucyjnych książek. Cytaty z przewodniczącego Mao i rewolucyjne slogany wypisane czerwonym tuszem wisiały na wszystkich czterech ścianach. Chodziłam dopiero do czwartej klasy szkoły podstawowej i jeszcze nie potrafiłam zrozumieć niektórych z nich.

Czerwonogwardzista, który mnie tam zaprowadził, dał mi Czerwoną Książeczkę z cytatami z przewodniczącego Mao – zawsze zazdrościłam takiej siostrze – i zapytał:

– Czy wiesz, że twoi rodzice są tajnymi agentami?

Skinęłam głową, z szeroko otwartymi oczyma. Bałam się, że w końcu i tak nie pozwolą mi wziąć udziału w tym kursie.

– Czy wiesz, że wszyscy w naszej grupie są czerwonogwardzistami?

Kiwnęłam znowu. Bardzo chciałam należeć do Czerwonej Gwardii, żeby nikt mnie już nie przezywał i żebym mogła siedzieć na pace ciężarówki i jeździć po ulicach, skandując rewolucyjne hasła. Cała ta władza i prestiż!

– Wobec tego nie możesz zdradzać tajnym agentom spraw Czerwonej Gwardii. Rozumiesz?

Przypominając sobie historie o podziemnej działalności partii i o tajnych agentach, jakich znałam z filmów, wyjąkałam:

– Nic nie powiem... mojej rodzinie.

– A teraz wstań i przysięgnij przewodniczącemu Mao, że będziesz dotrzymywać tajemnicy Czerwonej Gwardii.

– Przysięgam!

– W porządku. A teraz sama poczytaj cytaty z przewodniczącego Mao. Po jedzeniu nauczymy cię, jak je studiować.

Więść, że dostanę coś do jedzenia, zdumiała mnie. Nic dziwnego, myślałam, że siostra nic nie mówiła o swoim

kursie. Przysięgła dochować tajemnicy, a poza tym obawiała się, że mój młodszy braciszek i ja będziemy zazdrośni o jedzenie. Myśląc o tym wszystkim, czytałam swoją Czerwoną Książeczkę, nie rozumiejąc ani słowa.

Kiedy skończyłam jeść, weszło jeszcze dwóch czerwogwardzistów. Obaj byli bardzo młodzi, tylko odrobinę starsi od mojej siostry. Spytali mnie:

– Dotrzymałaś obietnicy złożonej przewodniczącemu Mao?

Skinęłam głową, ciekawa, dlaczego pytają.

– W porządku – powiedzieli. – Dziś będziemy się uczyć do późna, więc najpierw powinnaś trochę odpocząć.

Wzięli mnie w ramiona i zanieśli na łóżko, z uśmiechem pomogli mi rozpiąć kurtkę i rozebrać się, aż do ostatniej sztuki bielizny. Potem z głośnym pstryknięciem zgasili światło.

Nikt nigdy nie mówił mi, co się odbywa między mężczyznami a kobietami, nawet matka. Wiedziałam tylko, że mężczyźni tym się różnią od kobiet, że męskie spodnie zapinają się z przodu, a damskie z boku. Więc kiedy trzech mężczyzn zaczęło mnie po ciemku obmacywać, nie miałam pojęcia, o co chodzi i co będzie dalej.

Poczułam się bardzo zmęczona. Z jakiegoś powodu oczy zamykały mi się same. Zdezorientowana, usłyszałam, jak mówią:

– To twoja pierwsza lekcja. Trzeba się dowiedzieć, czy w twoim ciele są jakieś kontrrewolucyjne wpływy.

Czyjaś ręka uszczypnęła mnie w nierozwinięty sutek i jakiś głos powiedział:

– Jeszcze mała, ale na pewno jest tam już jakiś związek.

Inna ręka rozłożyła mi nogi, jeszcze inny głos wtrącił się:

– Kontrrewolucyjne elementy zawsze chowają się w najdyskretniejszych miejscach w ciele. Zobaczmy, co tam się kryje.

Poczułam nagłą falę przerażenia, jakiego nie czułam nigdy dotąd. Zaczęłam się trząść ze strachu, ale błysnęła mi myśl: na kursie są tylko porządni ludzie, na pewno nie zrobią mi nic złego.

Któryś z mężczyzn powiedział:

– Jun'er, ta jest dla ciebie. My, bracia, dotrzymujemy słowa.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Straciłam kontrolę nad swoim ciałem. Potem, gdy byłam starsza, zrozumiałam, że dodali mi do jedzenia środków nasennych. Coś dużego i grubego dźgało moje dziecięce ciało, jakby miało przebić je na wylot. Niezliczone ręce pocierały moje piersi i pośladki, czyjś wstrętny język znalazł się w moich ustach. Wokół rozbrzmiewały przyspieszone oddechy, moje ciało płonęło z bólu, jakby ktoś mnie chłostał.

Nie mam pojęcia, jak długo trwała ta piekielna lekcja. Wpadłam w totalne odrętwienie.

Twarz Hua'er była śmiertelnie blada. Musiałam przygryźć wargę, żeby nie szczekać zębami. Kiedy wyciągnęłam rękę w jej kierunku, zignorowała ją.

Wreszcie skończyły się te wszystkie dźwięki i hałasy. Płakałam i płakałam.

Kilka głosów w ciemności przemówiło:

– Hua'er, z czasem to polubisz.

– Hua'er, jesteś dobrym dzieckiem, nie ma w tobie nic złego. Twój ojciec niedługo zostanie zwolniony.

Kiedy mnie podnieśli i zaczęli ubierać, byłam bezwolna jak szmaciana lalka.

– Hua'er, przepraszam – wyszeptał cicho jeden z nich. Zawsze chciałam się dowiedzieć, do kogo należał ten głos.

Kilku czerwonogwardzistów na zmianę niosło mnie na grzbiecie w przesywająco zimnym, jesiennym wietrze. Postawili mnie na ziemi daleko od domu, mówiąc:

– Pamiętaj, przysięgałaś przewodniczącemu Mao.

Próbowałam zrobić krok, ale nie mogłam się ruszyć. Dolna połowa mojego ciała była jak podarta na strzępy. Jeden z nich podniósł mnie i zaniósł pod drzwi domu, a potem on sam i jego towarzysze rozpierzchli się w ciemności. Usłyszawszy głosy, matka otworzyła drzwi i chwyciła mnie w objęcia.

– Co się stało, Hua'er? Dlaczego wróciłaś tak późno? – pytała.

Miałam pustkę w głowie. Nie myślałam o złożonych przysięgach, ale i tak potrafiłam tylko płakać. Matka zaniósła mnie, płaczącą, na łóżko. Spojrzała na mnie w świetle lampy i zrozumiała wszystko.

– Mój Boże! – Z trudem chwyciła powietrze.

Shu potrząsała mną i pytała:

– Byłaś na tym kursie?

Ale ja tylko płakałam bez końca. Tak, byłam na kursie, na kursie dla kobiet...

Hua'er w końcu się rozplakała. Jej ramiona drgały w takt słabych, znużonych łkań. Objęłam ją ramionami i czułam, że cała się trzęsie.

– Hua'er, niech pani już nic nie mówi, to dla pani zbyt trudne do zniesienia – powiedziałam.

Twarz miałam mokrą od łez, a szloch dziewcząt z wieczornych kursów w szkole mojego brata rozbrzmiewały mi w uszach.

Nadeszło południe i strażniczka przyniosła nam coś do jedzenia. Każda z nas dostała co innego. Wymieniłam swoją tacę z tacą Hua'er, ale ledwie na nią spojrzała. Wciąż łkając, mówiła dalej:

Byłam jeszcze taka młoda. Mimo bólu zasnęłam, słysząc płacz matki i siostry.

Nagle poderwałam się ze snu. Mój starszy brat Shan stał pod naszymi drzwiami i krzychał:

– Pomocy! Matka się powiesiła!

Shu zawodziła:

– Mamo, dlaczego nas opuściłaś?

Mój braciszek Shi trzymał się czegoś i płakał. Wstałam, żeby zobaczyć, co to jest. Było to ciało mojej matki zwisające z nadproża.

Hua'er z trudem łapała oddech. Kołysałam ją w ramionach, powtarzając bez końca jej imię.

Po kilku minutach zobaczyłam kartkę przyłożoną do okienka obserwacyjnego. Było na niej napisane: „Proszę utrzymywać odpowiedni dystans od więźnia”.

Przekląłam pod nosem i zapukałam, by strażniczka otworzyła drzwi. Zostawiwszy Hua'er w pokoju odwiedzin, poszłam do biura naczelniczki więzienia z listem komisarza Mei w ręku i nalegałam, by Hua'er pozwolono nocować w moim pokoju przez dwie noce. Po długim wahaniu zgodziła się, pod warunkiem że dostanie ode mnie pisemne zobowiązanie, że wezmę pełną odpowiedzialność, w razie gdyby coś nieprzewidzianego wydarzyło się w czasie, gdy Hua'er będzie ze mną.

Po powrocie do pokoju odwiedzin zauważyłam, że Hua'er załała łzami całe jedzenie, które przed nią stało. Wzięłam ją do siebie, ale przez kolejne dwadzieścia cztery

godziny prawie się nie odzywała. Sądziłam, że prawdopodobnie stara się wydostać z głębin swojego cierpienia. Nie próbowałam nawet wyobrazić sobie, że być może boryka się z jeszcze innymi tragicznymi doświadczeniami.

Kiedy Hua'er odzyskała siły, by opowiadać dalej, powiedziała, że jej ojciec został zwolniony cztery dni po samobójstwie matki, ale nie poznawał własnych dzieci. Wiele lat później ktoś mówił im, że ojciec stracił rozum na wieść o tym, że jego ukochana żona odebrała sobie życie. Siedział bez ruchu w tej samej pozycji przez dwie doby i pytał bez końca: „Gdzie jest Youmei?”

Ani Hua'er, ani jej siostra nie odważyły się dopytywać, czy ich ojciec wiedział o „kursach” i czy przyczyniło się to do jego załamania. Po wypuszczeniu z więzienia mieszkał z nimi jak z obcymi ludźmi. W ciągu ponad dwudziestu lat jedynym, czego dzieci zdołały go nauczyć, było, że „tata” oznacza jego samego. Bez względu na to, kto i gdzie wypowiadał to słowo, zawsze na nie reagował.

Shu, siostra Hua'er, nigdy nie wyszła za mąż. Wcześniej została zaprowadzona do domu, ponieważ była w ciąży i mężczyźni z grupy postanowili, że nie powinna dalej uczestniczyć w „kursie”. Miała wówczas piętnaście lat, a matka nie odważyła się pójść z nią do szpitala, bo czerwonogwardziści potępiliby ją jako kapitalistkę i „dziurawy chodak”, a potem przepędziliby ją po ulicach w paradach pogardy. Matka zamierzała poszukać ziołowego lekarstwa na wywołanie poronienia, lecz zanim zdążyła to uczynić, gwałt na Hua'er przepełnił czarę goryczy.

Shu nie miała pojęcia, co robić, do kogo zwrócić się o pomoc. Naiwnie obwiązywała powiększający się brzuch i piersi pasami tkaniny, ale nic to nie dało. Nie wiedziała, gdzie szukać ziół, o których wspominała matka, lecz w końcu pewnego dnia przypomniała sobie, jak matka mó-

wiła, że wszystkie lekarstwa w trzech czwartych składają się z trucizny. Zażyła więc wszystkie lekarstwa, jakie były w domu, po czym w szkole straciła przytomność i dostała silnego krwawienia. W szpitalu uratowano jej życie, ale płód obumarł, a macicę trzeba było usunąć. Wtedy zyskała miano złej kobiety i „dziurawego chodaka”. Lata mijały, jej rówieśniczki odkrywały uroki macierzyństwa, a Shu stała się obojętną, milczącą kobietą, niepodobną do serdecznej, wesołej dziewczyny, którą była kiedyś.

W przeddzień wyjazdu z Zachodniohunańskiego Żeńskiego Zakładu Karnego rozmawiałam z Hua'er po raz ostatni.

Kilka lat po przeżyciach na „kursie” Hua'er znalazła w szkolnej czytelni książkę pod tytułem *Kim jesteś?*, traktującą o fizjologii kobiety oraz o chińskich koncepcjach dotyczących czystości i niewinności. Dopiero ta lektura pozwoliła jej w pełni zrozumieć znaczenie tego, co się wydarzyło.

Hua'er weszła w dorosłość z niepewną tożsamością i kruchym poczuciem własnej wartości. Nie doświadczyła marzeń młodej dziewczyny, która zaczyna poznawać znaczenie miłości, nie śniła o nocy poślubnej. Prześladowały ją tamte głosy i obmacywanie w ciemnościach „kursowej” sali. Mimo to w końcu wyszła za męża za dobrego, serdecznego człowieka, którego pokochała. W czasach, gdy brali ślub, dziewictwo w noc poślubną było miarą wartości kobiety, a jego brak często prowadził do gorzkich rozstań. Inaczej niż inni, mąż Hua'er nigdy nie miał żadnych wątpliwości co do jej dziewictwa. Uwierzył w jej opowieść, że błona dziewicza pękła jej w czasie uprawiania sportu.

Zanim nastały lata dziewięćdziesiąte, normą było zamieszkiwanie całą rodziną w jednym pomieszczeniu i spanie na posłaniach rozdzielonych jedynie cienkimi zasłonami

bądź na piętrowych łóżkach. Życie seksualne musiało odbywać się w ciemności i ciszy, a towarzyszyła mu atmosfera powściągliwości i zahamowań, które zakłócały małżeńskie relacje i często prowadziły do niesnasek.

Hua'er i jej mąż mieszkali w jednym pokoju z jego rodziną, toteż byli zmuszeni uprawiać miłość przy zgaszonym świetle, by ich cienie nie padały na zasłonę oddzielającą ich miejsce do spania. Dotyk męża w ciemności przerażał Hua'er; jego dłonie wydawały się należeć do potworów z jej dzieciństwa. Nie mogła powstrzymać okrzyku paniki. Kiedy mąż usiłował ją pocieszyć i pytał, co się stało, nie potrafiła powiedzieć mu prawdy. Bardzo ją kochał, ale nie mógł poradzić sobie z jej strachem, gdy się kochali, toteż zdusił swój popęd seksualny.

Później Hua'er odkryła, że jej mąż stał się impotentem. Winiła za to siebie i okropnie cierpiała, ponieważ darzyła go wielkim uczuciem. Starła się jak mogła pomóc mu odzyskać sprawność, ale nie była w stanie pokonać lęków, które prześladowały ją w ciemności. W końcu poczuła, że powinna zwrócić mu wolność i dać szansę nawiązania normalnych relacji seksualnych z inną kobietą, więc poprosiła o rozwód. Kiedy mąż odmówił i zapytał o powody, wymyślała jakieś marne wytłumaczenia. Powiedziała, że nie potrafi być romantyczny, mimo że pamiętał o wszystkich urodzinach i rocznicach, co tydzień stawiał jej na biurku świeże kwiaty. Wszyscy wokół widzieli, jak bardzo poprawiał jej nastrój, ale ona twierdziła, że jest małostkowy i nie potrafi uczynić jej szczęśliwą. Mówiła też, że za mało zarabia, mimo że przyjaciółki zazdrościły jej biżuterii, jaką dostawała od niego w prezencie.

Niezdolna do podania sensownego powodu rozwodu, w końcu zdobyła się na powiedzenie mężowi, że nie zaspokaja jej fizycznych potrzeb, wiedząc doskonale, że jest

on jedynym człowiekiem, który mógłby to uczynić. Wobec takiego oskarżenia mąż Hua'er nie miał wyjścia: zawiedziony, wyjechał do odległego miasta Zhuhai, które w tamtych czasach było bardzo słabo rozwinięte.

Gdy po kilku dniach w Zachodniohunańskim Żeńskim Zakładzie Karnym jechałam dżipem do domu, patrząc na zmieniające się za oknem krajobrazy, głos Hua'er wciąż rozbrzmiewał mi w uszach.

– Mój ukochany mąż odszedł – mówiła. – Czułam się, jakby wyrwano mi serce z piersi... Myślałam: w wieku lat jedenastu potrafiłam zaspokoić mężczyzn, w wieku lat dwudziestu doprowadzałam ich do szaleństwa, w wieku lat trzydziestu tracili dla mnie dusze, a po czterdziestce...? Czasem chciałam posłużyć się swoim ciałem, by dać szansę tym mężczyznom, którzy wciąż potrafili przepraszać, i pomóc im zrozumieć, czym są relacje seksualne z kobietą. Czasem chciałam odnaleźć tych czerwonogwardzistów, którzy mnie dręczyli, i patrzeć, jak walą się ich domy, a rodziny pierzchają we wszystkie strony świata. Chciałam mścić się na wszystkich mężczyznach i sprawiać im ból.

Moja reputacja jako kobiety niewiele dla mnie znaczyła. Żyłam z kilkoma mężczyznami i pozwalałam im się ze mną zabawiać. Z tego powodu dwa razy wysyłano mnie do obozów pracy, dwukrotnie wtrącono do więzienia. Instruktor polityczny w obozie nazywał mnie zatwardziałą przestępczynią, ale nie przejmowałam się tym. Kiedy ludzie nazywają mnie bezwstydnicą, nie gniewam się. Wszyscy Chińczycy dbają tylko o swoją twarz, ale nie rozumieją, w jaki sposób ich twarze są połączone z resztą ciała.

Najlepiej rozumie mnie moja siostra, Shu. Wie o tym, że zdobędę się na wszystko, by uporać się ze wspomnie-

niami przemocy seksualnej i że pragnę dojrzałej relacji, by uleczyć moje uszkodzone narządy. Czasami jestem właśnie taka, jak mówi Shu, a czasem całkiem inna.

Mój ojciec nie wie, kim jestem, ja także tego nie wiem.

Nazajutrz po powrocie do rozgłośni odbyłam dwie rozmowy telefoniczne. Najpierw zadzwoniłam do pewnej pani ginekolog. Opowiedziałam jej o zachowaniach seksualnych Hua'er i zapytałam, czy istnieje jakakolwiek terapia, która uleczyłaby psychiczną i fizyczną traumę, jakiej doznała. Pani doktor, jak się wydaje, nigdy nie zastanawiała się nad podobnymi problemami. W owych czasach w Chinach nie istniało pojęcie choroby psychicznej, zajmowano się jedynie chorobami ciała.

Następnie zadzwoniłam do komisarza Mei. Powiedziałam mu, że Hua'er jest Japonką i spytałam, czy nie można byłoby jej przenieść do jednego z więzień dla cudzoziemców, gdzie są lepsze warunki.

Zamilkł, a potem rzekł:

– Pani Xinran, jeśli chodzi o narodowość Hua'er – milczenie jest złotem. W tej chwili jej przewinienia to rozwiązłość seksualna i nielegalny konkubinat. Nie zostało jej już wiele kary do odbycia. Jeśli wyjdzie na jaw, że jest Japonką, być może zostaną jej przypisane motywy polityczne i skończy się to dla niej znacznie gorzej.

Ktokolwiek przeżył „rewolucję kulturalną”, pamięta, jak publicznie upokarzano kobiety, które popełniły przestępstwo posiadania zagranicznych ubrań lub hołdowania cudzoziemskim przyzwyczajeniom. Ku uciesze czerwonogwardzistów obcinano im włosy na najróżniejsze idiotyczne sposoby, smarowano twarze szminkami, obwieszano je powiązanymi sznurkiem butami na wysokich obcasach,

połamane na kawałki najrozmaitsze obce towary zwisały z ich ubrań pod dziwacznym kątem. Zmuszano je, by raz po raz opowiadały, w jaki sposób weszły w posiadanie cudzoziemskich przedmiotów. Miałam siedem lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłam, przez co przechodzą te kobiety, zmuszane do paradowania po ulicach i wyszydzane. Pamiętam, jak myślałam, że jeśli istnieją kolejne wcielenia, nie chcę odrodzić się jako kobieta.

Wiele tamtych kobiet wracało z zagranicy wraz z mężami, zamierzając poświęcić życie rewolucji i budowaniu nowych Chin. Powróciwszy do kraju, musiały wykonywać prace domowe za pomocą najprostszych narzędzi, ale to nic w porównaniu z koniecznością porzucenia wygodnych zwyczajów i zachowań, do których przywykły. Każde ich słowo i czyn oceniano w kontekście politycznym. Wraz z mężami znosiły prześladowania, które były ich udziałem jako tajnych agentów, oraz kolejne rewolucje, jakim podlegały za posiadanie kobiecych przedmiotów zagranicznej produkcji.

Przeprowadziłam wiele wywiadów z kobietami o podobnych doświadczeniach. W 1989 roku pewna chłopka z górskiej wioski opowiadała mi, że kiedyś uczyła się w akademii muzycznej. Jej twarz pokrywały zmarszczki, ręce miała pomarszczone i stwardniałe; nie mogłam dostrzec niczego, co mogłoby świadczyć o uzdolnieniach muzycznych. Dopiero jej głos, dźwięczny w sposób charakterystyczny dla osób, które mają za sobą ćwiczenia wokalne, wzbudził we mnie podejrzenie, że może mówić prawdę.

Pokazała mi fotografie, które ostatecznie rozwiały moje wątpliwości. Jej rodzina przez pewien czas mieszkała w Ameryce. Kiedy wrócili do Chin, moja rozmówczyni liczyła sobie niespełna dziesięć lat. Rozwijała swoje zdolności w szkole muzycznej w Pekinie, aż do wybuchu „rewo-

lucji kulturalnej”. Amerykańskie kontakty kosztowały życie jej rodziców i zrujnowały życie jej samej.

W wieku dziewiętnastu lat wysłano ją do bardzo biednego górskiego rejonu, a miejscowe władze wydały ją za chłopca. Od tamtej pory mieszkała tam cały czas. Wieśniacy żyli w takiej nędzy, że nie mogli sobie pozwolić nawet na olej do smażenia.

Zanim się rozstałyśmy, spytała: „Czy amerykańskie wojsko jest jeszcze w Wietnamie?”

Mój ojciec znał kobietę po pięćdziesiątce, która wróciła do Chin po wielu latach spędzonych w Indiach. Wykładała na uniwersytecie i była bardzo dobra dla studentów – często pomagała im finansowo z własnych oszczędności. Na początku „rewolucji kulturalnej” nikt nie sądził, że ktokolwiek się do niej przyczepi, ale była zwalczana i reedukowana przez dwa lata z powodu stylu ubierania się.

Uważała bowiem, że kobiety powinny odziewać się w żywe kolory i że mundurek Mao jest zbyt męski, toteż często pod regulaminową kurtką nosiła sari. Czerwonogwardziści twierdzili, że to objaw nielojalności wobec ojczyzny i potępiali ją za „ślepą wiarę i kult rzeczy cudzoziemskich”. Wśród czerwonogwardzistów, którzy ją prześladowali, byli studenci, którym wcześniej dawała pieniądze. Przepraszali za swoje postępowanie, mówiąc: „Jeśli nie będziemy pani zwalczać, wpadniemy w tarapaty, a nasze rodziny razem z nami”.

Nauczycielka nigdy już nie włożyła ukochanego sari, ale na łożu śmierci raz po raz powtarzała: „Sari są takie piękne!”

Inna wykładowczyni sama opowiedziała mi o swoich rewolucyjnych doświadczeniach. Odległa krewna z Indonezji przysłała jej przez członka delegacji rządowej szminkę i parę angielskich butów na wysokim obcasie. Zdawszy

sobie sprawę, że zagraniczne podarunki mogą ściągnąć na nią podejrzenie o współpracę z obcym wywiadem, nauczycielka czym prędzej wyrzuciła je bez rozpakowywania. Nie zauważyła jedenasto- czy dwunastoletniej dziewczynki bawiącej się nieopodal kontenera na śmieci, która doniosła o jej przestępstwie władzom. Przez wiele miesięcy kobietę wożono po mieście na pace ciężarówki, gdzie była lżona przez tłumy.

Między rokiem 1966 a 1976, w mrocznych latach „rewolucji kulturalnej”, chińskie ubrania damskie nie różniły się specjalnie ani krojem, ani kolorem od męskich. Niewiele było przedmiotów przeznaczonych specjalnie dla kobiet. Makijaż, piękne ubrania i biżuteria istniały wyłącznie w zakazanych dziełach literackich. Lecz bez względu na to, jak bardzo rewolucyjny był wtedy naród chiński, nie wszyscy potrafili sprzeciwić się naturze. Ktoś mógł być rewolucyjny pod każdym innym względem, lecz jeśli ulegał „kapitalistycznym” popędom seksualnym, wyganiano go na scenę i zwalczano bądź stawiano pod pręgierzem. Niektórzy w rozpaczę odbierali sobie życie. Inni udawali wzory moralności, lecz wykorzystywali mężczyzn i kobiety w trakcie „resocjalizacji”, traktując ich seksualną uległość jako „sprawdzian lojalności”. Większość ludzi, którzy przeżyli tamten okres, przebywała w otoczeniu seksualnie jałowym, zwłaszcza kobiety. W kwiecie wieku mężowie byli wtrącani do więzień lub wysyłani do szkół partyjnych na dwanaście lat, a ich żony żyły jak wdowy.

Teraz, gdy ocenia się straty, jakie przyniosła społeczeństwu chińskiemu „rewolucja kulturalna”, niszczenie naturalnych popędów jest czynnikiem, który także należy wziąć pod uwagę. Chińskie przysłowie brzmi: „W każdej rodzinie jest księga, której lepiej nie czytać głośno”. Wiele

chińskich rodzin wciąż nie stawiało czoła temu, co wydarzyło się w czasie „rewolucji kulturalnej”. Strony tej książki są pozlepiane łzami i nie da się jej otworzyć. Kolejne pokolenia zobaczą tylko rozmazany tytuł. Będąc świadkami radości krewnych i przyjaciół, spotykających się po latach, niewiele osób ma odwagę zadać sobie pytanie, w jaki sposób przez cały ten czas ludzie ci radzili sobie z pożądaniem i cierpieniem.

Bardzo często dzieci, a zwłaszcza dziewczynki, ponosiły konsekwencje wypaczonego popędu seksualnego. Dorastanie w czasie „rewolucji kulturalnej” oznaczało bycie otoczonym ignorancją, szaleństwem i perwersją. Szkoły i rodziny nie miały możliwości ani zezwolenia na podstawową edukację seksualną. Wiele matek i nauczycielek nie orientowało się w tych sprawach. Dojrzewając, dziewczynki padały ofiarą lubieżnych ataków lub gwałtów, jak Hongxue, której jedyna zmysłowa przyjemność polegała na kontakcie z małą muszką, jak Hua'er, zgwałcona przez rewolucję, albo jak Shilin, która nigdy nie dowie się, że jest dorosła. Sprawcami byli ich nauczyciele, przyjaciele, a nawet ojcowie i bracia, którzy stracili kontrolę nad zwierzęcymi instynktami i zachowywali się w najbardziej obrzydliwy i egoistyczny sposób, w jaki mężczyzna potrafi się zachowywać. Marzenia tych kobiet legły w gruzach, a zdolność przeżywania rozkoszy miłości pozostanie dla nich niedostępna na zawsze. Gdybyśmy mogli przysłuchiwać się ich koszmarom, spędzilibyśmy dziesięć albo i dwadzieścia lat, wysłuchując tej samej historii.

Jest już za późno, by przywrócić młodość i szczęście Hua'er i innym kobietom, które przeżyły „rewolucję kulturalną”. Kobiety te ciągną za sobą wielkie czarne cienie wspomnień.

Pamiętam, jak pewnego dnia w biurze Mengxing przeczytała prośbę słuchaczki o nadanie jakiejś piosenki i oznajmiła:

– Nie mogę tego zrozumieć. Dlaczego podstarzałe kobiety tak bardzo lubią te stare, wypłowiałe kawałki? Dlaczego nie rozglądają się wokół siebie, nie dostrzegają, jaki jest dzisiejszy świat? Idą naprzód wolniej niż czas, za wolno.

Duży Li postukał długopisem w biurko i upomniał ją:

– Za wolno? Nie zapominaj, że te kobiety nigdy nie miały czasu nacieszyć się młodością!

第十四章

14

modna pani

Jesienią 1995 roku złożyłam podanie o rezygnację ze stanowiska dyrektora do spraw planowania i rozwoju, uzasadniając swoją decyzję tym, że podejmuję się zbyt wielu zadań jednocześnie i że nawał pracy związanej z moją audycją – robienie reportaży, redakcja, odpowiadanie na listy słuchaczy i tak dalej – nieustannie się zwiększa. W rzeczywistości potrzebowałam po prostu trochę własnej przestrzeni. Męczyło mnie przekopywanie się przez góry dokumentów, pełnych zakazów i ograniczeń, uczestniczenie w niekończących się zebraniach. Chciałam móc przeznaczyć więcej czasu na poznawanie chińskich kobiet.

Zwierzchnicy nie byli zadowoleni z mojej decyzji, ale zdążyli już dobrze mnie poznać: gdyby zmusili mnie do pozostania na stanowisku, prawdopodobnie w ogóle opuściłabym rozgłośnię. Póki pracowałam, mogli korzystać z mojego publicznego wizerunku i rozbudowanej sieci kontaktów.

Odkąd dowiedziano się o tej zmianie, moja przyszłość stała się przedmiotem niekończących się spekulacji i debat.

Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego odrzucam gwarantowany sukces w karierze administracyjnej. Niektórzy mówili, że zamierzam dołączyć do nowych przedsiębiorców, inni, że czekają na mnie dobrze płatne wykłady uniwersyteckie, jeszcze inni, że wybieram się do Ameryki. Większość mówiła po prostu: „Cokolwiek zrobi Xinran, na pewno stanie się modne”. Wprawdzie bycie uważanym za trendsetterkę i osobę modną wydawało się pozytywne, lecz ja dobrze wiedziałam, jak wiele cierpień przysporzyły ludziom różne mody.

W Chinach moda zawsze była sprawą polityczną. W latach pięćdziesiątych modny był styl życia wzorowany na sowieckim komunizmie. Wykrzykiwano polityczne slogany, takie jak: „W dwadzieścia lat dogonimy Amerykę i prześcignemy Anglię!” i przestrzegano co do słowa najnowszych dyrektyw przewodniczącego Mao. W czasie „rewolucji kulturalnej” w modzie było jechać na wieś na „reedukację”. Najmądrzejszych i najlepszych wygnano tam, gdzie nikt nie miał pojęcia o istnieniu miejsc, w których kobiety mówią nie, a mężczyźni czytają gazety.

W latach osiemdziesiątych, po ogłoszeniu polityki „reform i otwarcia”, modny stał się biznes. W krótkim czasie na wizytówkach zaroilo się od managerów, a wielką popularność zdobyło powiedzenie: „Na sto milionów ludzi dziewięćdziesiąt milionów to biznesmeni, a pozostałe dziesięć milionów zamierza rozpocząć karierę w biznesie”.

Chińczycy nigdy nie podążali za modami z wyboru – zawsze nakłaniała ich do tego polityka. Przeprowadzając wywiady z chińskimi kobietami, zauważyłam, że wiele tak zwanych nowoczesnych czy wytyczających trendy kobiet zostało do tego najpierw zmuszonych, a następnie przesładowano je za tę samą tendencję, której stały się wcieleniem. Mężczyźni w Chinach mówią, że silne kobiety są

ostatnio w modzie – lecz kobiety sądzą, że „za każdą karierą kobiety stoi jakiś mężczyzna, który sprawia jej ból”.

Zrobiłam kiedyś wywiad ze słynną kobietą interesu. Zawsze uważano ją za dyktatorkę trendów; czytałam o niej wiele w gazetach. Byłam ciekawa, jak ona sama czuje się w roli osoby sławnej i jak doszło do tego, że taką się stała.

Zhou Ting wynajęła na nasze spotkanie luksusowy pokój w czterogwiazdkowym hotelu – powiedziała, że to dla zapewnienia prywatności. Kiedy weszła, sprawiała wrażenie kobiety zadowolonej z roli osoby modnej. Miała na sobie drogie, eleganckie rzeczy z kaszmiru i jedwabiu i sporo biżuterii, która lśniła i podzwaniała przy każdym ruchu. Nosila mnóstwo pierścionków. Mówiono mi, że w każdym z największych hoteli urządziła ekstrawagancki bankiet i że zmienia samochody tak często jak ubrania. Była dyrektorem sprzedaży w kilku dużych spółkach w regionie, produkujących zdrową żywność. Po naszej rozmowie zrozumiałam, że pod tą modną powierzchownością kryje się zupełnie inna kobieta.

Na początku wywiadu Zhou Ting kilkakrotnie podkreśliła, że od dawna z nikim nie rozmawiała o swoich prawdziwych emocjach. Powiedziałam, że zawsze pytam kobiety o ich prawdziwe historie, ponieważ prawda jest czymś, co kobiety mają we krwi. Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem i odparła, że prawda nigdy nie była modna.

W czasie „rewolucji kulturalnej” matka Zhou Ting, nauczycielka, została zmuszona przez czerwonogwardzistów do uczestniczenia w kursie edukacji politycznej. Jej ojcu pozwolono zostać w domu: miał raka nadnerczy i był tak słaby, że ledwie podnosił pałeczki. Jeden z czerwonogwardzistów powiedział później, że uznali, że nie warto się nim zajmować. Matkę w końcu wtrącono do więzienia na kilka lat.

W szkole od pierwszej klasy dokuczano Zhou Ting z powodu jej pochodzenia. Czasem koledzy z klasy bili ją na kwaśne jabłko, czasem cięli po rękach, robiąc krwawe rany. Lecz cierpienia spowodowane tymi atakami były niczym w porównaniu z koszmarem przesłuchań, prowadzonych przez robotników, zespoły propagandowe i polityczne, mające swoją siedzibę w szkole, podczas których wypytywano ją o matkę i szczypano lub bito po głowie, gdy milczała. Bała się tego tak bardzo, że trzęsa się ze strachu na widok każdego cienia padającego przez klasowe okno.

Po zakończeniu „rewolucji kulturalnej” matkę Zhou Ting uznano za niewinną i stwierdzono, że oskarżenie o bycie kontrrewolucjonistką było fałszywe. Matka i córka przez dziesięć lat cierpiały bez żadnego powodu. Ojciec Zhou Ting także nie uniknął koszmaru: w czasie „rewolucji kulturalnej” czerwonogwardziści przesłuchiwali go wielokrotnie w szpitalnym łóżku, aż zmarł.

– Do tej pory zdarza mi się budzić nagle ze złych snów o tym, jak byłam bita w dzieciństwie – powiedziała Zhou Ting.

– Czy pani przeżycia w szkole były czymś wyjątkowym? – spytałam.

Promienie słońca wpadały do pokoju. Zhou Ting zaciągnęła kotarę, by osłonić nas przed ostrym światłem.

– W szkole zawsze byłam wyjątkowa. Pamiętam, jak moi koledzy zawsze opowiadali z podnieceniem, jak to pójdą na uniwersytet popatrzeć, jak zwalczają moją matkę, albo będą podsłuchiwać, kiedy zespół polityczny będzie mnie przesłuchiwał.

– Od tamtej pory wyróżniała się pani z wielu różnych powodów, prawda?

– Tak jest. Najpierw matka, a potem mężczyźni wokół mnie sprawiali, że byłam przedmiotem zainteresowania.

– Czy chodzi o życie zawodowe, czy prywatne?

– Głównie prywatne – odparła.

– Niektórzy twierdzą, że tradycyjnie wychowane kobiety nie mogą żywić „nowoczesnych” uczuć i że nowoczesne kobiety nie potrafią być czyste ani wierne. Którą z tych dróg pani wybrała?

Zhou Ting bawiła się pierścionkami. Zauważyłam, że nie nosi obrączki.

– Z natury jestem zwolenniczką tradycji, ale, jak pani wie, byłam zmuszona się rozwieść – oświadczyła.

Pewnego razu zostałam zaproszona na spotkanie, na którym Zhou Ting przedstawiała swoje propozycje dotyczące prawa rozwodowego, ale o jej osobistych przeżyciach nie wiedziałam nic poza tym, co wyczytałam w gazetach.

– Moje pierwsze i właściwie jedyne małżeństwo – ciągnęła – wyglądało jak wiele innych chińskich małżeństw. Przyjaciele przedstawili mnie mężczyźnie, który został moim mężem. Mieszkałam wtedy w Ma'anshanie, a on w Nankinie, więc widywaliśmy się tylko raz na tydzień. To były sielankowe czasy: matkę wypuścili z więzienia, ja miałam pracę i mężczyznę. Kiedy doradzano mi, żebym dała sobie więcej czasu i zdobyła więcej doświadczenia, zanim podejmę decyzję, opierałam się – przestrogi te brzmiały według mnie jak te wszystkie pouczenia pracowników politycznych, którzy przesłuchiwali mnie w czasie „rewolucji kulturalnej”. Mój chłopak i ja właśnie zamierzaliśmy się pobrać, gdy w pracy przydarzył mu się wypadek, w wyniku którego stracił palce prawej dłoni. Przyjaciele i krewni radzili, żebym się dobrze zastanowiła, zanim wyjdę za niego za mąż – był kaleką, co oznaczało wiele problemów. Broniałam się, cytując historie miłosne, stare i nowe, chińskie i obce, i mówiłam: „Miłość jest bezinteresowna, stanowi

rodzaj poświęcenia. Czy kochając kogoś, opuścilibyście go w potrzebie?” Rzuciłam pracę i przeprowadziłam się do Nankinu, żeby go poślubić.

Rozumiałam decyzję Zhou Ting.

– Pani postępowanie było uważane przez otoczenie za naiwne, ale z pewnością była pani dumna z siebie i szczęśliwa – powiedziałam.

Zhou Ting skinęła głową.

– Tak jest, ma pani absolutną rację. Rzeczywiście byłam wtedy bardzo szczęśliwa. Wcale nie obawiałam się poślubić okaleczonego mężczyzny. Czułam się jak bohaterka romantycznej powieści. – Rozsunęła lekko zastony. Słaby promyk słońca padł jej na kark; plamka światła odbitego od naszyjnika zatańczyła na ścianie. – Kiedy rozpoczęliśmy wspólne życie, okazało się, że wszystko się zmieniło. Dyrektor zakładu pracy męża w kopalniach rudy żelaza Meishan w Nankinie obiecał, że załatwi mi dobrą posadę w szpitalu, by nas wspomóc po założeniu rodziny, ale kiedy przyjechałam, dostałam tylko pracę lekarki szkolnej w podstawówce. W dodatku pod pretekstem, że nie byłam zarejestrowana w tym rejonie, uniemożliwiono mi ubieganie się o awans i podwyżkę przed końcem roku. Nie spodziewałam się, że ci wszyscy godni, szanowani urzędnicy potrafią tak po prostu nie dotrzymać danego słowa.

Ale to nie praca stanowiła największy problem. Wkrótce zorientowałam się, że mój mąż jest nieuleczalnym kobieciarzem. Spał z każdą, która miała na to ochotę, z kobietami starszymi o dziesięć lat i z młodymi dziewczętami. Nadawały się nawet włóczęgi o matowych włosach i brudnych twarzach. Byłam zrozpaczona. Kiedy zaszłam w ciążę, nie bywał w domu całymi nocami i wymyślał przeróżne usprawiedliwienia, ale i tak zawsze się zdradzał.

W końcu udzieliłam mu poważnego ostrzeżenia i zgodził się przestać. Niedługo potem powiedział mi, że od czasu do czasu musi zostać dłużej w pracy. Kiedy jeden z jego kolegów przyszedł go odwiedzić, poinformowałam go, że mąż ma nadgodziny. „On nie ma żadnych nadgodzin”, powiedział kolega.

Zrozumiałam, że mój mąż wrócił do dawnych nawyków. Byłam wściekła. Poprosiłam sąsiadkę, by zajęła się naszym synkiem i popędziłam do domu kobiety, o której wiedziałam, że mąż romansował z nią, zanim obiecał się uspokoić. Mieszkała tylko kilka ulic dalej. Kiedy zbliżałam się do domu, zauważyłam rower męża stojący pod bramą. Trzęsąc się ze złości, zapukałam do drzwi. Czekałam dość długo, po czym zapukałam znowu. W końcu kobieta w niedbałym stroju otworzyła boczne drzwi, krzycząc:

– Kto tam, co to za hałasy w środku nocy?

Po chwili rozpoznała mnie i wyjąkała:

– Pani? Co pani tu robi? Jego tu nie ma...

– Nie przyszedł tu po niego, przyszedł do pani! – powiedziałam.

– Do mnie? Czego pani ode mnie chce? Nic pani złego nie zrobiłam.

– Mogę wejść i porozmawiać?

– To nie jest odpowiedni moment.

– W porządku, możemy porozmawiać w drzwiach. Chciałam tylko powiedzieć, żeby pani przestała się zadować z moim mężem. On ma rodzinę.

– To pani mąż codziennie przybiega do mnie, nie ja do was! – wykrzyknęła.

– I nie może pani mu odmówić, tak? – wybuchnęłam, oblewając się zimnym potem. Nie byłam przyzwyczajona do takich konfrontacji.

– Wolne żarty! – kiła kobieta. – Nie potrafi utrzymać faceta przy sobie i ma pretensje, że nie zamykam mu drzwi przed nosem!

– Ty... Ty... – Zatkano mnie z wściekłości.

– Ja? Co ja? Widać ci czegoś brakuje, więc nie przybiegaj tu i nie wyj jak kocica w rui. Sama byś robiła to, co ja, gdyby wszystko było z tobą w porządku! – Zachowywała się jak jakaś prostytutka, a była to wykształcona kobieta, lekarka.

Nagle pojawił się mój mąż, zapinając rozporek.

– O co się kłóćcie, zazdrosne suki? Zaraz wam pokażę, co to mężczyzna!

Zanim zdążyłam zareagować, złapał bambusową laskę i zaczął mnie okładać.

– Trzeba było już dawno dać jej nauczkę! – wrzeszczała jego kochanka.

Poczułam przeszywający ból w ramieniu, w które mnie uderzył. Przeszkadzała mu okaleczona ręka, więc udało mi się uchylić przed paroma kolejnymi ciosami.

Hałas wywabił wielu lokatorów osiedla z domów. Stali i biernie się przyglądali, jak mój mąż goni mnie i bije, podczas gdy jego kochanka wrzeszczała. Kiedy w końcu przyjechała policja, byłam poraniona i posiniaczona. Usłyszałam, jak jakaś stara kobieta mówi:

– Te wścibskie psy, wtykają swoje nochale w rodzinne sprawy!

W szpitalu lekarz usunął z mojego ciała dwadzieścia dwie bambusowe drzazgi. Pielęgniarka była tak oburzona tym, co mi się przydarzyło, że napisała o tym list do miejskiej gazety. Dwa dni później ukazała się w niej podobizna mojej obandażowanej twarzy, a towarzyszył temu artykuł o tym, że kobietom należy się szacunek. Wiele osób, głównie kobiet, rzecz jasna, odwiedzało mnie w szpitalu,

przynosząc różne rzeczy do jedzenia. Dopiero po paru tygodniach zobaczyłam ten artykuł. Zostałam w nim błędnie opisana jako kobieta, która doświadczała przemocy przez długi czas. Nie wiem, czy wyolbrzymiono moje problemy dlatego, że ktoś mi współczuł, czy też ktoś chciał zadziałać w imieniu wszystkich dręczonych kobiet i wsadzić mojego męża do więzienia.

– Czy próbowała pani pisać sprostowanie?

– Nie, nie miałam pojęcia, co robić, pierwszy raz w życiu pisali o mnie w gazecie. Poza tym w głębi duszy byłam wdzięczna za ten artykuł. Gdyby wszyscy uznali, że mój mąż tylko „zaprowadzał porządek w rodzinie”, to czy byłaby jakaś nadzieja na poprawienie losu kobiet?

Dla wielu Chińczyków mężczyzna, który bije żonę lub dzieci, po prostu „zaprowadza porządek w rodzinie”. Zwłaszcza starsze kobiety ze wsi akceptują takie praktyki. Ponieważ same żyły zgodnie z zasadą „Żona znosi wszystko, aż sama zostanie teściową”, uważają, że wszystkie kobiety powinny dzielić ten sam los. Dlatego ci, którzy przyglądali się bitej Zhou Ting, nie wtrącili się, by jej pomóc.

Zhou Ting westchnęła.

– Czasem myślę, że i tak nie miałam tak źle. Gorzej byłoby urodzić się kobietą wcześniej. W tamtych czasach pójście do szkoły byłoby nie do pomyślenia, a żywiłabym się pewnie ryżem niedojedzonym przez męża.

– Potrafi pani samą siebie pocieszyć – powiedziałam, myśląc, że wiele Chinek pociesza się w podobny sposób.

– Mój mąż mawiał, że to nadmiar wykształcenia mnie rozpuścił.

– Sam tego nie wymyślił. Już Konfucjusz powiedział, że brak wykształcenia u kobiety to cnota.

Zamilkłam, po czym spytałam:

– Pojawiła się pani potem w wiadomościach w związku z przypadkiem usiłowania morderstwa, prawda?

– Tak właśnie było. Gazety zrobiły ze mnie główną winowajczynię i nauczyły mnie, czym jest potęga mediów. Do dziś nikt mi nie wierzy, gdy opowiadam, co naprawdę się wydarzyło. Wszyscy uważają, że słowo drukowane jest święte.

– Czyli uważa pani, że tamte doniesienia były błędne – zasugerowałam obojętnie.

Zhou Ting zdenerwowała się.

– Wierzę w karę boską. Niech mnie piorun strzeli, jeśli kłamię!

– Żadne przysięgi nie są konieczne, proszę tak nie myśleć – powiedziałam uspokajająco. – Nie byłoby mnie tu, gdybym nie chciała usłyszeć, jak to wyglądało według pani.

Ułagodzona, Zhou Ting ciągnęła dalej:

– Wystąpiłam o rozwód, ale mąż skamlał o ostatnią szansę, mówił, że jest kaleką i beze mnie nie przeżyje. Byłam rozdarta: po tym, jak mnie pobił, nie wierzyłam w możliwość zmiany, ale obawiałam się, że naprawdę sobie beze mnie nie poradzi. Romansowanie szło mu świetnie, ale czy kochanki nie opuszczą go w biedzie?

W końcu pewnego dnia wróciłam wcześniej z pracy i zastałam męża z kobietą, oboje półnagich. Cała krew napłynęła mi do głowy i zaczęłam wrzeszczeć:

– Co z ciebie za kobieta, kurwisz się w moim domu! Wynos się!

Darłam się i wyzywałam ją jak szalona. Kobieta ruszyła do mojej sypialni i zaczęła zbierać ubrania z mojego łóżka. Złapałam z kuchni tasak i wrzasnęłam do męża:

– A teraz powiedz mi, co z ciebie za mężczyzna?

W odpowiedzi mąż kopnął mnie w krocze. Rozjuszona, rzuciłam w niego tasakiem, ale uchylił się i stał tak, gapiąc się na mnie, zdumiony, że odważyłam się go zaatakować. Trzęśłam się ze złości, ledwie mogłam mówić.

– Wy – obydwójce – co robiliście? Przyznać mi się tu zaraz, bo jak nie – ktoś tu zginie na miejscu! – wycodziłam.

Złapałam skórzany pasek wiszący na drzwiach. Zaczęłam nim wywijać jak szalona, ale się poodsuwali. Kiedy wycelowałam w męża, kobieta wymknęła się. Goniłam ją aż na posterunek policji, smagając paskiem, a ona wrzeszczała, że już nigdy nie pójdzie do łóżka z moim mężem. Gdy tylko minęła bramę komisariatu, pobiegła do dyżurki z krzykiem:

– Ratunku! Napadli mnie!

Nie miałam pojęcia, że ta kobieta jest spokrewniona z jednym z policjantów, ani że jeden z jej kochanków pracuje na tym komisariacie. Kiedy policjant podbiegł do mnie i wykręcił mi rękę, krzyknęłam:

– To wcale nie tak!

– Zamknij się! – rzucił opryskliwie.

– To było całkiem inaczej. Ta kobieta popełniła cudzołóstwo z moim mężem, w moim domu, słyszy pan? – Szamotałam się w jego uścisku.

– Co? – wykrzyknął.

Inni policjanci, którzy zebrali się dookoła, byli wstrząśnięci. Jak pani wie, pożycie seksualne poza małżeństwem było wtedy poważnym przestępstwem. Mogło się skończyć karą więzienia od trzech lat wzwyż.

Policjant puścił mnie.

– Ma pani jakieś dowody? – zapytał.

– Jeśli dostarczę wam dowodów, co z nią zrobicie? – spytałam, pewna, że znajdę dowód.

Nie odpowiedział mi wprost.

– Jeśli nie potrafi pani tego udowodnić, zatrzymamy panią pod zarzutem fałszywego oskarżenia i napadu – powiedział.

Nie istniały wtedy odpowiednie procedury prawne. Wspominając to wszystko, zastanawiam się, czy tamci policjanci w ogóle rozumieli, czym jest prawo.

– Dajcie mi trzy godziny – powiedziałam. – Jeśli nie dostarczę wam dowodów, możecie mnie zamknąć.

Jeden ze starszych policjantów, prawdopodobnie szef posterunku, odrzekł:

– W porządku, wyślę z panią kogoś, kto zabezpieczy dowody.

Kiedy wróciłam do domu w towarzystwie policjanta, mój mąż siedział na kanapie i palił papierosa. Był zaskoczony, ale zignorowałam go i poszłam prosto do sypialni, potem do toalety, ale nie mogłam znaleźć niczego podejrzanego. W końcu otworzyłam kuchenny kosz na śmieci i znalazłam parę damskich majtek, wilgotnych od nasienia.

Policjant spojrział na mnie i skinął głową. Mąż, który z niepokojem przyglądał się moim poszukiwaniom, zbladł i wyjąkał:

– Co... co ty wyprawiasz?

– Zamierzam was oskarżyć – oznajmiłam zdecydowanie.

– Zniszczysz mnie! – powiedział.

– To ty zrobiłeś wszystko, żeby mnie zniszczyć! – odparłam, zabrałam dowód i wyszłam razem z policjantem.

W komisariacie jeden z policjantów wziął mnie na stronę, mówiąc, że chce coś ze mną uzgodnić.

– Uzgodnić? – Byłam zaskoczona. – Co pan chce ze mną uzgadniać?

– Cóż, ta kobieta, którą pani oskarża o cudzołóstwo, jest synową szefa komisariatu. Gdyby to wyszło na jaw,

miałyby kłopoty. Mąż tej kobiety też błagał nas, żebyśmy doszli z panią do jakiejś ugody. Mówi, że jego żona jest nimfomanką, a ich córka właśnie skończyła czternaście lat. Jeśli wsadzimy ją do więzienia – rodzina będzie w ciężkiej sytuacji.

– A co z moją rodziną, co ja mam robić? – odparłam, coraz bardziej wściekła.

– Zamierza się pani rozwieść, prawda? Nie jest łatwo dostać rozwód, to co najmniej trzy lata mitręgi. Możemy posłać kogoś, żeby wystąpił w pani sprawie do sędziego, możemy nawet być świadkami, żeby przyspieszyć cały proces.

Zrozumiałam, do czego zmierza.

– A o czym zamierzacie panowie zaświadczyć? – spytałam.

Policjant wyglądał na chętnego do pomocy.

– Zaświadczymy, że pani mąż miał stosunki pozamałżeńskie.

– A jakie dowody przedstawić?

– O pani mężu krąży już tyle plotek. Możemy po prostu potwierdzić, że to, co o nim opowiadają, jest prawdą.

– Nie musicie się przejmować wymyślaniami historyjek – powiedziałam. – To jest dzisiejszy dowód. – Naiwnie podałam mu poplamioną bieliznę, nie prosząc o pokwitowanie ani nie nalegając na spisanie naszej ugody i wprowadzenie do akt. Chciałam jak najszybciej mieć to wszystko za sobą.

Dwa tygodnie później na rozprawie rozwodowej oznajmiłam, że policjanci mogą być moimi świadkami. Sędzia oświadczył: „W toku śledztwa ustalono, że w rzeczo-
nym komisariacie nie znaleziono potwierdzenia, jakoby zajmowano się tam jakąkolwiek sprawą dotyczącą pani”. Jak Po-

licja Ludowa może tak nabijać ludzi w butelkę? – wykrzyknęła Zhou Ting.

Nie zaskoczył mnie brak skrupułów u naszych służb policyjnych, lecz spytałam:

– Czy nie doniosła pani o tym władzom?

– Donosić? Komu? Zanim zdążyłam wrócić na komisariat i zacząć ich błagać, by zostali moimi świadkami, lokalna gazeta opublikowała reportaż pod tytułem *Zemsta żony*. Przedstawiono mnie w nim jako brutalną babę, z którą mąż chce się rozwieść. Przedrukowywali to w innych gazetach i za każdym razem trochę ubarwiali: na koniec zostałam psychopatką z rękami ociekającymi krwią!

Wstyd mi było za kolegów dziennikarzy, którzy w taki sposób zniekształcili historię Zhou Ting.

– I jak pani zareagowała?

– To była po prostu kolejna sprawa, z którą musiałam dać sobie radę. Moja rodzina się rozpadła, zamieszkałam z matką.

– A co z pani poprzednim mieszkaniem? – Zadając to pytanie, uświadomiłam sobie, że znam odpowiedź: w państwowych zakładach pracy praktycznie wszystko, co przydzielano danej rodzinie, było na nazwisko męża.

– W jego zakładzie pracy powiedzieli mi, że mieszkanie jest na niego, więc należy do niego.

– Myśleli, że gdzie pani zamieszka?

Rozwiedzione kobiety traktuje się jak zeschłe liście, pomyślałam.

– Powiedzieli, że muszę sobie znaleźć jakieś tymczasowe lokum i poczekać na następną turę przyznawania przydziałów.

Wiedziałam, że w języku biurokracji następną turą mogła oznaczać lata oczekiwania.

– I jak długo pani czekała na przydział? – spytałam.

Zhou Ting parsknęła szyderczo.

– Dziewięć lat minęło, i nic.

– Nic dla pani nie zrobili?

– Praktycznie nic. Poszłam do przewodniczącej związków, kobiety około pięćdziesiątki, żeby prosić o pomoc. Powiedziała mi serdecznym tonem: „Kobiecie jest łatwo. Niech pani znajdzie sobie następnego mężczyznę z mieszkaniem i będzie pani miała wszystko, co trzeba”.

Bezskutecznie starałam się pojąć światopogląd urzędniczki partyjnej, która powiedziała coś takiego.

– Przewodnicząca związków tak powiedziała?

– Dokładnie tak, słowo w słowo.

Stwierdziłam, że zaczynam coraz lepiej rozumieć Zhou Ting.

– Więc nie planowała pani podjęcia żadnych kroków przeciwko takiemu potraktowaniu pani przez media? – spytałam, nie spodziewając się odpowiedzi twierdzącej.

– Cóż, w końcu coś tam zrobiłam. Zadzwoiłam do redakcji gazety, ale zignorowali mnie, więc złożyłam skargę wprost u redaktora naczelnego. Pół żartem, pół grożąc mi, oznajmił: „Zhou Ting, teraz jest już po wszystkim. Jeśli pani sama nie podniesie tej sprawy, wszyscy o tym zapomną. Chce pani znowu pojawić się w wiadomościach? Chce pani dalej walczyć z gazetami?”

Nie mając ochoty na dalsze nieprzyjemności, zgodziłam się zapomnieć o sprawie.

– Ma pani miękkie serce – zauważyłam.

– Niektórzy moi przyjaciele mówią, że mam gębę pełną noży, ale serce z tofu. Ale co z tego? Kto zagląda pod powierzchnię słów, do serca?

Zamilkła, po czym podjęła znowu:

– Nie wiem doprawdy, w jaki sposób dostałam się do gazet po raz trzeci; chyba wszystko przez miłość. Był u mnie

w pracy młody nauczyciel nazwiskiem Wei Hai. Nie pochodził z tych stron, więc mieszkał w szkolnej bursie. Moja sprawa rozwodowa była w toku. Nie cierpiałam widoku męża i bałam się, że mnie pobije, więc często zostawałam po pracy w gabinecie i czytałam czasopisma. Wei Hai siedział w pokoju nauczycielskim i czytał gazety. Pewnego dnia nagle chwycił mnie za rękę i powiedział: „Zhou Ting, nie musisz tak cierpieć. Pozwól mi sprawić, byś poczuła się szczęśliwa!” Miał łzy w oczach. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Nie byłam jeszcze rozwiedziona, ale ewentualny związek z Wei Hai budził we mnie również inne wątpliwości. Był prawie dziewięć lat ode mnie młodszy; kobiety tak szybko się starzeją... wywołałibyśmy mnóstwo plotek, bałam się tego. Zna pani powiedzenie: „Słów trzeba się bać – potrafią być zabójcze” – rzekła Zhou Ting ze złością w głosie.

– Kiedy mój rozwód w końcu doszedł do skutku, już przyklejono mi etykietkę złej kobiety. Na szczęście był to czas początków reform gospodarczych. Wszyscy byli zajęci robieniem pieniędzy i mieli mniej czasu na wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Zamieszkałam z Wei Hai. Był dla mnie bardzo, bardzo dobry pod każdym względem. Byłam z nim taka szczęśliwa, że stał się dla mnie nawet ważniejszy niż syn.

To było naprawdę coś, pomyślałam, biorąc pod uwagę chińską tradycję, w której synów ceni się najbardziej ze wszystkiego na świecie.

– Po roku naszego wspólnego mieszkania przedstawiciel związku zawodowego i administrator z mojej pracy przyszli do nas i zażądali jak najszybszego uzyskania certyfikatu małżeństwa. Chiny co prawda już zaczynały otwierać się na świat, lecz konkubiny były wciąż przez wielu, zwłaszcza przez kobiety, uważane za wykroczenie prze-

ciwko moralności. Mimo to moje szczęście i siła, jaką dało mi nasze wspólne życie, przewyciężyły wszelkie obawy przed złymi opiniami innych. Małżeństwo było dla nas tylko kwestią czasu. Po wizycie urzędników postanowiliśmy wystąpić do naszych zakładów pracy o wydanie certyfikatu w ciągu najbliższego tygodnia i zarejestrowanie naszego małżeństwa. Przeżywszy ze sobą ponad rok, nie czuliśmy potrzeby uroczystego obchodzenia tego faktu, nie byliśmy też szczególnie podekscytowani.

W poniedziałkowy wieczór spytałam Wei Hai, czy już ma swój certyfikat. Powiedział, że nie. Mnie też się nie udało załatwić swojego, ponieważ byłam zbyt zajęta, więc umówiliśmy się, że oboje uzyskamy je przed środą. W środy poranek zadzwoniłam do Wei Hai, zawiadomiłam go, że już mam certyfikat i spytałam, co z jego. Odparł, że nie ma żadnego problemu. Około trzeciej zadzwonił i powiedział, że moja matka prosi, żebym pojechała do niej do Ma'anšanu. Nie mówił po co. Od razu pomyślałam, że coś się stało, zwoleńłam się wcześniej z pracy i popędziłam na autobus o czwartej trzydzieści. Kiedy po godzinie przyjechałam do matki, zdyszana i zaniepokojona, zapytała mnie ze zdumieniem:

– Co się stało? Wei Hai dzwonił, że jedzie do Ma'anšanu i żebym była w domu. Co się z wami dzieje?

– Nie mam pojęcia – odparłam zmieszana. Niewiele myśląc, zostawiłam matkę i popędziłam na przystanek, żeby odebrać Wei Hai, gdy będzie wysiadał z autobusu. Rok z okładem wspólnego życia nie stłumił pierwszych płomieni miłości. Z trudem znosiłam przebywanie oddzielnie. Cierpiałam, wychodząc rano do pracy, i nie mogłam doczekać się powrotu do domu. Byłam zauroczona, jak w transie.

Do wpół do dziewiątej wieczorem Wei Hai się nie pojawił. Odchodziłam od zmysłów. Pytałam kierowcę każdego nadjeżdżającego autobusu, czy po drodze nie było żadnych wypadków ani awarii i czy wszystkie autobusy jeżdżą według rozkładu. Ich odpowiedzi były pocieszające: nic niezwykłego się nie wydarzyło. Po dziewiątej postanowiłam, że nie mogę już dłużej czekać, więc wsiadłam do autobusu powrotnego i pojechałam do Nankinu, żeby sprawdzić, czy Wei Hai jest może w domu, chory. Bałam się myśleć, co jeszcze mogło się wydarzyć. Obawiając się, że Wei Hai może jechać autobusem do Ma'anshanu, podczas gdy ja udaję się tą samą drogą w przeciwnym kierunku, wyjęłam latarkę i świeciłam nią przez okno, wpatrując się w mijane pojazdy. Nic nie udało mi się dojrzeć, ale lepiej się czułam, próbując. Po pewnym czasie zatrzymała nas policja drogowa. Policjant, który wszedł do autobusu, oświadczył, że ktoś z pasażerów sygnalizuje latarką, toteż jest zmuszony zarządzić, by wszyscy wysiedli, i przeprowadzić kontrolę. Popędziłam na przód autobusu i wyjaśniłam mu, że świeciłam latarką, bo boję się, że mój mąż wsiadł w niewłaściwy autobus. Rozsierdzeni policjanci puścili nas, a inni pasażerowie besztali mnie za to, że spowodowałam opóźnienie. Nie przejęłam się tym – przeprosiłam i dalej wypatrywałam przez okno.

Mieszkaliśmy niedaleko przystanku autobusowego. Kiedy zbliżałam się do naszego domu, zobaczyłam światło w oknie i kamień spadł mi z serca. Mimo to obie pary drzwi były zamknięte. Zdziwiło mnie to: drzwi wewnętrzne pozostawały zwykle otwarte, jeśli ktoś był w domu. Kiedy zorientowałam się, że mieszkanie jest puste, ogarnęło mnie przerażenie. Instynkt nakazał mi otworzyć szafę w sypialni. Zmartwiałam: ubrań Wei Hai nie było. Odszedł.

– Wei Hai odszedł? Opuścił swój dom i odszedł?

Dolna warga Zhou Ting drżała.

– Tak jest, odszedł. Zabrał wszystkie swoje rzeczy. Tuż po tym, jak postanowiliśmy się pobrać, opuścił mnie.

Współczułam jej głęboko.

– Nie zostawił jakiejś kartki, listu, wyjaśnienia?

– Ani słowa – rzekła, unosząc podbródek, by łza nie spłynęła jej po policzku.

– Ach, pani Zhou Ting... – wyjąkałam, nie umiejąc znaleźć słów.

Łza spłynęła jej po twarzy.

– Upadłam. Nie mam pojęcia, jak długo leżałam na podłodze, trzęsąc się. Kiedy usłyszałam kroki za drzwiami, ostatni promyk nadziei zmusił mnie do wstania. Był to kuzyn Wei Hai. Powiedział, że Wei Hai prosił go o oddanie mi kluczy. Nie zapraszając go do środka, oznajmiłam, że jest już późno i moment nieodpowiedni i że lepiej porozmawiać następnego dnia. Nie miał wyboru – poszedł sobie.

Pozamykałam wszystkie drzwi i okna, odkręciłam kurek w kuchence, usiadłam i zaczęłam nagrywać swój głos na taśmę. Przeprosiłam matkę za to, że nie odpłaciłam jej za trudy wychowania mnie, syna za to, że nie wypełniłam swojego matczynego obowiązku i oznajmiłam, że nie mam siły dalej żyć. Nie zamierzałam zwracać się do Wei Hai, myśląc, że moja dusza wyzna mu całą miłość i cierpienie w zaświatach. Miałam uczucie, że moja głowa i całe ciało za moment wybuchną. Ledwie stałam. Nagle usłyszałam głos za oknem:

– Ting, otwórz, matka na ciebie czeka!

– Nie wyprawiaj głupot, jesteś już dorosła. Po co się przejmujesz jakimś facetem? Świat jest ich pełen!

– Tylko nie zapalaj zapałki, w żadnym wypadku!

– Szybko... okno jest duże... rozbijmy je... szybko!

Nie mam pojęcia, co działo się potem. Następnym widokiem, jaki ukazał się moim oczom, była moja matka trzymająca mnie za rękę i płacząca. Kiedy zobaczyła, że otwieram oczy, wybuchła takim płaczem, że nie była w stanie mówić. Potem powiedziała mi, że byłam nieprzytomna przez ponad dwa dni.

Mimo to nie czułam, że obudziłam się naprawdę; moje serce pozostało nadal nieprzytomne. Leżałam w szpitalu osiemnaście dni. Kiedy wyszłam, ważyłam mniej niż czterdzieści kilo.

– Jak długo trwało, zanim zapomniała pani o bólu? – Natychmiast zdałam sobie sprawę, jak głupio brzmi moje pytanie. To niemożliwe, by Zhou Ting kiedykolwiek zapomniała o cierpieniu.

Otarła oczy.

– Cierpiałam na bezsenność przez prawie dwa lata. Zaczęłam też odczuwać dziwną przypadłość: na widok mężczyzny, jakiegokolwiek, mdliło mnie. Jeśli jakiś mężczyzna wpadł na mnie w autobusie, po powrocie do domu myślałam się jak szalona. Trwało to prawie trzy lata. Od czasu odejścia Wei Hai nie mogłam znieść pracy w swoim starym miejscu, więc zrezygnowałam. Wtedy trudno było zwolnić się z pracy, ale nie miałam nic do stracenia i nie bałam się. Przyjęłam propozycję pewnej firmy handlowej. Z moją wiedzą i smykałką do interesów szybko odniosłam sukces jako przedstawiciel handlowy w branży spożywczej. Kilka większych firm oferowało mi stanowiska, dzięki czemu mogłam zdobywać doświadczenie w różnych miejscach.

Pieniądze przestały być dla mnie problemem. Zrobiłam się nawet rozrzutna. Ale do tej pory nie pozbierałam się po tej historii z Wei Hai. – Dłuższą chwilę wpatrywała się w sufit, jakby czegoś szukając. W końcu spojrzała na mnie. – W związku z moimi sukcesami w biznesie prasa znowu

zaczęła mnie zauważać. Nazwali mnie „cesarzową sprzedaży”. Gazety pisały o moich przedsięwzięciach, a dziennikarze szukali pretekstu, by przeprowadzać ze mną wywiady. Ale ja już wiedziałam, jak się bronić, i zbywałam ich, gdy uznałam to za stosowne. Moje życie osobiste nie było już tematem artykułów.

Poznałam dyrektora pewnej dużej firmy handlowej z Szanghaju, który zabiegał o mnie z dwóch powodów. Po pierwsze jego firma potrzebowała mnie do pomocy w zdobywaniu rynku. Po drugie – był impotentem i z tego powodu nigdy się nie ożenił. Dowiedziawszy się o mojej niechęci do męskiego dotyku, pomyślał, że do siebie pasujemy. Był bardzo wytrwały i zaoferował mi jedną siódmą swojego portfela udziałów jako prezent zaręczynowy. Pasował mi ten układ: nie musiałam już pracować dla innych i miałam faceta bez konieczności znoszenia obłapianek. Szanghaj-ska gazeta biznesowa opublikowała artykuł na prawach wyłączności, pod tytułem *Cesarzowa Sprzedaży poślubi szanghajskiego rekina. Spodziewane przetarasowania na rynku*. Przedruki ukazały się później w wielu innych pismach.

– Czy ślub odbędzie się wkrótce? – spytałam, z prawdziwą nadzieją, że Zhou Ting niedługo znajdzie właściwe miejsce w życiu.

– Nie, ślub odwołany – rzekła obojętnie, dotykając serdecznego palca.

– Dlaczego? Czyżby media znowu weszły pani w drogę?
– Obawiałam się, że dziennikarze znowu zaczęli utrudniać Zhou Ting życie.

– Nie, tym razem nie. Wei Hai wrócił.

– Wei Hai panią odnalazł? – Zrobiło mi się niedobrze.

– Nie, przyszedł na jedno ze szkoleń, które prowadzę dla pracowników sprzedaży. Moje serce tak długo pozosta-

wało puste – na jego widok wszystkie uczucia powróciły.
– Pokiwała głową.

– Czy nadal go pani kocha? – spytałam, nie potrafiąc ukryć niedowierzania. Zhou Ting zignorowała mój ton.

– Tak. Kiedy go zobaczyłam, natychmiast zrozumiałam, że Kocham go wciąż tak samo mocno jak przedtem.

– A on? Też panią kocha? Tak samo mocno...?

– Nie wiem i nie pytam. Boję się rozdrapywać dawne rany. Wei Hai wydaje mi się teraz słaby. Stracił ten zapał, z którym przed laty trzymał mnie za rękę i prosił, bym z nim zamieszkała, ale w jego oczach wciąż jest coś, co mnie przyciąga – oznajmiła z zadowoleniem.

Niezdolna ukryć dezaprobatę, wypaliłam:

– I pozwoliła mu pani do siebie wrócić?

Zbyt wiele spotkałam w życiu kobiet, które wybaczały mężczyznom wszelkie krzywdy, jakie im wyrządzili.

– Tak jest. Zwróciłam udziały szanghajskiemu biznesmenowi, zerwałam zaręczyny i wynajęłam kolejne mieszkanie z Wei Hai. Jesteśmy razem.

Lakoniczność tego stwierdzenia uderzyła mnie. Zainteresowana, naciskałam:

– I jesteście szczęśliwi?

– Nie wiem. Żadne z nas nie porusza tematu jego odejścia. Są takie sprawy między nami, do których chyba nigdy nie będziemy mogli wrócić.

– Myśli pani, że gdyby pani była wciąż biedna, też by do pani wrócił? – sondowałam.

Jej odpowiedź była jednoznaczna:

– Nie, nie wróciłby.

Nie posiadałam się ze zdumienia.

– W takim razie jeśli pewnego dnia założy własną firmę albo uniezależni się finansowo – sądzi pani, że znów odejdzie?

– Tak, gdyby sam zrobił karierę albo spotkał jakąś inną kobietę sukcesu, z pewnością by się ze mną rozstał.

Moje zdziwienie nadal rośnie.

– A pani?

– Dlaczego z nim jestem, to chce pani wiedzieć? – spytała wyzywająco, a jej oczy wypełniły się łzami.

Skinęłam głową.

– Jego pierwsze wyznania uczuć, nasze wspólne szczęście na początku – oto moje powody. To moje najpiękniejsze wspomnienia.

Według mnie Zhou Ting brzmiała jak kolejna zadurzona kobieta, tkwiąca w związku z mężczyzną, który nie jest jej wart. Po raz kolejny dałam do zrozumienia, że tego nie aprobuję, pytając:

– To znaczy, że teraz karmi pani swoje uczucia wspomnieniami?

– Tak, można tak powiedzieć. Kobiety naprawdę są żalotne.

– Czy Wei Hai wie, co pani o tym wszystkim myśli?

– Jest już po czterdziestce. Życie na pewno niejednego go nauczyło – znużona odpowiedź Zhou Ting sprawiła, że moje pytanie zabrzmiało naiwnie. – Pod względem emocjonalnym mężczyźni nigdy nie będą tacy, jak kobiety; nigdy nie będą w stanie nas zrozumieć. Mężczyźni są jak góry: znają tylko ziemię pod stopami i drzewa na zboczach. A kobiety są jak woda.

Przypomniałam sobie, że to samo porównanie słyszałam z ust Jingyi, kobiety, która czterdzieści pięć lat czekała na ukochanego.

– Czemu kobiety są jak woda? – spytałam.

– Wszyscy tak mówią. Myślę, że chodzi o to, że woda jest źródłem życia i że przystosowuje się do otoczenia. Tak jak kobiety, woda oddaje część siebie, by nakarmić ży-

cie, gdziekolwiek się znajdzie – Zhou Ting odpowiedziała w przemyślany sposób. – Wei Hai, jeśli znajdzie swoją szansę, nie będzie dalej tkwił w domu, w którym nie ma zbyt dużej władzy, wyłącznie ze względu na mnie.

– Racja. Jeśli mężczyzna nie ma własnego zajęcia albo utrzymuje go kobieta, to takie odwrócenie ról jest prostą drogą do klęski.

Zhou Ting milczała przez kilka chwil.

– Czy widziała pani te tytuły: *Twarda businesswoman odzruca strategiczny mariaż i odnawia miłość sprzed lat*, czy coś w tym rodzaju? Kto wie, co też pomyśleli sobie o mnie ludzie po tym, jak ten tekst przewinął się parę razy w gazetach. Media zrobiły ze mnie jakiegoś potwora: usiłowanie morderstwa, zdrada. Czegóż to ja w życiu nie robiłam. To wszystko odizolowało mnie od innych kobiet, a przyjaciele i rodzina też trzymają się na dystans. Zła sława przyniosła mi jednak pewne nieoczekiwane korzyści – Zhou Ting zaśmiała się gorzko.

– Chodzi o korzyści biznesowe?

– Tak jest. Przez te wszystkie plotki ludzie robią się podatni na moją reklamę, ponieważ wzbudzam ich ciekawość.

– Rozłożyła dłonie, pokazując wszystkie pierścionki.

– Pani życie osobiste przyczyniło się zatem do osiągnięć zawodowych – zauważyłam, rozmyślając z niezadowoleniem, że w taki oto sposób kobiety osiągają sukcesy.

– Można tak powiedzieć. Ale ludzie nie zdają sobie sprawy z ceny, jaką musiałam zapłacić.

Skinęłam głową.

– Niektórzy mówią, że kobiety zawsze muszą poświęcić swoje uczucia dla sukcesu.

– W Chinach prawie zawsze tak się dzieje – rzekła Zhou Ting, starannie dobierając słowa.

– Gdyby jakaś kobieta zapytała, na czym polega tajemnica pani sukcesu, co by jej pani odpowiedziała? – spytałam.

– Po pierwsze odłożyć na półkę kobiece, delikatne uczucia, i pozwolić, by media oniemiały ze zdziwienia, jak bardzo jesteśmy odmienne. Po drugie wyróżnić sobie serce z piersi i stworzyć jakąś chwytliwą historię dla gazet. Następnie potraktować własne blizny jako atut w biznesie: obnosić się z nimi publicznie, opowiadać o swoim cierpieniu. Kiedy ludzie będą się dziwować na widok naszych ran, rozłożyć przed nimi swoje towary i zgarnąć pieniądze.

– Ależ Zhou Ting! Czy rzeczywiście tak się to odbyło?

– Dokładnie tak. Przynajmniej ja tak to widzę – rzekła Zhou Ting z przekonaniem.

– I żyje pani z tym dalej? – zapytałam, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić kobiecej odwadze.

– Ma pani odciski na rękach? Albo blizny? Proszę ich dotknąć. Czuje pani cokolwiek? – Zhou Ting przemawiała łagodnie, ale jej słowa głęboko mnie zasmuciły.

Wstała, zbierając się do wyjścia.

– Obawiam się, że już szósta, a ja muszę jeszcze obejść kilka wielkich sklepów i sprawdzić stany magazynowe. Dziękuję za spotkanie.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że twarde blizny w pani sercu pewnego dnia zmiękczy miłość – powiedziałam.

Zhou Ting całkowicie odzyskała panowanie nad sobą.

– Dziękuję, ale znacznie lepiej jest być nieczułym niż cierpiącym – odparła twardym tonem.

Kiedy wyszłam z hotelu, słońce chyliło się ku zachodowi. Pomyślałam, jak rześkie było o poranku i jak zmęczone jest teraz, po całym dniu pracy. Słońce daje blask, kobiety – mi-

łość; ich doświadczenia są podobne. Wielu ludzi sądzi, że Chinkom, które odniosły sukces, zależy wyłącznie na pieniądzu. Niewielu rozumie, jak wiele musiały wycierpieć, by osiągnąć to, co mają.

第十五章

15

kobiety ze Wzgórza Wołania

W1995 roku przeprowadzono w Chinach badania statystyczne, które wykazały, że w bardziej rozwiniętych rejonach kraju najkrótszą średnią długość życia mają robotnicy z fabryk chemicznych, kierowcy ciężarówek, policjanci i dziennikarze. Robotnicy i kierowcy cierpią z powodu braku odpowiednich przepisów dotyczących bezpieczeństwa pracy. Praca w chińskiej policji zaś należy do najbardziej niewdzięcznych na świecie: w warunkach niedoskonałego systemu prawnego, w społeczeństwie, gdzie władza polityków sięga wszędzie, przestępcy o odpowiednich koneksjach często wymigują się od kary, po czym niekiedy mszczą się na policjantach. Ci ostatni znajdują się w konflikcie między własnym poczuciem sprawiedliwości a koniecznością wypełniania odgórných rozkazów; wieczna frustracja, niepewność i wyrzuty sumienia doprowadzają ich do przedwczesnej śmierci. Z jakiego powodu jednak dziennikarze, którzy pod wieloma względami zaliczają się do uprzywilejowanych, dzielą ten sam los?

Chińscy dziennikarze byli świadkami wielu szokujących i przykrych wydarzeń. W społeczeństwie, w którym media są podporządkowane ideologii partii komunistycznej, było im jednak niezwykle trudno przekazywać prawdę o tym, co widzieli. Często bywali zmuszani do mówienia i pisania rzeczy, z którymi się nie zgadzają.

Rozmawiałam z kobietami żyjącymi w politycznych, całkiem pozbawionych uczuć małżeństwach, obserwowałam kobiety radzące sobie z nędzą i ciężkimi warunkami życia, którym po porodzie nikt nie poda nawet jajka czy miski zupy, odsłuchiwałam taśmy z moich automatycznych sekretarek z wypowiedziami kobiet, które nie odważyły się zdradzić nikomu, że są bite przez mężów, i z powodu przepisów ograniczających wolność przekazu często nie byłam w stanie udzielić im żadnej pomocy. Mogłam tylko płakać nad nimi – prywatnie.

Kiedy Chiny zaczęły otwierać się na świat, stały się jak wygłodzone dziecko, pochłaniające wszystko, co popadnie. Później, gdy świat widział już rozpromienione, szczęśliwe Chiny w nowej szacie, nieplaczące już z głodu – nasza dziennikarska społeczność zobaczyła ciało nękanie skurczami niestrawności. Nie dało się jednak użyć mózgu tego ciała – mózg Chin bowiem nie wykształcił jeszcze komórek zdolnych do przyswajania prawdy i wolności. Konflikt między tym, co dziennikarze wiedzieli, a tym, co było im wolno powiedzieć, stworzył warunki szkodliwe dla ich zdrowia umysłowego i psychicznego.

Właśnie ten konflikt doprowadził mnie do rezygnacji z kariery dziennikarskiej.

Jesienią 1996 roku, po powrocie z partyjnego zjazdu, Stary Chen powiedział, że do północno-zachodnich i południowo-zachodnich Chin oraz innych biednych, zacofanych go-

spodarczo regionów wysyłane są specjalne grupy mające na celu walkę z nędzą. Brakuje jednak wykwalifikowanego personelu administracyjnego, który mógłby podjąć tego rodzaju wyprawy badawcze, toteż rząd często posiłkuje się zdolnymi dziennikarzami, którzy zbierają informacje. Stary Chen powiedział, że zamierza przyłączyć się do grupy jadącej na tereny starej bazy wojskowej w Yan'anie, by poobserwować życie tamtejszych ludzi. Według Chena był to zakątek zapomniany przez rewolucję.

Dostrzegłam znakomitą okazję, by poszerzyć swoją wiedzę na temat życia chińskich kobiet, i natychmiast poprosiłam o przyjęcie do jednej z tych grup. Przydzielono mnie do grupy „północno-zachodniej”, lecz tak naprawdę wybieraliśmy się w okolice na zachód od Xi'anu, miasta położonego w środkowych Chinach. Większość Chińczyków, gdy mówi o północnym zachodzie, ma na myśli Chiny środkowe, ponieważ pustynie na zachodzie nie figurują na ich mentalnej mapie.

Pakując się przed podróżą, postanowiłam nie zabierać ze sobą wielu pożytecznych przedmiotów, które zwykle wożę na reporterskie wyprawy. Po pierwsze zapowiadała się długa górską wędrowką, podczas której mieliśmy sami nieść bagaże. Nie chciałam obciążać kolegów dziennikarzy swoimi pakunkami w sytuacji, gdy oni także będą zmęczeni. Drugi powód był ważniejszy: płaskowyż lessowy, do którego zmierzaliśmy, był uważany za teren wyjątkowo biedny, sądziłam więc, że będę się czuła niezręcznie, korzystając z udogodnień na oczach mieszkających tam ludzi. Ludzie ci nigdy nie widzieli reszty świata i prawdopodobnie nie dostąpili nigdy luksusu ciepłego domu i najedzenia się do syta.

Dojechaliśmy do Xi'anu, gdzie nasza grupa podzieliła się na trzy mniejsze. W mojej znalazły się, poza mną, czte-

ry osoby: dwóch dziennikarzy, lekarz i przewodnik z lokalnych władz. Ruszyliśmy ku celowi z wielkim wigorem. Szlak nie był co prawda najtrudniejszy, ale prowadził przez chyba najbiedniejsze tereny. Istnieją niezliczone poziomy bogactwa i ńędzy, która objawia się na najróżniejsze sposoby. Im dalej, tym skromniejszy stawał się krajobraz: wysokie budowle, gwar ludzkich głosów i jaskrawe barwy miasta zostały stopniowo zastąpione przez niskie domki z cegieł lub lepianki, tumany kurzu i chłopów w szarych, niemal identycznych strojach. Coraz rzadziej spotykaliśmy ludzi i ślady ludzkiej działalności. Jednolity płaskowyż żółtej ziemi przewiewały co chwila wirujące burze pyłowe, podczas których nasze zmrużone oczy z trudem dostrzegały cokolwiek. Mottem naszej misji było: „Pomagać najbiedniejszym z najbiedniejszych stron”. Trudno zdefiniować stopień określany przedrostkiem „naj”. Spotykając się z jakąkolwiek ekstremalną sytuacją, nigdy nie można być pewnym, czy ma się do czynienia z największą możliwą skrajnością. Aczkolwiek do dziś nie dane mi było ujrzeć biedy porównywalnej z tą, z którą miałam do czynienia w czasie tamtej wyprawy.

Kiedy po dwóch i pół dniach trzęsienia się w wojskowym dżipie nasz przewodnik w końcu oznajmił, że przybyliśmy na miejsce, wszyscy sądziliśmy, że się pomylił. W otaczającym krajobrazie nie dostrzeżliśmy nawet cienia człowieka, nie mówiąc już o jakiegokolwiek wiosce. Dżip jechał slalomem między nagimi wzgórzami, po czym zatrzymał się pod jednym z większych. Po bliższym przyjrzeniu się odkryliśmy, że w zboczu znajdują się mieszkalne jaskinie. Przewodnik oznajmił, że to właśnie nasz cel: Wzgórze Wołania – maleńka wioska niezaznaczona na żadnej mapie – i że sam także znalazł się tu po raz pierwszy. Słuchałam tego ze zdumieniem, rozmyślając o dziwacznej nazwie wioski.

Ryk silnika przywabił kilku dociekliwych wieśniaków. Otoczywszy pojazd, zaczęli wygłaszać rozmaite uwagi. Nazywali samochód koniem pijącym olej, dziwowali się, gdzie się podział jego czarny ogon, gdy się zatrzymał, a kręcące się pod ich nogami dzieci paplały o tym, gdzie będą go szukać. Chciałam im wyjaśnić, że ogon to po prostu spaliny, lecz zjawili się przedstawiciele miejscowych władz, powitali nas i zaprosili do jaskiniowego domu, siedziby wioskowych przywódców.

Nasze pierwsze spotkanie ograniczyło się do wymiany konwencjonalnych uprzejmości. Z powodu wielkich różnic w wymowie i akcencie musieliśmy się bardzo skupić, by zrozumieć się nawzajem, dlatego też nie mogłam uważnie obserwować otoczenia. Na naszą cześć wydano powitalną kolację: każdego poczęstowano kilkoma plackami z białej mąki, miseczką rzadkiego kleiku z pszenicy i jajkiem smażonym z chilli na maleńkim spodeczku. Później dowiedziałam się, że to miejscowe władze poleciły przewodnikowi zabranie ze sobą jajek, specjalnie dla nas.

Po jedzeniu przy blasku trzech świec zaprowadzono nas do kwater. Dwóch dziennikarzy miało własne mieszkanie, lekarz zamieszkał z pewnym staruszkiem, a ja miałam dzielić dom z młodą dziewczyną. W blasku świecy nie mogłam dobrze rozejrzeć się po jaskini, lecz pościel przyjemnie pachniała słońcem. Uprzejmie podziękowałam za pomoc wieśniakom, którzy mnie przyprowadzili, i otworzyłam torbę. Już miałam zapytać dziewczynę, gdzie mogłabym się umyć, gdy zauważyłam, że sama już wdrapała się na kang. Przypomniało mi się, co przewodnik mówił nam w czasie podróży: woda w tych stronach była dobrem tak cennym, że nawet cesarz nie mógłby tu codziennie myć twarzy ani szczotkować zębów.

Rozebrałam się i weszłam na tę część kangu, która niewątpliwie została przeznaczona dla mnie. Chciałam pogawędzić kilka minut z dziewczyną, ale już spała, cicho pochrapując. Przyjmowanie gościa najwyraźniej nie było dla niej niczym nadzwyczajnym, więc natychmiast zasnęła. Byłam znużona. Poza tym zażywałam wcześniej tabletki przeciwko chorobie lokomocyjnej, toteż sama także szybko zapadłam w głęboki sen. Moja zdolność do spania w obcych miejscach była przedmiotem zapiekłej zazdrości kolegów, którzy twierdzili, że mam wrodzone predyspozycje do bycia dziennikarzem. Sami, zanim zdążyli zaaklimatyzować się w nowym miejscu, już musieli przenosić się gdzie indziej, gdzie od początku cierpieli na bezsenność. Dla nich długie reporterskie podróże były prawdziwą udręką.

Obudziło mnie światło przenikające do jaskini. Ubrałam się i wyszłam na zewnątrz – dziewczyna już przygotowywała śniadanie.

Niebo i ziemia sprawiały wrażenie, jakby stały się jednym. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz jego blask z oddali już rozprzestrzenił się po tej rozległej płaszczyźnie, przypominającej malarskie płótno, dotykając skał na wzgórzach i złocąc żółtoszarą ziemię. Nigdy dotąd nie widziałam tak pięknego świtu. Pomyślałam, że być może rozwój turystyki mógłby podźwignąć te rejony z biedy. Ten imponujący wschód słońca ani trochę nie ustępował widokom, dla których ludzie wspinają się na górę Tai albo udają się na brzeg morza. Kiedy później wspomniałam o tym, że warto odwiedzać także Wzgórze Wołania, pewien młodzieniec odrzucił ten pomysł, jako wynikający z kompletnej ignorancji: we Wzgórzu Wołania nie wystarczało wody nawet na podstawowe potrzeby mieszkańców wioski – w jaki sposób mieliby oni zadbać o tłum turystów?

Duszący dym ogniska rozpalonego przez dziewczynę wyrwał mnie z zamyślenia. Suszony krowi nawóz, który służył za opał, wydzielał gryzącą woń. Palenisko było zbudowane z kilku głazów, na których dziewczyna umieściła garnek i płaski kamień. W garnku gotowała rzadki mączny kleik, a na kamieniu przypiekała placki. Na imię miała Nü'er (dziewczyna). Powiedziała, że w zimie nawóz jest ich jedynym opałem. Tylko przy specjalnych okazjach, jak pogrzeb albo ślub, lub przy wizytach rodziny i przyjaciół, gotuje się na nawozie, co stanowi wyraz przyjaźni. Codziennym opałem, służącym do gotowania, są korzenie trawy z gatunku *imperata* (rośliny występującej na skrajnie suchych terenach, o rozległym systemie korzeniowym i tylko kilku efemerycznych liściach), na których podgrzewa się odrobinę wody na kleik. Placki z grubej mąki, zwane *mo*, piecze się tylko raz do roku na rozpalonych letnim słońcem głazach, a potem przechowuje pod ziemią. Są tak suche i twarde, że prawie rok nadają się do jedzenia. Podanie mi *mo* stanowiło wyraz wielkiego szacunku. Tylko mężczyźni, którzy uprawiają rolę, mają prawo je jeść. Kobiety i dzieci żywią się rzadkim kleikiem pszenicznym – lata życia w ciężkich warunkach przyzwyczyły je do głodu. Nü'er mówiła, że największym honorem i luksusem jest dla kobiety zjedzenie jajka wymieszanego z wodą po urodzeniu syna. Później przypomniałam sobie o tym, słysząc kwestię jednej z kłócących się kobiet: „Ciekawe, ile ty zjadłaś w życiu jajek z wodą?”

Po tym wyjątkowym pierwszym śniadaniu, składającym się z kleiku i *mo*, nasza grupa zabrała się do pracy. Wyjaśniłam zwierzchnikom, że chciałam zrobić reportaż o kobietach ze Wzgórza Wołania. Ludzie ci, którzy nie potrafili nawet zapisać swoich imion, lecz uważali się za wykształ-

conych, kręcili głowami ze zdumienia. „A co jest ciekawego do powiedzenia na temat kobiet?”

Nalegałam, więc w końcu ustąpili. Dla nich byłam jeszcze jedną kobietą, która nie ma o niczym pojęcia i podąża jedynie śladami mężczyzn, starając się komuś zaimponować. Nie przejmowałam się ich postawą. Wieloletnie doświadczenie dziennikarskie nauczyło mnie, że dostęp do źródeł jest ważniejszy niż opinie innych na mój temat.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam nazwę Wzgórze Wołania, poczułam nieokreślone podniecenie i doznałam wrażenia, że nieprzypadkowo trafiłam właśnie tu. Nazwa budzi skojarzenie z hałaśliwym, gwarnym miejscem, kipiącym życiem. W rzeczywistości jednak jest dokładnie odwrotnie. Żółte wzgórze wyrasta z gołej ziemi, piasku i kamieni. Nie ma śladu wody ani roślin zielonych. Rzadko spotykane niewielkie żuki zachowują się, jakby uciekały z tej opuszczonej krainy.

Wzgórze Wołania leży w tym pasie ziemi, gdzie pustynia wdziera się na płaskowyż lessowy. Przez cały rok nieprzerwanie wieją tu silne wiatry. Od tysięcy lat. W czasie burzy piaskowej widać ledwie na kilka kroków, a wieśniacy pracujący w polu na wzgórzu porozumiewają się ze sobą głośnymi krzykami. Z tego powodu mieszkańcy Wzgórza Wołania słyną z donośnych, dźwięcznych głosów; nikt nie potrafi stwierdzić, czy stąd właśnie wzięła się nazwa wioski, ale sądzę, że to możliwy powód. Wzgórze Wołania jest miejscem całkowicie odciętym od cywilizowanego świata: w tutejszych niskich, ciasnych jaskiniach mieszka dziesięć, dwanaście rodzin noszących tylko cztery nazwiska. Wartość kobiet ocenia się tu wyłącznie na podstawie ich użyteczności: jako narzędzia reprodukcji stanowią dla wieśniaków najcenniejszy towar. Mężczyźni bez wahania

wymieniają po dwie albo trzy dziewczynki na żonę z innej wioski. Wydanie kobiety za mężczyznę z innej wioski w zamian za żonę dla męskiego członka rodziny jest najczęściej praktykowanym rozwiązaniem, dlatego większość kobiet ze Wzgórza Wołania pochodzi spoza wsi. Kiedy zostają matkami, zmusza się je z kolei do oddawania własnych córek. Kobiety ze Wzgórza Wołania nie mają prawa własności ani dziedziczenia.

We Wzgórzu Wołania występuje także specyficzny, rzadki obyczaj dzielenia się żoną przez kilku mężów. W większości przypadków bracia z najbiedniejszych rodzin, które nie mają kobiet na wymianę, kupują sobie jedną wspólną żonę, by zapewnić przetrwanie rodu. W ciągu dnia korzystają z pożywienia przygotowywanego przez kobietę i prac domowych, które wykonuje, a w nocy po kolei z jej ciała. Jeśli kobieta pocznie dziecko, sama często nie wie, kto jest jego ojcem. Dla dziecka bracia nazywają się Najstarszy Tata, Drugi Tata, Trzeci Tata, Czwarty Tata i tak dalej. Wieśniacy nie uważają tych praktyk za nielegalne, ponieważ stanowią one ustalony zwyczaj, przekazany im przez przodków, co czyni go silniejszym od wszelkiego prawa. Nie kpią także z dzieci, które mają po kilku ojców, ponieważ dzieci te cieszą się opieką kilku mężczyzn i korzystają z ich własności. Nikt tu nie współczuje wspólnym żonom – dla mieszkańców wioski rację bytu kobiety stanowi jej użyteczność.

Kobiety, niezależnie od miejsca pochodzenia, szybko przyjmują zwyczaje przekazywane we Wzgórzu Wołania z pokolenia na pokolenie. Ich los jest wyjątkowo ciężki. W jednoizbowych jaskiniowych mieszkaniach, których połowę zajmuje kang, całe domowe wyposażenie składa się z kilku kamiennych płyt, mat plecionych z trawy i misek z surowej gliny. Fajansowy dzban jest przedmiotem luksusowym, obecnym tylko w zamożnych domach. Zabawki

dla dzieci czy jakiegokolwiek sprzęty przeznaczone tylko do użytku kobiet są w tej społeczności nieznanne. Ponieważ żony kupuje się, używając jako waluty kobiet z rodziny, muszą one znosić niechęć tych, którzy tęsknią za swoimi córkami i siostrami, oraz pracować dzień i noc, by zapewnić pożywienie, wodę i zaspokoić codzienne potrzeby wszystkich jej członków.

We Wzgórzu Wołania to kobiety pierwsze witają świt: muszą nakarmić zwierzęta gospodarskie, zamieść podwórze, polerować i naprawiać tępe, zardzewiałe narzędzia swoich mężów. Kiedy już wyprawiają mężczyzn do pracy w polu, idą po wodę do niepewnego strumienia na odległym zboczu góry, o dwie godziny drogi od wioski, i przynoszą ją w wiadrach dzwiganych na ramionach. W sezonie wspinają się wysoko na wzgórze i wykopują korzenie trawy na opał. Po południu zanoszą jedzenie mężczyznom, a po powrocie przędą, tkają, szyją ubrania, buty i nakrycia głowy dla całej rodziny. Przez cały dzień niemal wszędzie zabierają ze sobą małe dzieci, dzwigając je w ramionach bądź na plecach.

We Wzgórzu Wołania spanie z kobietą określa się słowem „używać”. Kiedy mężczyźni wracają o zachodzie słońca i chcą „użyć” swoich żon, często pokrzykują na nie niecierpliwie: „Czego się guzdrzesz? Włazisz na kang czy nie?” Po „użyciu” kobiety sprzątają i zajmują się dziećmi, podczas gdy ich mężowie już chrapią. Żony mogą odpocząć dopiero głęboką nocą, ponieważ jest już zbyt ciemno, by pracować. Kiedy próbowałam doświadczyć życia tych kobiet choćby w niewielkiej części, przyłączając się na krótko do ich codziennych prac domowych, moja wiara w wartość życia uległa poważnemu zachwianiu.

Jedynym czasem, gdy kobieta ze Wzgórza Wołania może nieść głowę wysoko, jest dzień, w którym urodzi syna. Zła-

na potem po trudach porodu słyszy słowa, które napętniają ją dumą i zadowoleniem: „Mamy go!” To najwyższa pochwała, jaką kiedykolwiek otrzyma od męża, a nagrodę stanowi jajko w miseczce, posłodzone i zmieszane z gorącą wodą. Jeśli urodzi córkę, nie doświadczy nieprzychylności, lecz nie otrzyma też owego przysmaku. Wzgórze Wołania ma specyficzną organizację społeczną, lecz pod względem faworyzowania synów nie różni się od reszty Chin.

W pierwszych dniach spędzonych we Wzgórzu Wołania zastanawiałam się, dlaczego większość dzieci bawiących się bądź pomagających kobietom w codziennych zajęciach w pobliżu domu to chłopcy; przypuszczałam, że jest to kolejne miejsce, gdzie praktykuje się zabijanie nowo narodzonych dziewczynek. Później okazało się, że przyczyną jest brak ubrań. Kiedy rodzina zdobywa nowe ubrania, raz na trzy, pięć lat, w pierwszej kolejności odziewa chłopców, podczas gdy dziewczynki często używają jednego kompletu ubrań, który musi pasować na wszystkie. Siostry siedzą więc na kangu, przykrywając się jedną dużą płachtą materiału, i na zmianę przebierają się w jedno ubranie, by móc wyjść na zewnątrz i pomóc matce.

Poznałam rodzinę z ośmioma córkami, które miały tylko jedną parę spodni, tak połataną, że nie było widać materiału, z którego zostały uszyte. Ich matka była w ciąży z dziewiątym dzieckiem, lecz kang w domu wcale nie był większy niż te w rodzinach z trojgiem albo czworgiem dzieci. Osiem dziewcząt siedziało jedna przy drugiej i szyło buty, stosując ścisły podział pracy, jak linia produkcyjna w niedużym warsztacie. Pracując, śmiały się i gawędziły. Kiedy je zagadywałam, opowiadały, co widziały i słyszały w dniu, w którym chodziły w ubraniu. Wszystkie liczyły dni

do momentu, gdy przyjdzie na nie kolej. Rozprawiwały wesoło o tym, w której rodzinie ostatnio był ślub albo pogrzeb, gdzie urodził się syn, a gdzie córka, który mąż bije żonę, kto kogo ostatnio zwymyślał i tak dalej. Rozmawiały głównie o mężczyznach z wioski. Nawet ślady na ziemi w miejscu, gdzie załatwił się jakiś chłopczyk, były tematem do dyskusji i żartów. W ciągu ponad dwóch tygodni, które z nimi spędziłam, nigdy nie słyszałam, by rozmawiały o kobietach. Kiedy umyślnie kierowałam rozmowę ku takim tematom, jak fryzury, ubrania, figura, makijaż czy inne zainteresowania kobiet całego świata, dziewczynki często nie miały pojęcia, o czym mówię. Styl życia kobiet we Wzgórzu Wołania był jedynym, jaki znały. Nie miałam odwagi opowiadać im o świecie, o tym, jak żyją kobiety gdzie indziej, ponieważ wiedziałam, że życie ze świadomością tego, czego same nigdy nie osiągną, byłoby znacznie cięższe niż ich obecny los.

Zaobserwowałam u mieszkanki Wzgórza Wołania dziwne zjawisko: kiedy dorastały do wieku lat kilkunastu, ich chód stawał się bardzo dziwaczny. Zaczynały chodzić okrakiem, kołysząc się z każdym krokiem. U małych dziewczynek podobna skłonność nie występowała. Zastanawiałam się nad tą zagadką przez pierwszych kilka dni, lecz nie miałam ochoty się dopytywać. Miałam nadzieję, że znajdę odpowiedź własną metodą.

Miałam zwyczaj rysować krajobrazy, które uznałam za typowe dla miejsc, w których robiłam reportaże. By sportretować Wzgórze Wołania, nie potrzebowałam kolorów; by zobrazować jego charakterystyczne elementy, wystarczyło kilka kresek. Szkicując, zauważyłam niewielkie sterty kamieni, których nigdy przedtem nie widziałam. Większość z nich znajdowała się w ustronnych miejscach. Przygląda-

jąc się bliżej, odkryłam, że leżą pod nimi czarno-czerwone liście. We Wzgórzu Wołania rośla tylko trawa *imperata*; skąd więc pochodziły owe liście?

Przyjrzałam się im uważnie: przeważnie miały około dziesięciu centymetrów długości i pięciu centymetrów szerokości. Wyraźnie poprzącinano je do tego wymiaru. Wyglądały na pościerane i poroztłukiwane ręcznie. Niektóre były nieco grubsze od innych i wilgotne w dotyku, wydzielaly rybą woń. Inne, mocno wysuszone pod wpływem ciężaru kamieni i palących promieni słońca, nie były jednak kruche, lecz bardzo twarde, i miały ten sam silny, słony zapach. Nigdy nie widziałam podobnych liści. Byłam ciekawa, do czego służą, i postanowiłam zapytać wieśniaków.

Mężczyźni mówili: „To kobiece rzeczy!” i odmawiali dalszych wyjaśnień.

Dzieci kręciły głowami ze zdumieniem i mówiły: „Nie wiem, po co one są, mama i tata mówią, żeby ich nie dotykać”.

Kobiety tylko spuszczały głowy w milczeniu.

Kiedy Nü'er zauważyła, że głowię się nad kwestią owych liści, powiedziała: „Niech pani zapyta moją babcię, to pani powie”. Babcia Nü'er nie była stara, lecz wczesne zamążpójście i wielodzietność uczyniły z niej członkinię najstarszego pokolenia.

Wyjaśniła mi cierpliwie, że liści tych używają kobiety w czasie miesiączek. Kiedy dziewczyna ze Wzgórza Wołania ma pierwszą miesiączkę albo w wiosce przybywa nowa żona, otrzymuje dziesięć liści od matki lub innej kobiety ze starszego pokolenia. Pochodzą one z drzew, które rosną bardzo daleko. Starsze kobiety uczą dziewczęta, jak się z nimi obchodzić. Najpierw każdy liść trzeba przyciąć do odpowiedniego rozmiaru, tak, by nadawał się do noszenia w spodniach. Następnie szydłem robi się w nich małe

otworki, by stały się bardziej chłonne. Liście są dość elastyczne i mają grube włókna, więc pęcznieją, wchłaniając krew. W tych stronach, gdzie woda jest tak cennym dobrem, nie ma innego sposobu niż wyciskać i suszyć liście po każdym użyciu. Kobieta używa swoich dziesięciu liści przez cały czas trwania miesiączki, miesiąc po miesiącu, nawet po porodzie. Liście stanowią jedyny przedmiot, jaki zabiera ze sobą do grobu.

Wymieniłam kilka podpasek, które miałam ze sobą, na jeden liść od babci Nü'er. Kiedy go dotykałam, miałam łzy w oczach: jak te szorstkie liście, twarde nawet dla ręki, można przykładać do najwrażliwszych kobiecych miejsc? Wtedy zrozumiałam, dlaczego kobiety ze Wzgórza Wołania chodzą okrakiem: ich uda są systematycznie ocierane i ranione przez owe liście.

Jest jeszcze jeden powód dziwnego sposobu chodzenia mieszkanek Wzgórza Wołania, który wstrząsnął mną nawet bardziej niż ten pierwszy.

W piśmie chińskim słowo „łono” zapisuje się dwoma znakami, oznaczającymi „dziecko” i „pałac”. Prawie każda kobieta wie, że macica jest jednym z najważniejszych organów jej ciała. Kobiety ze Wzgórza Wołania nie wiedzą nawet, co to jest.

Lekarz, który przyjechał wraz z nami, opowiedział mi, że jeden z wieśniaków poprosił go o zbadanie żony, ponieważ wielokrotnie zachodziła w ciążę, ale nigdy nie udało jej się jej donosić. Za jego specjalnym pozwoleniem lekarz przeprowadził badanie i oniemiał ze zdumienia, widząc, że kobieta cierpi na wypadanie macicy. Ciągłe tarcie i wieloletnie infekcje sprawiły, że część wystająca na zewnątrz stwardniała niczym zrogowaciała skóra. Lekarz nie potrafił wyobrazić sobie, co spowodowało taki stan. Zaskoczona

jego reakcją pacjentka poinformowała go z dezaprobatą, że wszystkie kobiety we Wzgórzu Wołania tak właśnie wyglądają. Doktor poprosił mnie o pomoc w weryfikacji tego twierdzenia; po kilku dniach potwierdziłam słowa tej kobiety, poczyniwszy dyskretne obserwacje innych mieszkanek wioski w czasie, gdy załatwiały swoje potrzeby. Wypadanie macicy było kolejnym powodem, dla którego kobiety chodziły okrakiem.

We Wzgórzu Wołania nikt nie sprzeciwia się porządkowi natury, a planowanie rodziny jest pojęciem nieznanym. Kobiety traktuje się jak maszyny rozplodowe, które rodzą jedno dziecko na rok albo nawet troje na dwa lata. Nie ma żadnej gwarancji, że dzieci przeżyją. Wedle mojej wiedzy jedynym ograniczeniem wzrostu liczebności ludności jest śmiertelność niemowląt lub poronienia spowodowane wyczerpaniem.

Spotkałam we Wzgórzu Wołania wiele ciężarnych kobiet, ale nie zauważyłam, by radośnie oczekiwały dziecka – ani one, ani ich mężowie. Nawet w zaawansowanej ciąży musiały pracować tak samo ciężko, jak przedtem, i pozwalać na „używanie” ich ciał przez mężczyzn, według których „tylko te dzieci, których nie uda się zgnieść, są wystarczająco silne”. Byłam tym wszystkim zbulwersowana, przerażała mnie zwłaszcza myśl o wspólnych żonach, „używanych” przez kilku mężów przez całą ciążę. Dzieci, które przychodziły tu na świat, były rzeczywiście niezwykle silne: teoria doboru naturalnego niewątpliwie sprawdzała się we Wzgórzu Wołania. Efektem tego brutalnego pragmatyzmu były wypadające macice u wielu nieustraszonych, pozbawionych egoizmu wieśniaczek.

Po tym jak dowiedziałam się, że wypadająca macica jest we Wzgórzu Wołania zjawiskiem normalnym, długo nie mogłam zasnąć. Leżałam na glinianym kangu, płacząc nad

kobietami, które należą do tego samego pokolenia i żyją w tej samej epoce co ja. Fakt, że mieszkanki Wzgórza Wołania nie znają organizacji nowoczesnego społeczeństwa, nie mówiąc już o prawach kobiet, był marnym pocieszeniem. Ich szczęście wynika z ignorancji, z ich obyczajów i z wiary, że wszystkie kobiety na świecie żyją w ten sam sposób. Opowiadanie im o zewnętrznym świecie byłoby jak zdzieranie odcisków ze stwardniałej od pracy dłoni i pozwalanie, by ciernie wbijały się w delikatne ciało.

W dniu wyjazdu ze Wzgórza Wołania odkryłam podpaski, które podarowałam babci Nü'er, zatknięte za spodnie jej synów. Używali ich jako chusteczek do ocierania potu i dla ochrony rąk.

Zanim trafiłam do Wzgórza Wołania, sądziłam, że obywatelki Chin z wszystkich grup etnicznych są podobne – rozwijają się na swój indywidualny sposób, lecz w gruncie rzeczy wszystkie idą z duchem czasu. Podczas tych dwóch tygodni we Wzgórzach Wołania spotkałam jednak matki, córki i żony, które pozostały gdzieś u początków historii, wiodąc prymitywny żywot w nowoczesnym świecie. Martwiłam się o nie. Czy kiedykolwiek nadrobią ten dystans? Nie da się przebyć go jednym krokiem, a historia nie będzie na nie czekała. Gdy jednak wróciłam do swojego biura i okazało się, że inne wyprawy, podobne do naszej, zwracają uwagę reszty kraju na społeczności żyjące w odosobnieniu, poczułam, że coś się zaczyna. Ten początek budził nadzieję. Być może istnieje sposób, by pomóc kobietom ze Wzgórza Wołania podążyć szybszym krokiem...

Duży Li wysłuchał mojej opowieści o kobietach ze Wzgórza Wołania i zapytał:

– Czy są szczęśliwe?

– Nie bądź śmieszny! – wykrzyknęła Mengxing. – Jak mogą być szczęśliwe?

Powiedziałam Mengxing, że spośród setek Chinek, z którymi rozmawiałam w ciągu niemal dziesięciu lat swojej kariery dziennikarskiej i prezenterkiej, mieszkanki Wzgórza Wołania były jedynymi, które twierdziły, że są szczęśliwe.

尾声

epilog

Wsierpniu 1997 roku wyjechałam z Chin do Anglii. Przeżycia we Wzgórzu Wołania wstrząsnęły mną. Poczulałam, że muszę odetchnąć świeżym powietrzem – dowiedzieć się, jak to jest żyć w wolnym społeczeństwie. W samolocie do Londynu siedziałam obok mężczyzny, który oświadczył, że wraca z siódmej podróży do Chin. Widział wszystkie najważniejsze zabytki. Ze znanstwem rozprawiał o herbacie, jedwabiu i „rewolucji kulturalnej”. Zaciekawiona spytałam, co wie o pozycji kobiety w społeczeństwie chińskim. Odrzekł, że ma wrażenie, że wśród Chińczyków panuje równość: gdziekolwiek był, widział, że kobiety i mężczyźni wykonują tę samą pracę.

Wsiadałam na pokład z myślą, że mogłabym spróbować przybliżyć życie Chinek zachodnim czytelnikom. Nagle, w obliczu ograniczonej wiedzy tego mężczyzny, zadanie to wydało mi się beznadziejne. Musiałabym sięgnąć pamięcią do tych wszystkich historii, które pozbierałam przez lata. Musiałabym jeszcze raz przeżyć to wszystko, co czułam, słuchając ich po raz pierwszy, i szukać właściwych słów,

by opisać całą niedolę, gorycz i miłość odczuwaną przez ich bohaterki. Nawet wtedy nie będę miała pewności, jak czytelnicy zinterpretują te opowieści. Ponieważ nigdy nie byłam na Zachodzie, nie miałam pojęcia, ile wie się tutaj o Chinach.

W cztery dni po moim przyjeździe do Londynu zmarła księżna Diana. Pamiętam, jak stałam na peronie stacji metra Ealing Broadway w tłumie ludzi niosących wiązanki kwiatów, które zamierzali złożyć przed bramą Pałacu Buckingham. Nie mogłam powstrzymać dziennikarskiego odruchu i spytałam kobietę stojącą obok, co księżna Diana znaczyła dla niej osobiście. Zaczęłyśmy rozmawiać o pozycji kobiety w Wielkiej Brytanii. Po chwili spytała, jak żyje się kobietom w Chinach. Według niej z punktu widzenia ludzi z Zachodu Chinki wciąż kryją się za starożytną zasłoną. Stwierdziła, że warto spróbować uchylić rąbka tego welonu. Jej słowa zainspirowały mnie: być może mimo wszystko znajdę na Zachodzie zainteresowanych słuchaczy moich opowieści. Potem, gdy rozpoczęłam pracę w Studium Orientalistycznym i Afrykanistycznym Uniwersytetu Londyńskiego, otrzymałam więcej zachęt. Opowiedziałam jednej z wykładowczyń o moich wywiadach, na co stwierdziła stanowczo, że powinnam je spisać. Większość istniejących książek według niej traktuje o konkretnych chińskich rodzinach, a moje opowieści otworzyłyby szerszą perspektywę.

Decydujący moment nadszedł jednak wtedy, gdy pewna dwudziestodwuletnia Chinka poprosiła mnie o pomoc. Studiowała w SOAUL i któregoś dnia przysiadła się do mnie w stołówce studenckiej. Była bardzo przygnębiona. Jej matka, nie zważając na koszty zagranicznych rozmów, dzwoniła do niej codziennie, by ostrzec ją, że mężczyźni na Zachodzie to „seksualni chuligani” i że nie powinna po-

zwałać im się do siebie zbliżyć. Nie mogąc zwrócić się do nikogo o radę dziewczyna desperacko łaknęła odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania dotyczące stosunków damsko-męskich. Jeśli pocałujesz mężczyznę, czy nadal jesteś dziewicą? Dlaczego zachodni mężczyźni tak często i swobodnie dotykają kobiet?

Nieopodal nas w stołówce siedzieli inni studenci i studentki, którzy uczyli się chińskiego i rozumieli, co mówiła. Uśmiechali się z niedowierzaniem, zdumieni, że ktokolwiek może być aż tak niewinny. Ja jednak byłam bardzo poruszona jej nieszczęściem. W dziesięć lat po tym, jak Xiao Yu napisała do mnie z pytaniem, czy miłość jest naruszeniem moralności, i odebrała sobie życie, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, pojawiła się kolejna młoda dziewczyna, która za sprawą swojej matki pozostawała w całkowitej nieświadomości w kwestiach seksualnych. Studenci i studentki z Zachodu, z którymi chodziła na wykłady i którzy obejmowali się wzajemnie z całkowitą swobodą, nie mieli pojęcia, przez co przechodzi ich koleżanka. Faktem jest, że w Chinach wiele młodych kobiet, zwłaszcza mieszkanek miast, jest bardziej doświadczonych – takie by ją wyśmiały. Lecz ja rozmawiałam już z tyloma dziewczętami w podobnej sytuacji. Po tym, jak usłyszałam jej wołanie o pomoc, poczułam jeszcze mocniejszy wewnętrzny nakaz, by z jej łez, i swoich własnych, wybudować ścieżkę ku porozumieniu.

Przypomniałam sobie, co pewnego razu powiedział mi Starý Chen:

– Xinran, powinnaś to wszystko opisać. Słowo pisane jest czymś w rodzaju skarbcza: pomaga stworzyć przestrzeń dla nowych myśli i uczuć. Jeśli nie zapiszesz tych opowieści, będą dalej przepelniały twoje serce, aż w końcu je rozsądną.

W tamtych czasach w Chinach za napisanie takiej książki jak ta mogłabym trafić do więzienia. Nie mogłam ryzykować opuszczenia własnego syna i tych wszystkich kobiet, dla których moja audycja była pomocą i pocieszeniem. W Anglii stało się to możliwe. Poczułam się, jakby pióro wyrosło mi w sercu.

感谢

podziękowania

Pragnę podziękować:

Pan Panowi

za to, że dał mi czas, który przeznaczyłam na pisanie

Rodzicom

za pomoc w lepszym zrozumieniu Chińczyków

Toby'emu Eady'emu

za to, że okazał mi pomoc i serce przy tworzeniu tej książki

Esther Tyldesley

za angielski przekład, w który włożyła swoje uczucia i doświadczenia związane z Chinami

Rebece Carter

za jej zainteresowanie Chinami i wnikliwą redakcję

Min Wei Deng

za uświadomienie mi, co myślą o Chinach młodzi ludzie

chińskim kobietom

– dzięki nim czuję się dumna z tego, czego dokonałam

i Tobie, Czytelniku,

za przeczytanie i Twoją reakcją na tę książkę.

目录

spis rzeczy

Od autorki **7**

Prolog **9**

1. Moja podróż w stronę losów chińskich kobiet **11**
 2. Dziewczynka, która hodowała muszkę **19**
 3. Studentka **47**
 4. Śmieciarka **68**
 5. Matki, które przetrwały trzęsienie ziemi **85**
 6. W co wierzą Chinki **110**
 7. Kobieta, która kochała kobiety **118**
 8. Kobieta wyswatana przez rewolucję **138**
 9. Moja matka **149**
 10. Kobieta, która czekała czterdzieści pięć lat **160**
 11. Córka kuomintangowskiego generała **187**
 12. Dzieciństwo, którego nigdy nie zapomnę **208**
 13. Kobieta niepoznawana przez własnego ojca **226**
 14. Modna pani **250**
 15. Kobiety ze Wzgórza Wołania **276**
- Epilog **293**
- Podziękowania **297**

Szokujące. Te zwierzenia,
historie opowiedane bez żadnych
upiększeń, są nie tylko
świadectwem – to wyraz buntu.
„The New Yorker”



10111593

PATRONAT MEDIALNY

TVP 2

WARSAW POINT
Platforma społecznościowa

terra incognita

PATRONAT MEDIALNY

Jedynka
POLSKIE RADIO

eurostudent

INDEPENDENT
POLSKA KULTURA NIEZALEŻNA

GEOZETA.pl
SERWIS GEOGRAFICZNO-PODRÓŻNICZY

WellnessLife.pl
Portal dla kobiet

Gazeta.pl

978-83-7414-



9 788374 143

cena 34,90

FILIA 8

MIJSK

Wydawnictwo
ab